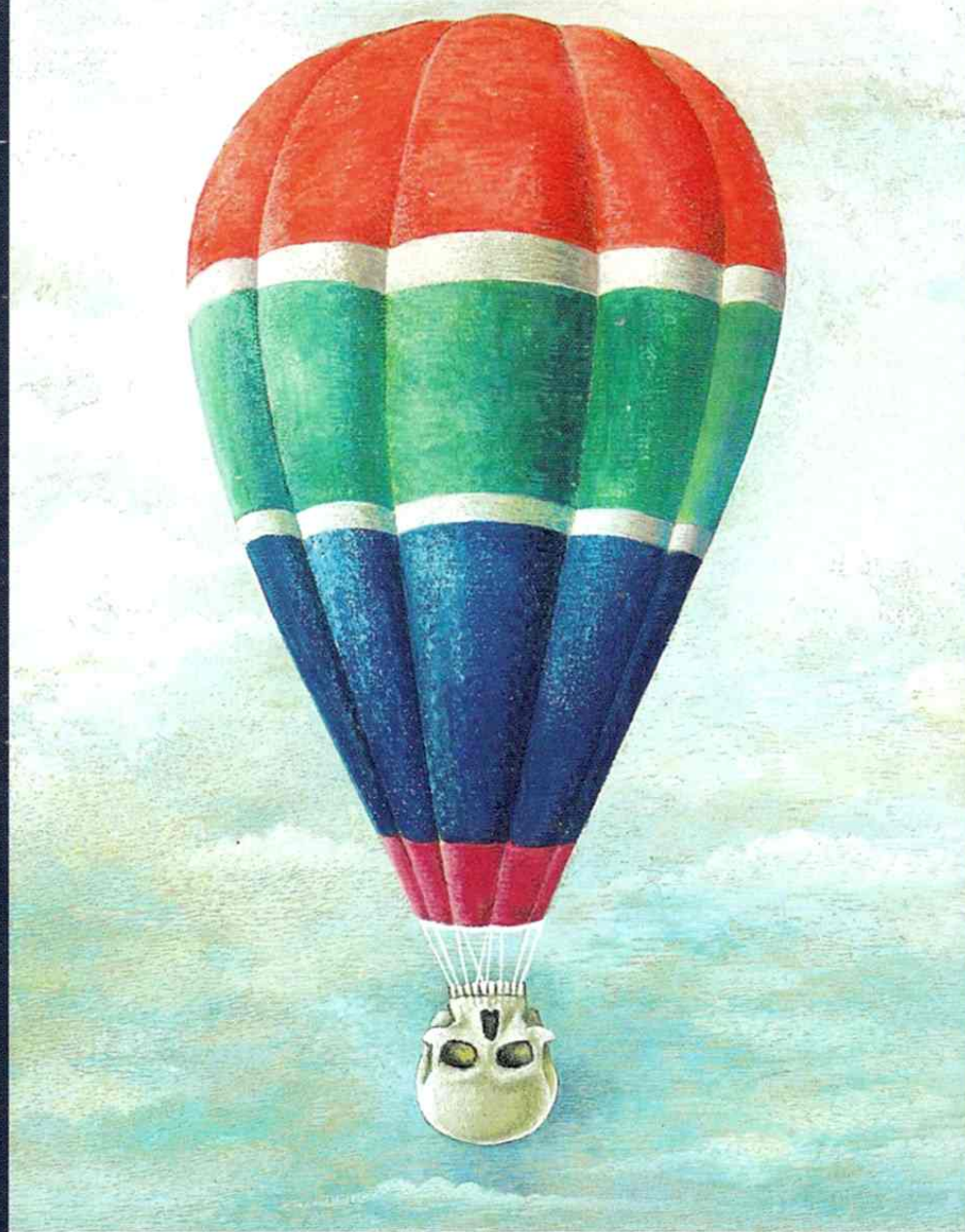


Ian  
McEwan  
Przetrzymać  
tę miłość



KLASYKA  
WSPÓŁCZESNOŚCI

**Ian McEwan**

**Przetrzymać  
tę miłość**

**(Przełożyła Barbara Cendrowska)**

*Annaleni poświęcam*

# 1

Wiem dokładnie, kiedy to wszystko się zaczęło. Siedzieliśmy w słońcu pod dębem, który trochę nas osłaniał przed porywistym wiatrem. Klęczałem na trawie, z korkociągiem w dłoni, a Clarissa podawała mi butelkę daumas gassaca rocznik 1987. To właśnie był ten moment, mały punkcik na mapie czasu: wyciągnąłem rękę, a gdy dotknąłem chłodnej szyjki i czarnej cynfolii, usłyszeliśmy krzyk mężczyzny. Obróciliśmy się, by spojrzeć na pole, i dostrzegliśmy niebezpieczeństwo. Po chwili już tam biegłem. Przemiana była całkowita: nie pamiętam, kiedy rzuciłem korkociąg, poderwałem się na nogi, powziąłem decyzję, nie docierały też do mnie ostrzegawcze okrzyki Clarissy. Cóż to za głupota: gnać na łeb na szyję ku tej historii i jej zawikłaniom, oddalać się pędem od naszego szczęścia pośród świeżych, wiosennych traw pod dębem! Znowu rozległo się wołanie, a po nim krzyk dziecka, stłumiony rykiem wiatru huczącym w koronach wyniosłych drzew. Przyspieszyłem kroku. I nagle, z różnych stron, pojawiło się czterech innych mężczyzn biegnących ku miejscu zdarzenia.

Widzę nas z wysokości stu metrów oczyma myszołowa, którego obserwowaliśmy wcześniej, jak szybował, zataczał kręgi i opadał w kłębowisku prądów powietrznych. Teraz spoglądał na pięciu mężczyzn mknących w milczeniu ku środkowi czterdziestohektarowego pola. Ja zbliżałem się od strony południowo-wschodniej, mając wiatr w plecy. Jakies dwieście metrów z lewej dwóch mężczyzn biegło obok siebie. Byli to robotnicy rolni, którzy naprawiali żywoplot od południowej strony pola, w miejscu, gdzie przylega do drogi. Kolejne dwieście metrów za nimi pędził John Logan, którego wóz z szeroko otwartymi drzwiami stał na krawędzi łąki. Wiedząc to, co wiem teraz, czuję się dziwnie na wspomnienie sylwetki Jeda Parry'ego, biegnącego na wprost mnie pod wiatr. Wyłonił się spomiędzy zbóż na przeciwległym krańcu pola, odległym o pół kilometra. Myszołowowi musieliśmy wydawać się drobinkami, nasze koszule



lśniły bielą na tle zieleni, gdy mknęliśmy ku sobie niczym kochankowie, jeszcze nie wiedząc, ile smutku przyniesie nam ten zawikłany związek. Do zdarzenia, które miało wstrząsnąć naszym życiem, dojdzie za parę minut; jego wagę skrywała przed nami nie tylko bariera czasu, ale i kolos tkwiący pośrodku pola, który wciągał nas ze straszliwą siłą, przeciwstawiając swą bajeczną wielkość drobnutkiej ludzkiej rozpaczy.

Co też robiła Clarissa? Powiedziała, że podeszła szybko ku środkowi pola. Nie mam pojęcia, jak powstrzymała się od biegu. Gdy się to stało – ten wypadek, który zaraz opiszę – prawie nas dogoniła i zajęła dobrą pozycję obserwatorki, nieskrępowanej koniecznością współuczestnictwa, linami i okrzykami ani też naszą fatalną nieumiejętnością współdziałania. Na kształt mego opisu mają wpływ również spostrzeżenia Clarissy oraz uwagi, które wymieniliśmy podczas obsesyjnego roztrząsania następstw wypadku – jego pokłosa, co wydaje się stosownym określeniem wydarzeń, które rozegrały się na polu tuż przed orką. Pokłosie, drugi zbiór, plon, który wyrósł dzięki pierwszym żniwom w maju.

Zatrzymuję dla siebie informacje, odwlekam moment ich ujawnienia. Chcę jak najdłużej zagłębiać się w tę pierwszą chwilę, gdy inne rozwiązania były jeszcze możliwe. Zbieżność sześciu postaci na płaskiej zielonej przestrzeni stanowiła z perspektywy myszołowa zgrabną figurę geometryczną, wyróżniającą się, ograniczoną płaszczyzną stołu bilardowego. Warunki początkowe, siła oraz jej kierunek określają wszystkie wynikające z tego ścieżki, wszelkie kąty zderzenia i powrotu, a blask światła nad nami oblewa pole, sukno i poruszające się po nim ciała uspokajającą jasnością. Wydaje mi się, że nadal dążyliśmy do jednego punktu; zanim skupiliśmy się wspólnie, znajdowaliśmy się w stanie matematycznej łaski. Rozwodzę się tak nad naszymi dyspozycjami, względnymi odległościami i środkiem okręgu, gdyż wtedy po raz ostatni wyraźnie cokolwiek rozumiałem z tych wydarzeń.

Ku czemu biegliśmy? Chyba żaden z nas nigdy w pełni nie zda sobie z tego sprawy. Nie do kolorowej, radosnej banieczki,

którą tak chętnie bawią się dzieci, ani, przez analogię, do zwykłego stateczku powietrznego, napędzanego gorącym powietrzem. Był to ogromny balon wypełniony helem, owym gazem elementarnym, wykutym z wodoru w nuklearnym palenisku gwiazd – pierwszy krok na drodze stworzenia wielorakości i różnorodności materii we wszechświecie, w tym nas i wszelkich naszych myśli.

Biegliśmy ku katastrofie, stanowiącej rodzaj paleniska, w którego żarze nasze tożsamości i losy zepną się w nowe kształty. Do powłoki balonu przyczepiony był kosz, w którym znajdował się chłopiec, a przy koszu, przywierając do liny, wisiał mężczyzna potrzebujący pomocy.

Nawet bez balonu byłby to pamiętny dzień, a to ze względu na niezwykle przyjemne przeżycia, których wówczas doznaliśmy, zobaczyliśmy się bowiem z Clarissą po sześciotygodniowym rozstaniu, najdłuższym w ciągu siedmiu lat, odkąd jesteśmy razem. Po drodze na lotnisko Heathrow skręciłem do Covent Garden, obok Carluccia, gdzie od biedy dało się zaparkować. Wszedłem i nakupiłem cały kosz piknikowy, którego główną atrakcją stanowiła wielka kula mozzarelli. Sprzedawca wyłowił ją z glinianej kadzi drewnianymi szczypcami. Kupiłem też czarne oliwki, sałatkę jarzynową i słony chlebek. Potem pospieszyłem Long Acre do Bertrama Roty, by odebrać prezent urodzinowy dla Clarissy. Prócz mieszkania i samochodu była to najkosztowniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek kupiłem. Ten biały kruk promieniował żarem, który, wracając ulicą, czułem przez opakowanie.

Czterdzieści minut później przyglądałem się monitorom informującym o przylotach. Samolot z Bostonu właśnie wylądował, co znaczy, że miałem przed sobą jeszcze pół godziny czekania. Gdyby ktoś pragnął dowodu na twierdzenie Darwina, że dla wszystkich istot ludzkich sposób wyrażania uczuć jest powszechny, wpisany w geny, wystarczyłoby mu parę minut w poczekalni hali przylotów na lotnisku Heathrow. Widziałem tę samą radość, ten sam niepowstrzymany uśmiech na twarzach

nigeryjskiej mamy ziemi, szkockiej babuni o cienkich wargach oraz bladego, schludnego japońskiego przedsiębiorcy, gdy wjeżdżali wózkami i rozpoznawali znajomą postać w tłumie oczekujących. Przyjemne może być obserwowanie zarówno różnorodności istot ludzkich, jak i ich podobieństwa. Słyszałem to samo westchnienie wydawane na opadającej nucie, często dobywające się na przydechu, kiedy padało imię, a dwoje ludzi rzucało się sobie w ramiona. Czy było to B-dur, c-moll, czy też coś pośredniego? Pa-p! Jolan-ta! Hobi! Nz-e! Dobiegała też moich uszu wznosząca się nuta, którą dawno niewidziani ojcowie czy dziadkowie gruchali w kierunku poważnych, czujnych twarzątek berbeci, przymilnie prosząc o natychmiastowy powrót miłości. Han-no? To-mii? Wpuść mnie!

Część przeżywała osobiste dramaty: ojciec i kilkunastoletni syn, najprawdopodobniej Turcy, stali objęci w długim niemym uścisku, przebacząc sobie nawzajem albo oplakując stratę, niepomni na stłoczone wokół nich wózki bagażowe; podobne jak dwie krople wody bliźniaczki po pięćdziesiątce witały się z widocznym niesmakiem lekkim dotykiem rąk, całując powietrze; mały amerykański chłopczyk wyraźnie nie poznawał swego rodziciela, podnosząc wrzask, by go zsadzić z jego ramienia, czym wywołał wybuch gniewu zmęczonej matki.

Lecz przeważały uśmiechy i uściski; w ciągu trzydziestu pięciu minut byłem świadkiem ponad pięćdziesięciu teatralnych szczęśliwych rozwiązań akcji, przy czym każda wydawała się nieco gorzej zagrana niż poprzednia, aż w końcu poczułem się emocjonalnie wyczerpany i zacząłem podejrzewać, że nawet dzieci są nieszczerze. Zastanawiałem się właśnie, jak przekonująco ja sam wypadnę, gdy poczułem klepnięcie w ramię, Clarissa bowiem, nie znalazłszy mnie w tłumie, obeszła salę dookoła. Od razu porzuciłem postawę chłodnego obserwatora i wykrzyknąłem jej imię, dołączając się do ogólnego chóru powitań.

Niespełna godzinę później zaparkowaliśmy przy dukcie biegnącym przez bukowy las. Gdy Clarissa zmieniała buty, zapakowałem do plecaka jedzenie na piknik. Ruszyliśmy ścieżką

ramię w ramię, nadal pełni uniesienia z powodu naszego spotkania; to, co było mi w niej znajome – rozmiar i dotyk jej dłoni, ciepło i spokój tchnące z jej głosu, jasna celtycka cera i zielone oczy – było też nowe, błyszczące w obcym świetle, przypominając mi o naszych pierwszych spotkaniach i miesiącach, kiedy zaczęliśmy się w sobie kochać. Albo wyobrażałem sobie, że jestem kimś innym, rywalizującym Kochankiem, który skrada się, by mi ją wykraść. Gdy jej o tym opowiedziałem, roześmiała się, mówiąc, że nie ma na świecie bardziej skomplikowanego prostaczka ode mnie, i wtedy właśnie, gdy przystanęliśmy, by się pocałować, a ja zastanawiałem się na głos, czy nie powinniśmy jechać prosto do domu i od razu pójść do łóżka, przez świeże listowie mignął nam balon na hel, sunący sennie poprzez porośniętą drzewami dolinę na zachód od nas. Nie widzieliśmy ani mężczyzny, ani chłopca. Pomyślałem wówczas, choć nie powiedziałem tego głośno, że to ryzykowny środek transportu, skoro kurs wyznacza wiatr, a nie pilot. Potem przyszło mi do głowy, że może na tym polega atrakcyjność tej przejażdżki. Ale zaraz zająłem uwagę czym innym.

Szliśmy przez College Wood do Pishill, zatrzymując się, by podziwiać świeżą zieleń na bukach. Każdy listek, zda się, promieniował wewnętrznym światłem. Rozmawialiśmy o czystości koloru, liściu bukowym na wiosnę i o tym, jak jego widok rozjaśnia umysł. Gdy weszliśmy w las, podniósł się wiatr i gałęzie zatrzęszczały niczym zardzewiała maszyna. Dobrze znaleźliśmy drogę. To z pewnością najpiękniejszy widok w odległości godziny od centrum Londynu. Uwielbiałem falowanie pól, gdy kłoniły się przed wiatrem, a także porozrzucane tu i ówdzie odkrywki kredy i krzemienia; ścieżki tonące w gęstwinie i mroku bukowych lasów, zaniedbane, źle zmeliorowane doliny, w których opalizujące mchy porastały gnijące pnie drzew i gdzie od czasu do czasu można było zobaczyć jelonka bładzającego po podszyciu.

Kierując się ku zachodowi, przez większość czasu rozmawialiśmy o badaniach Clarissy, którą interesowały ostatnie rzymskie dni Johna Keatsa, spędzone w domu położonym u stóp Schodów Hiszpańskich, gdzie mieszkał z przyjacielem, Josephem



Severnem. Czy możliwe, by istniały jeszcze trzy lub cztery nieopublikowane listy Keatsa? Czy któryś z nich mógł być adresowany do Fanny Brawne? Clarissa miała podstawy, by tak sądzić, toteż większość urlopu naukowego spędziła na podróżach po Hiszpanii i Portugalii, odwiedzając domy, w których gościły Fanny Brawne i siostra Keatsa, też Fanny. Teraz wracała z Bostonu, gdzie pracowała w Houghton Library na Uniwersytecie Harvarda, usiłując wytropić korespondencję od dalekich krewnych Severna. Ostatni list Keats napisał niemal trzy miesiące przed śmiercią do swego przyjaciela, Charlesa Browna. Użył tam tonu pełnego powagi i jak zwykle wtrącił, niemal w nawiasach, wspaniały opis twórczości artystycznej: „znajomość przeciwieństw, wyczucie światła i cienia, wszelkie te informacje (pierwotny zmysł), niezbędne dla stworzenia poematu, są wielkimi wrogami zdrowego żołądka”. W tym właśnie liście zawarte jest słynne pożegnanie, tak przejmujące przez swą powściągliwość i dworność: „Nie bardzo zdolny jestem pożegnać się z tobą, nawet w liście. Zawsze składałem niezgrabne ukłony. Niech Cię Bóg błogosławi! John Keats”. Lecz biografowie są zgodni, że gdy Keats pisał ten list, na dziesięć dni cofnęły mu się objawy gruźlicy. Odwiedzał Villa Borghese i spacerował po Corso. Z przyjemnością słuchał Severna grającego utwory Haydna, złośliwie wyrzucił kolację przez okno, protestując przeciw jakości potraw, i przemyślał nawet nad rozpoczęciem nowego poematu. Gdyby istniały listy z tego okresu, dlaczego Severn – albo, co bardziej prawdopodobne, Brown – miałyby je ukrywać? Clarissie wydawało się, że znalazła odpowiedź w paru odnośnikach zawartych w korespondencji z lat czterdziestych dziewiętnastego wieku, wymienianej między dalekimi krewnymi Browna, ale potrzebowała więcej dowodów, innych źródeł.

– Wiedział, że już nigdy nie zobaczy Fanny – powiedziała. – W liście do Browna wyznał, że nie mógłby znieść widoku jej imienia na piśmie. Ale ciągle o niej rozmyślał. W tych dniach w grudniu był dosyć silny i tak bardzo ją kochał. Łatwo sobie wyobrazić, że pisze list, którego nigdy nie zamierzał wysłać.

Uścisnąłem jej rękę i nic nie odrzekłem. Niewiele wiedziałem o Keatsie i jego poezji, lecz uznałem, że w tej beznadziejnej sytuacji nie chciałby nic pisać właśnie dlatego, że tak bardzo ją kochał. Ostatnio przyszło mi do głowy, że zainteresowanie Clarissy tymi jakoby istniejącymi listami ma coś wspólnego z naszą własną sytuacją i przekonaniem, że miłość, która nie została wyrażona listownie, nie jest doskonała. W ciągu tych paru miesięcy, gdyśmy się już znali, a zanim kupiliśmy mieszkanie, napisała kilka przepięknych listów, z abstrakcyjną namiętnością zgłębiających, pod jakimi względami nasza miłość różni się od innych takich związków i o ile je przewyższa. Być może owo wysławianie wyjątkowości stanowi istotę listu miłosnego. Usiłowałem jej dorównać, lecz szczerść pozwalała mi tylko na zajmowanie się faktami, a one wydawały się wystarczająco cudowne: piękna kobieta kocha i pragnie miłości rozrośniętego, niezgrabnego, łysiejącego faceta, który nie może uwierzyć, że spotkało go takie szczęście.

Gdy zbliżaliśmy się do Maidensgrove, przystanęliśmy, by popatrzeć na myszołowa. Balon mógł przeciąć naszą ścieżkę, gdy byliśmy w lasach porastających doliny wokół rezerwatu przyrody. Zaraz po południu znaleźliśmy się na Ridgeway Path i skierowaliśmy na północ wzdłuż krawędzi skarpy. Potem szliśmy po jednym z owych szerokich występów, wysuwających się w kierunku zachodnim z Chilterns w położoną poniżej żyzną ziemię. Po drugiej stronie Kotliny Oksfordzkiej dostrzegliśmy zarysy wzgórz Cotswold, a za nimi, być może, wznosiła się niewyraźna niebieska masa Brecon Beacons. Zamierzaliśmy rozłożyć się na samym krańcu, skąd jest najlepszy widok, lecz wiatr stał się już zbyt silny. Wróciliśmy przez pole i skryliśmy się między dębami od północy. To właśnie te drzewa zasłaniały nam widok na lądujący balon. Potem zastanawiałem się, dlaczego wiatr nie pognał go całe kilometry dalej. Jeszcze później zorientowałem się, że wiatr na wysokości stu pięćdziesięciu metrów ma znacznie większą siłę niż przy ziemi.

Rozmowa o Keatsie przygasła, gdy rozpakowaliśmy prowiant. Clarissa wyciągnęła z torby butelkę i podała mi ją, przytrzymując za denko. Jak już powiedziałem, szyjka dotknęła mojej ręki, gdy usłyszeliśmy krzyk. Był to baryton na wznoszącej się nucie strachu. Wyznaczał początek i, naturalnie, koniec. W tym momencie zamknął się rozdział, nie, cały etap mojego życia. Gdybym o tym wiedział i zostałoby mi jeszcze kilka sekund, pozwoliłbym sobie na odrobinę tęsknoty. Od siedmiu lat trwa nasze bezdietne małżeństwo z miłości. Clarissa Mellon zakochana też była w innym mężczyźnie, lecz skoro zbliżała się dwusetna rocznica jego urodzin, nie wydawał się groźny. W istocie pomagał mi wymyślać ostre repliki, stanowiące część naszej równowagi, naszego sposobu rozmawiania o pracy. Mieszkaliśmy w kamienicy w stylu art deco w północnym Londynie, obciążeni mniejszą niż przeciętna ilością trosk – brakiem pieniędzy mniej więcej przez rok, nieuzasadnionym strachem przed rakiem, rozwodami i chorobami przyjaciół, zdenerwowaniem Clarissy z powodu moich sporadycznych szalonych wybuchów złości, wywoływanych niezadowolaniem z pracy – lecz nic nie zagrażało naszemu swobodnemu, pełnemu wzajemnej bliskości bytowaniu.

A oto, co zobaczyliśmy, gdy podnieśliśmy się znad piknikowych przekąsek: olbrzymi szary balon, wielkości domu i w kształcie łyzy, opadł na pole. Gdy wylądował, pilot musiał być w drodze na ziemię z kosza dla pasażerów. Noga zaplątała mu się w linę przyczepioną do kotwicy. Teraz, gdy wionęło silniej, pchając i unosząc balon ku skarpie, wiatr na pół włókł, na pół ciągnął nieszczęsnego pilota przez pole. W koszu było dziecko, chłopiec mniej więcej dziesięcioletni. Gdy zapanowała nagle cisza, mężczyzna podniósł się na nogi, kurczowo chwytając balon albo chłopca. Kolejny podmuch przewrócił pilota na plecy. Biedak wyrznął w nierówną ziemię, usiłując wbić się w nią stopami, by znaleźć punkt oparcia, lub rzucić się do wystającej za nim kotwicy, aby wryć ją w grunt. Nawet gdyby zdołał, nie odważyłby się wyplątać z liny przytrzymującej kotwicę. Całym swym ciężarem musiał przytrzymać balon na ziemi, a wiatr mógłby wyrwać mu linę z rąk.

Kiedy biegłem, słyszałem, jak krzyczał na chłopca, popędzając go, by wyskoczył z kosza. Lecz chłopcem rzucało z boku na bok, gdy balon kolebał się po polu. Kiedy mały odzyskał równowagę, przerzucił nogę przez krawędź kosza. Balon uniósł się i opadł, grzmocąc o pagórek, chłopiec zaś upadł na tył i zniknął nam z oczu. Po chwili znowu się podniósł, wyciągnął ręce do mężczyzny, krzycząc coś; nie potrafię powiedzieć, czy były to słowa, czy też nieartykułowane okrzyki strachu.

Musiałem znajdować się jakieś sto metrów od nich, gdy sytuacja została opanowana. Wiatr ucichł, mężczyzna wstał na nogi, pochylając się, by wbić kotwicę w ziemię. Odplątał linę krępującą stopy. Z jakiegoś powodu – może było mu tak dobrze, czy też czuł się wyczerpany, albo po prostu robił to, co mu kazano – chłopiec pozostał na swoim miejscu. Górująca nad nimi powłoka chwiała się, przechylała i szarpała, ale bestia została poskromiona. Biegłem już wolniej, lecz nie zatrzymałem się. Gdy mężczyzna się wyprostował, ujrzał nas – a przynajmniej robotników rolnych i mnie – i pomachał w naszą stronę. Nadal potrzebował pomocy, ale ja rad zwołniłem kroku. Robotnicy rolni też teraz szli. Jeden z nich głośno kasłał. Tylko mężczyzna z samochodu, John Logan, wiedział coś, czego myśmy nie wiedzieli, i nadal biegł. Jeda Parry'ego zasłaniał mi leżący między nami balon.

Wiatr znowu rozszalał się w koronach drzew, a ja poczułem na plecach siłę jego podmuchu. Potem uderzył w balon, który przestał się kołysać, niewinnie i komicznie, i nagle znieruchomiał. Skrzył się tylko z napięcia, które przebiegało po jego rowkowanej powłoce, gdy zbierała się zawarta w nim energia. Urwał się, kotwica śmignęła w górę, wyrzucając chmurę ziemi, powłoka zaś i kosz wzniosły się w powietrze na trzy metry. Chłopiec znów upadł na wznak i zniknął nam z oczu. Pilot, trzymający linę w rękach, uniósł się na jakieś pół metra. Gdyby Logan nie dobiegł do niego i nie chwycił jednej z wielu zwisających lin, balon porwałby chłopca. Jednakże obu ciągnęło teraz po polu, a robotnicy rolni i ja znowu puściliśmy się biegiem.

Dotarłem tam przed nimi. Gdy chwyciłem linę, kosz miałem nad głową. Chłopiec w środku krzyczał. Mimo wiatru poczułem zapach moczu. Jed Parry uwiesił się liny parę sekund po mnie, a dwaj robotnicy rolni, Joseph Lacey i Toby Greene, złapali je tuż za nim. Greene'a pochwylił atak kaszlu, lecz on nie rozluźnił uchwytu. Pilot wykrzykiwał do nas polecenia, ale robił to tak gorączkowo, że nikt nie słuchał. Jego zmagania trwały zbyt długo, teraz był wyczerpany i stracił panowanie nad sobą. Skoro pięciu nas trzymało liny, balon był bezpieczny. Po prostu musieliśmy stać mocno na nogach i rękami ściągać kosz na dół. I to właśnie robiliśmy, nie zważając na krzyki pilota.

W tym czasie staliśmy już na skarpie. Stok opadał ostro, nachylenie wynosiło około dwudziestu pięciu procent, a potem wyrównywało się, przechodząc w łagodne zbocze aż do podnóża. Zimą z tej górki okoliczne dzieci najchętniej zjeżdżały na sankach. Mówiliśmy wszyscy naraz. Ja i automobilista chcieliśmy odciągnąć balon od krawędzi. Ktoś uważał, że przede wszystkim należy wydostać z niego chłopca. Kto inny twierdził, że trzeba opuścić balon, by mocno go zakotwiczyć. Działania te nie wykluczały się wzajemnie, gdyż mogliśmy opuszczać balon, ciągnąc go jednocześnie z powrotem nad pole. Zwyciężyła jednak druga opinia. Pilot miał czwartą, lecz nikt jej nie znał, ani nawet nie zamierzał go o nic pytać.

Chciałbym tu coś wyjaśnić. Choć z grubsza mieliśmy wspólny cel, nie stanowiliśmy zespołu. Nie było po temu czasu ani okazji. Zbieg okoliczności, pragnienie udzielenia pomocy zebrały nas tu razem pod balonem. Nikt nie kierował akcją, bądź kierowali nią wszyscy, a każdy starał się przekrzyczeć resztę. Na pilota, czerwonego na twarzy, wrzeszczącego i spoconego, nikt nie zwracał uwagi. Nieudolność buchała od niego jak żar z pieca. Ale my też zaczęliśmy wywrzaskiwać polecenia. Wiem, że gdybym był niezaprzeczalnym przywódcą, nie doszłoby do tragedii. Później słyszałem, jak inni mówili to samo o sobie. Lecz nie było warunków do wykazania siły charakteru. Z jakimkolwiek przywódcą, każdy ściśle realizowany plan byłby lepszy niż nic. Żadne społeczeństwo ludzkie, które zwróciło na siebie uwagę

antropologów, od plemion zajmujących się myślistwem i zbieractwem po epokę postindustrialną, nie obywało się bez przywódcy i podporządkowanych mu ludzi; w nagłych wypadkach metody demokratyczne nie są skuteczne.

Nietrudno było opuścić kosz na tyle, byśmy mogli zajrzeć do środka. Wyłonił się nowy problem. Chłopiec leżał skulony na podłodze. Ramionami zakrywał twarz i mocno trzymał się za głowę.

– Jak mu na imię? – zapytaliśmy mężczyznę o czerwonej twarzy.

– Harry.

– Harry! – krzyczeliśmy. – No, dalej, Harry. Harry! Chwyć moją rękę, Harry. Wyjdź stąd, Harry!

Lecz Harry skulił się jeszcze mocniej. Mrugał za każdym razem, gdy wykrzykiwaliśmy jego imię, jakby nasze słowa były kamieniami, którymi go obrzucaliśmy. Odczuwał paraliż woli, stan znany jako wyuczona bezradność. Zaobserwowano ją u zwierząt laboratoryjnych, poddanych niezwykłym stresom. Znika wówczas wszelkie dążenie do rozwiązania problemu, uchodzi instynkt przeżycia. Ściągnęliśmy kosz na ziemię, gdzie udało się go utrzymać, i właśnie pochylaliśmy się do środka, by wydostać chłopca, gdy pilot odsunął nas na bok, próbując wspiać się na kosz. Później powiedział, że mówił nam, co stara się zrobić. Nie słyszeliśmy nic prócz naszych krzyków i przekleństw. Jego ruchy wydawały się śmieszne, ale – jak się okazało – były całkowicie zgodne ze zdrowym rozsądkiem. Próbował wypuścić gaz z powłoki, ciągnąc za linę, która była zaplątana w koszu.

– Ty palancie! – krzyknął Lacey. – Pomóż nam wydostać chłopaka.

To, co miało nadejść, usłyszałem na dwie sekundy przedtem. Jakby pociąg ekspresowy przejeżdżał po koronach drzew, pędząc ku nam. Lekki, jękliwy, świszczący dźwięk rozbrzmiał z pełną siłą w pół sekundy. Podczas dochodzenia dane z Instytutu



Meteorologii dotyczące prędkości wiatru tego dnia stanowiły część materiału dowodowego; były też podmuchy o sile stu dziesięciu kilometrów na godzinę. To musiał być jeden z nich, lecz zanim pozwolę, by do nas dotarł, zatrzymajmy na chwilę kadr – cisza to bezpieczeństwo – by opisać nasze kółko.

Po prawej grunt opadał. Tuż z mojej lewej strony znajdował się John Logan, lekarz rodzinny z Oksfordu, żonaty z historyczką, z którą miał dwoje dzieci. Nie najmłodszy z naszego grona, był w najlepszej formie. Brał udział w rozgrywkach tenisowych na terenie hrabstwa i należał do klubu wysokogórskiego. Wyruszał na wyprawę wraz z górskim pogotowiem ratunkowym w Western Highlands. Był najwyraźniej łagodnym, powściągliwym człowiekiem, inaczej bowiem mógłby narzucić nam przywództwo. Z lewej miał Josepha Lacey, liczącego sześćdziesiąt trzy lata robotnika rolnego, „złotą rączkę”, a przy tym kapitana miejscowego klubu kręglarskiego. Mieszkał z żoną w Watlington, miasteczku u podnóża skarpy. Z lewej strony Lacey, znajdował się jego kumpel, Toby Greene, liczący pięćdziesiąt osiem lat, również robotnik rolny, kawaler, mieszkający z matką w Russell's Water. Obaj mężczyźni pracowali w majątku Stonor. To właśnie Greene miał kaszel palacza. Następnym członkiem kręgu był pilot, James Gadd, pięćdziesiąt pięć lat, dyrektor małej firmy reklamowej, który mieszkał w Reading z żoną i jednym z dorosłych dzieci, upośledzonym umysłowo. Podczas przesłuchania okazało się, że Gadd złamał kilka podstawowych zasad bezpieczeństwa, które koroner wymienił bezdźwięcznym głosem. Gaddowi odebrano pozwolenie na odbywanie lotów balonem. Chłopiec w koszu to Harry Gadd, jego dziesięcioletni wnuk, zamieszkały w Camberwell w Londynie. Naprzeciw mnie, tam gdzie grunt osuwał się z lewej strony, stał Jed Parry. Miał dwadzieścia osiem lat i nigdzie nie pracował. Żył w Hampstead z pieniędzy, które odziedziczył w spadku.

Tak przedstawiała się załoga. W naszym mniemaniu pilot zrzekł się wszelkiego kierownictwa. Brakowało nam tchu, byliśmy podekscytowani i każdemu zależało na przeprowadzeniu własnego planu, gdy tymczasem chłopiec nie wykazywał zainteresowania

możliwością uratowania życia. Leżał jak kłoda, odgradzając się od świata ramionami. Lacey, Greene i ja usiłowaliśmy go stamtąd wyłowić, a teraz Gadd wspinał się po naszych ramionach. Logan i Parry wykrzykiwali swoje rady. Gadd postawił już nogę przy głowie wnuka, a Greene przeklinał pilota, gdy stało się to. Potężna pięść wymierzyła balonowi dwa gwałtowne ciosy, jeden dotkliwszy od drugiego. Już pierwszy był niebezpieczny. Wyrzucił Gadda z kosza na ziemię i podniósł balon mniej więcej na wysokość półtora metra, prosto w powietrze. Spory ciężar Gadda usunięto z równania. Lina przesunęła się, obcierając mi ręce, lecz zdołałem ją utrzymać, mając jeszcze w zapasie jakieś pół metra. Pozostali również trzymali. Kosz był teraz tuż nad naszymi głowami, a my staliśmy ze wzniesionymi ramionami, jakbyśmy mieli uderzać w kościelny dzwon w niedzielę. W pełnej zdumienia ciszy, zanim znowu podniósł się krzyk, spadł drugi cios, pchając balon do góry w kierunku zachodnim. Nagle stąpaliśmy po powietrzu, cały ciężar naszych ciał skupiając w zaciśniętych pięściach.

Tych parę sekund, dla których nie ma wytłumaczenia, zajmuje w pamięci tyle miejsca co długa podróż po nieznannej rzece. Przede wszystkim chciałem przywrzeć do liny, by przytrzymać balon na ziemi. Dziecko niezdolne było do jakiegokolwiek działania, a wiatr mógł je porwać. Trzy kilometry na zachód przebiegała linia wysokiego napięcia. Samotne dziecko wymagające pomocy. Moim obowiązkiem było przytrzymywanie liny i sądziłem, że wszyscy zrobimy to samo.

Niemal jednocześnie z pragnieniem utrzymania liny i uratowania chłopca, ledwo o jeden neuronowy bodziec później, opadły mnie inne myśli, w których strach mieszał się z natychmiastowymi kalkulacjami o logarytmicznej złożoności. Wznosiliśmy się, a ziemia opadała, w miarę jak balon pchało na zachód. Wiedziałem, że muszę opleść nogi i stopy wokół liny. Ale jej koniec sięgał mi zaledwie poniżej pasa i powróż wysuwał się z rąk. Machałem nogami w powietrzu. Z każdym ułamkiem sekundy ziemia coraz bardziej się oddalała i niebawem puszczenie liny mogło się okazać niemożliwe albo skończyć się fatalnie. W porównaniu ze mną Harry był bezpieczny, leżąc skulony w koszu.

Niewykluczone, że balon wyląduje bez szwanku u podnóża pagórka. A może chęć, by kurczowo trzymać się liny, była zaledwie przedłużeniem moich poprzednich wysiłków – po prostu nie umiałem szybko przystosować się do sytuacji.

I znowu, zaledwie o niespełna jedno uderzenie serca spowodowane przyływem adrenaliny, do równania dodano inną zmienną: ktoś puścił linę, i balon – a wraz z nim wszyscy, którzy do niego przywarli – chwiejnie poszybował jeszcze parę metrów w górę.

Nie wiedziałem i nigdy nie odkryłem, kto pierwszy puścił linę. Nie jestem gotów przyznać, że to byłem ja. Ale każdy się tego wypierał. Nie ulega wątpliwości, że gdyby nikt się nie wyłamał, to połączywszy siły, parę sekund później, gdy wiatr ustał, zdołalibyśmy sprowadzić balon na ziemię o ćwierć długości zbocza. Ale, jak powiedziałem, nie tworzyliśmy zespołu, nie było planu. Nie naruszyliśmy żadnego porozumienia, bo go zabrakło. Nie ponieśliśmy porażki. Czy więc każdy sam przed sobą może śmiało przyznać, że wszystko przebiegło jak należy? Czy później z zadowoleniem stwierdziliśmy, że postępowaliśmy rozsądnie? Nie mieliśmy tej pociechy, gdyż w ludzką naturę wpisane jest głębsze przymierze, odwieczne i automatyczne. Współpraca – podstawa naszych najwcześniejszych sukcesów łowieckich, siła umożliwiająca rozwój języka, spoiwo naszej społecznej jedności. Udręka, której doznaliśmy w następstwie tego wydarzenia, była dowodem, że mieliśmy świadomość, iż zawiedliśmy się na własnej odwadze. Ale skłonność, żeby sobie odpuścić, również leży w naszej naturze. Samolubność jest też wpisana w nasze serca. Na tym polega wewnętrzne rozdarcie nas, ssaków: co dać innym, a co zatrzymać dla siebie. Staramy się zachować to rozgraniczenie w rozsądnych proporcjach, trzymamy bliźnich w ryzach, a oni z kolei trzymają w ryzach nas – i nazywamy to moralnością. Zwisając parę metrów nad skarpą Chilterns, nasza grupa odegrała odwieczny, niedający się rozstrzygnąć dylemat: oni czy ja.

Ktoś powiedział „ja” i nic już by się nie zyskało, mówiąc „my”. Zazwyczaj jesteśmy dobrzy, kiedy wydaje się to racjonalne. Dobre społeczeństwo to takie, w którym dobroć ma sens. Nagle, zwisając tam pod koszem, staliśmy się złym społeczeństwem, rozpadaliśmy się. Nagle rozsądny wybór zaczął polegać na trosce o własny interes. To nie było moje dziecko i nie zamierzałem za nie umierać. Z chwilą gdy ujrzałem, że jakieś ciało odpada – ale czyje? – i poczułem, że balon niepewnie się unosi, sprawa została rozstrzygnięta, koniec z altruizmem. Dobroć nie była celowa. Puściłem i poleciałem chyba ze trzy metry w dół. Walnąłem ciężko na bok i wyszedłem z tego tylko z posiniaczonym udem. Wokół mnie – wcześniej lub później, nie jestem pewien – ciała z łoskotem padały na ziemię. Jedowi Parry’emu nic się nie stało. Toby Greene złamał nogę w kostce. Joseph Lacey, najstarszy z nas, niegdyś szkolony w oddziale spadochronowym Służby Narodowej, tylko się zwinął.

Gdy podniosłem się na nogi, balon oddalił się już na odległość pięćdziesięciu metrów i tylko jeden człowiek dyndał, uczepiony jego liny. W Johnie Loganie, mężu, ojcu, lekarzu i ratowniku górskim, płomień altruizmu musiał gorzeć nieco mocniej. Niewiele było potrzeba. Gdy czterech z nas puściło liny, czyli odpadł balast trzystu kilogramów, balon musiał poszybować w górę. Wystarczyło, że Logan ociągał się jedną sekundę, i już nie miał wyboru. Gdy wstałem i spojrzałem na niego, uniósł się trzydzieści metrów w górę i ciągle się wznosił, akurat tam, gdzie grunt opadał. Nie szamotał się, nie kopał ani nie usiłował się podciągnąć. Zwisał absolutnie nieruchomo, skupiając całą energię na słabnącym uchwycie. Był już tylko małą figurką, niemal czarną na tle nieba. Nie widziałem w ogóle chłopca. Powłoka i kosz unosiły się coraz wyżej, lecąc na zachód, a im mniejszy stawał się Logan, tym straszliwsze wydawało się to wszystko, tak straszliwe, że aż śmieszne. Wyglądało to na karkołomną sztuczkę, żart, komiks, i z mojej piersi wydobył się pełen przerażenia śmiech. Było to bowiem niedorzeczne, takie przygody przytrafiają się królikowi Bugsowi, Tomowi i Jerry’emu, i przez chwilę myślałem, że to nie może być prawdziwe i tylko ja poznałem się na

tym żarcie, że moja całkowita niewiara przywróci wszystko do normy i sprowadzi doktora Logana bezpiecznie na ziemię.

Nie wiem, czy inni stali, czy też wyciągnęli się na trawie. Toby Greene prawdopodobnie siedział zgięty wpół i oglądał złamaną nogę. Ale pamiętam ciszę, w której rozległ się mój śmiech. Żadnych okrzyków ani wywrzaskiwania poleceń jak przedtem. Niema bezradność. Logan oddalił się już o dwieście metrów i wzleciał ze sto metrów nad ziemię. Nasze milczenie stanowiło rodzaj przyzwolenia, wyrok śmierci. Czy też był to pełen przerażenia wstyd, ponieważ wiatr ucichł i ledwo czuliśmy jego podmuchy na plecach? Logan długo trzymał się liny, zaczynałem już mieć nadzieję, że pozostanie tak wczepiony, aż balon osiadzie albo chłopiec odzyska przytomność i znajdzie linę uwalniającą gaz, może też jakiś promień, bóg czy inna nieprawdopodobna postać z komiksu zjawi się i uniesie go. I gdy wciąż żywiłem taką nadzieję, ujrzeliśmy, jak zsuwa się na sam koniec liny. Ale jeszcze zwisał. Przez dwie sekundy, trzy, cztery. A potem puścił. Nawet wówczas przez ułamek chwili tkwił prawie nieruchomo i ciągle myślałem, że być może zwariowane prawo fizyki, oszalały prąd termiczny, jakieś zjawisko równie zdumiewające jak to, które oglądaliśmy, włączy się do akcji i go pochwyci. Patrzyliśmy, jak spada. Widać było przyspieszenie. Żadnego przebaczenia, żadnej specjalnej dyspensy dla ciała, odwagi czy dobroci. Tylko bezwzględna siła ciężenia. I skądś, może z jego ust, wyszedł cichy skrzek, który przeciął znieruchomiałe powietrze. A może wydała go jakaś niebaczną na nic wrona? Upadł tak, jak zwisał, sztywny, mały, czarny kijek. Nigdy nie widziałem czegoś tak straszliwego jak spadający człowiek.

## 2

Ale nie ma się co spieszyć. Rozważmy dokładnie pół minuty, które upłynęło po upadku Logana. Co nastąpiło równocześnie albo zaraz po tym, o czym się mówiło, jak się poruszaliśmy albo nieruchomieliśmy, nad czym rozmyślałem – te elementy należy porozdzielać. Tyle wynikło z tego wypadku, tyle narosło rozgałęzień, wydzieliło się poddziałów, tyle buchnęło miłości i nienawiści, że chwila namysłu, a nawet nieco pedanterii będą mi tylko pomocne. Najlepszy opis rzeczywistości nie musi naśladować prędkości, z jaką przesuwa się nam ona przed oczyma. Całe księgi, całe działy badawcze poświęcono pierwszej połowie minuty w historii wszechświata. Na temat warunków początkowych, wymagających drobiazgowego opisu, głośzono przyprawiające o zawrót głowy teorie chaosu i turbulencji.

Oznaczyłem już początek, ów wybuch następstw, dotknięciem butelki wina i okrzykiem rozpacz. Lecz ta drobina czasowa ma takie samo znaczenie pojęciowe jak punkt w geometrii Euklidesa i choć wydaje się właściwa, mogłem równie dobrze zaproponować moment, w którym Clarissa i ja, po spotkaniu na lotnisku, postanowiliśmy urządzić sobie piknik, albo gdy decydowaliśmy, jaką trasą pojedziemy, na którym polu zjemy posiłek i o jakiej porze. Można cofać się tak w nieskończoność. Początek to tylko zręczny chwyt, a o jego wyższości nad innym decyduje sensowność dalszego ciągu. Chłodny dotyk szkła na skórze i okrzyk Jamesa Gadda – te równoczesne zdarzenia wyznaczają przejście, odchylenie od oczekiwanego: od wina, którego nie spróbowaliśmy (wypiliśmy je tego wieczoru, by wprowadzić się w stan odrętwienia), do wezwania z sądu, od uroczego wspólnego życia, które nadal mieliśmy nadzieję wieść, do udręki, którą musieliśmy cierpieć w nadchodzącym czasie.

Gdy upuściłem butelkę wina, która poturlała się przez pole ku balonowi z podskakującym koszem, ku Jedowi Parry'emu i innym, wybrałem rozgałęzienie ścieżek, które wykluczyło pewien



rodzaj spokojnego żywota. Szarpanina z linami, rozejście się ludzi i porwanie Logana przez wiatr – to oczywiste wydarzenia dużego formatu, które ukształtowały naszą opowieść. Lecz spostrzegam, że w chwilach następujących tuż po jego upadku pojawiły się subtelniejsze czynniki, które wywarły potężny wpływ na przyszłość. Chwila, w której Logan uderzył o ziemię, powinna oznaczać koniec tej historii, nie zaś jeszcze jeden początek, jaki miałem do dyspozycji. Popołudnie mogło się zakończyć zwykłą tragedią.

Podczas owych najwyżej dwóch sekund, kiedy to Logan uderzył o ziemię, miałem poczucie *deja vu* i natychmiast domyśliłem się jego źródła. Powróciły koszmary, które od czasu do czasu dręczyły mnie między dwudziestką i czterdziestką i z których budziłem się z krzykiem. Otoczenie się zmieniało, lecz zasadnicze elementy były zawsze takie same. Znajdowałem się na wzniesieniu, obserwując z oddali jakąś katastrofę: trzęsienie ziemi, pożar w wieżowcu, tonący statek, wybuchający wulkan. Widziałem bezradnych ludzi, którzy sprawiali wrażenie bezładnej masy, biegając tu i tam, skazani na niechybną śmierć. Groza płynęła z różnicy między znikomością ich wyglądu a ogromem przeżywanego cierpienia. Życie okazywało się tanie, tysiące krzyczących osobników nie większych niż mrówki właśnie miało ulec zagładzie, a ja nie mogłem nic na to poradzić. Nie rozmyślałem wówczas zbyt wiele o tym koszmarze, lecz doznawałem emocjonalnego wyjałowienia, na które składał się strach, poczucie winy i bezradność – a świadomość spełnionego przeczucia przyprawiała mnie o mdłości.

Pod nami na dole, gdzie skarpa zrównywała się z ziemią, rozciągało się porośnięte trawą pole, ograniczone szeregiem przyszczyżonych wierzb. Za nimi roztaczało się większe pastwisko, gdzie pasły się owce i kilka jagniąt. Pośrodku tego drugiego wygonu, na naszych oczach, wylądował Logan. Mam wrażenie, że w chwili upadku mała, sztywna figurka skapnęła czy też wylała się na ziemię niczym kropla lepkiego płynu. Lecz w bezruchu, jakby przywróconą do życia, ujrzeliśmy zwartą kropkę jego

skulonej postaci. Najbliższa owca, oddalona o kilka metrów, ledwo uniosła pysk znad trawy.

Joseph Lacey zajmował się swym przyjacielem, Tobym Greene'em, który nie mógł ustać. Tuż obok mnie tkwił Jed Parry. Nieco z tyłu przystanął James Gadd. Mniej interesował się Loganem niż my. Wykrzykiwał coś o swoim wnuczku, unoszonym w balonie nad Doliną Oksfordzką ku słupom trakcji elektrycznej. Przepchnął się między nami i zszedł parę kroków zboczem, jakby chciał ruszyć śladem chłopca. Takie ma uwarunkowania genetyczne – pomyślałem głupio. Clarissa podeszła do mnie od tyłu, otoczyła ramionami w pasie i przycisnęła twarz do moich pleców. Zdziwiłem się, że już płacze (czułem wilgoć na koszuli), gdy tymczasem dla mnie smutek był sprawą bardzo odległą.

Niczym człowiek pogrążony w marzeniu sennym byłem zarazem pierwszą i trzecią osobą. Działiałem i patrzyłem, co czynię. Obserwowałem swoje myśli przesuwające się po ekranie. Łzy Clarissy były wyłącznie obiektywnym faktem, lecz cieszyło mnie, że szeroko rozstawionymi nogami mocno stoję na ziemi, a ręce mam skrzyżowane na piersi. Spojrzałem na pola i nasunęła mi się refleksja: „Ten człowiek jest martwy”. Poczułem ciepło w całym ciele, rodzaj miłości własnej, i mocniej ścisnąłem się ramionami. Następna myśl sama się nasuwała: „A ja żyję”. To przypadek, kto w danym momencie żyje, a kto nie. Ja akurat żyję. Wtedy właśnie zauważyłem, że przypatruje mi się Jed Parry. Jego długa, koścista twarz stanowiła obramowanie bolesnego pytania. Wyglądał podle, jak pies, który się spodziewa, że mu przetrzepią skórę. Podczas owej sekundy, gdy nieznajomy wbił we mnie przejrzyste, szaroniebieskie oczy, czułem, że wraz z nim mógłbym sobie gratulować i cieszyć się z tego, że żyję. Pomyślałem nawet, czyby nie położyć mu pocieszającym gestem ręki na ramieniu. Ujrzałem swe myśli na ekranie: „Ten człowiek jest w szoku. Chce, żebym mu pomógł”.

Gdybym wiedział, co to spojrzenie oznaczało dlań wówczas, jak miał je później interpretować i budować sobie wokół niego całe swe życie duchowe, nie byłbym taki serdeczny. W jego zbolałym,

pytającym wzroku krył się ów zaczątek, o którym nie miałem pojęcia. Euforyczny spokój, jaki odczuwałem, był po prostu objawem szoku. Zaszczyciłem Parry'ego przyjacielskim skinieniem głowy i nie zwracając uwagi na Clarisnę, która przywarła do moich pleców – czas jest cenny, zajmę się nimi po kolei – odezwałem się doń głosem, jak mi się wydawało, głębokim i uspokajającym:

– Wszystko w porządku.

Ta oczywista nieprawda rozbrzmiała tak miło między moimi żebrami, że omal jej nie powtórzyłem. A może i to zrobiłem. Ja pierwszy się odezwałem, odkąd Logan uderzył o ziemię. Sięgnąłem do kieszeni spodni i spośród wszystkich rzeczy, którymi była wypchana, wyciągnąłem telefon komórkowy. Oczy młodego człowieka rozszerzyły się o milimetr, co odczytałem jako wyraz szacunku. Wobec siebie też żywiłem to uczucie, trzymając twardą, poręczną płytkę w dłoni. Kciukiem nacisnąłem trzy dziewiątki. Umiałem znaleźć się w świecie, dobrze wyposażony, sprawny, będący w stałej łączności z niezbędnymi służbami. Gdy zgłosiła się centrala koordynująca pomoc w sytuacjach kryzysowych, poprosiłem o przyjazd policji i karetki oraz jasno i zwięźle przedstawiłem przebieg wypadku, zameldowałem odlot balonu z chłopcem, określiłem nasze położenie oraz wskazałem najbliższą drogę, którą można do nas dojechać. To wszystko, co mogłem zrobić, by opanować podniecenie. Chciałem coś wykrzykiwać – rozkazy, napomnienia, nieartykułowane samogłoski. Byłem oschły, energiczny i niewykluczone, że sprawiałem wrażenie szczęśliwego.

– Nie będzie mu potrzebna karetka – rzekł Joseph Lacey, gdy się rozłączyłem.

Greene uniósł wzrok znad swej kostki.

– Będą mieli go czym zabrać.

Przypomniałem sobie. Oczywiście. Tego mi było potrzeba: żeby się czymś zająć. Teraz ogarnęło mnie szaleństwo, chciałem walczyć, biegać, tańczyć, robić cokolwiek.

– A może jeszcze żyje – powiedziałem. – Zawsze jest szansa. Zejdźmy i rzućmy okiem.

Gdy to mówiłem, zdałem sobie sprawę, że drżą pode mną nogi. Chciałem zejść zboczem, ale nie byłem pewien, czy zdołam zachować równowagę. Łatwiej byłoby mi iść pod górę.

– Ty idź – odezwałem się do Parry’ego. Miała to być propozycja, ale moje słowa zabrzmiały jak prośba, jakbym czegoś od niego potrzebował.

Popatrzył na mnie, nie mogąc wydusić z siebie ani sylaby. Wszystko, każdy gest, każde moje słowo, zachowywał w pamięci, zbierał i układał na kupkę jako pożywkę dla swojej obsesji, mającej trwać całą długą zimę.

Oderwałem rękę Clarissy od mego pasa i obróciłem się. Nie przyszło mi do głowy, że usiłuje podtrzymać mnie na nogach.

– Zejdźmy – powiedziałem cicho. – Może coś da się zrobić. – Słyszałem swój kojący głos, zręczne obniżenie tonu. Grałem w cikliwym serialu. „Teraz mówi do swojej kobiety”. Sytuacja intymna, dwa krótkie ujęcia.

Clarissa położyła rękę na moim ramieniu. Później powiedziała, że przeszło jej przez myśl, aby dać mi w twarz.

– Joe – wyszeptała. – Pohamuj się trochę.

– Co się dzieje? – zapytałem głośnie. Człowiek umiera na polu i nikt nawet palcem nie kiwnie. Clarissa patrzyła na mnie, a choć usta jej się poruszały, jakby miała zamiar się odezwać, nie powiedziała, dlaczego powinienem się pohamować. Odwróciłem się i zawołałem do innych, którzy stali w pobliżu na trawie, czekając, jak mi się wydawało, bym zdecydował, co mają robić. – Schodzę do niego. Ktoś idzie ze mną? – Nie czekałem na odpowiedź, lecz ruszyłem w dół wzgórza krótkimi krokami, zdając sobie sprawę, że kolana mam jak galareta. Po dwudziestu sekundach obejrzałem się. Nikt nawet nie drgnął.

Gdy schodziłem, nagły szal zaczął ustępować, a ja poczułem się samotny i schwytyany w sidła własnej decyzji. A był jeszcze

strach, nie całkiem we mnie, lecz na polu, zalegający jak mgła i gęściejszy w samym jądrze. Wchodziłem w niego, ponieważ nie miałem wyboru, bo mnie obserwowali, a gdybym się odwrócił, wspiałbym się z powrotem na wzgórze, co oznaczałoby podwójne upokorzenie. Gdy euforia zgasła, zaczął wkradać się lęk. Nie chciałem natknąć się na trupa, oczekującego mnie na środku pola. Jeszcze gorzej byłoby, gdybym znalazł Logana w agonii. Wówczas musiałbym stanąć z nim twarzą w twarz i samotnie udzielić pierwszej pomocy, co przypominałoby różne głupie sztuczki, którymi popisujemy się na zabawach. Nie dałby się omamić. I tak by umarł, nie zwlekając, na moich rękach, więc wyszłoby na to, że maczałem w tym palce. Chciałem się odwrócić i zawołać Clarisse, ale wiedziałem, że mi się przyglądają, a tak szalałem tam na górze, że teraz się wstydzilem. To długie zejście było moją karą.

Dotarłem do przystrzyżonych wierzb u stóp wzgórza, przeszedłem przez wyschnięty rów i sforsowałem ogrodzenie z drutu kolczastego. Kiedy zniknąłem im z oczu, chciałem zwymiotować, lecz obsiusiałem tylko pień drzewa. Ręka drżała mi jak szalona. Potem stanąłem nieruchomo, odwołując moment wymarszu na pole. Świadomość, że jestem skryty przed ich wzrokiem, sprawiała mi fizyczną ulgę, zupełnie jakbym zyskał osłonę przed pustynnym słońcem. Wiedziałem, gdzie leży Logan, ale nawet z tej odległości nie chciałem na niego spojrzeć.

Owce, które ledwo zwróciły uwagę na gwałtowny upadek, zerknęły tylko i zaczęły się cofać, biegnąc niepewnie, gdy kroczyłem wśród stada. Poczulem się trochę lepiej. Zerkałem na Logana kątem oka, lecz i tak się zorientowałem, że nie leży płasko na ziemi. Na środku pola coś wystawało, jakiś krępy czułek jego obecnej czy poprzedniej istoty. Pozwoliłem sobie spojrzeć nań dopiero wtedy, gdy znalazłem się w odległości dwudziestu metrów. Siedział wyprostowany, plecami do mnie, jakby rozmyślał albo spoglądał w stronę, w którą odleciał balon z Harrym. Z jego postawy bił spokój. Zbliżyłem się, instynktownie zakłopotany tym, że znienacka zachodzę go od tyłu, ale rad, że nie mogę jeszcze dojrzeć jego twarzy. Nadal kurczowo chwytalem się możliwości, że

istnieje jakaś nieznaną mi technika, prawo fizyczne czy proces, który pozwoliłby mu przeżyć. To, że siedział tak spokojnie na polu, jakby dochodził do siebie po swej straszliwej przygodzie, dawało mi nadzieję, toteż odchrząknąłem głupio i zapytałem, wiedząc, że nikt inny nie może mnie usłyszeć:

– Czy potrzebujesz pomocy?

Wówczas nie wydawało się to tak pozbawione sensu. Widziałem jego kręcone włosy na kołnierzyku koszuli i opaloną skórę na czubkach uszu. Na tweedowej marynarce nie znać było żadnych śladów, choć opadała dziwnie, jakby ramiona miał węższe niż normalnie. Były drobniejsze niż u przeciętnego mężczyzny. Od karku nie odchodziło w bok żadne pęknięcie. Szkielet zapadł się do wewnątrz, przez co głowa spoczywała na pogrubionej tyce. I wtedy uświadomiłem sobie, że ów rzekomy spokój to w istocie nieobecność. Nikogo tu nie było. Panowała cisza martwoty i ponownie zrozumiałem, ponieważ widywałem zwłoki już wcześniej, dlaczego w erze przednaukowej musiano wynaleźć duszę. Było to tak jasne jak słońce kryjące się za widnokretem. Zaprzestanie niezliczonych reakcji wymiany, zachodzących w układzie nerwowym oraz podczas procesów biochemicznych, na pierwszy rzut oka przypominało zgaszenie świecy albo zniknięcie pojedynczego, niezbędnego elementu. Jakkolwiek bylibyśmy przygotowani naukowo, w obecności zmarłych wciąż ogarnia nas lęk i groza. Może w istocie zadziwia nas życie.

Takimi myślami starałem się bronić, gdy zacząłem obchodzić zwłoki. Usiadłem na ziemi w niedużym wgłębieniu. Nie widziałem martwego Logana, póki nie spojrzałem mu w twarz. Choć skóra pozostała nienaruszona, nie było to właściwie oblicze, gdyż został strzaskany układ kostny, i nim odwróciłem wzrok, miałem wrażenie krańcowego naruszenia perspektywy na modłę Picassa. Być może wyobraźnia splątała mi figła, lecz wydawało się, że oczy ustawione są pionowo. Gdy spojrzałem na pole, zobaczyłem, że zmierza ku mnie Parry. Musiał iść tuż za mną, gdyż teraz



znajdował się w zasięgu głosu. Na pewno widział, jak przystanąłem pod osłoną drzew.

Zatrzymałem wzrok nad głową Logana, gdy Parry zwolnił kroku i zawołał:

– Nie dotykaj go, proszę, nie dotykaj go!

Nie miałem takiego zamiaru, lecz nic nie odpowiedziałem. Patrzyłem na Parry’ego, jakbym go widział pierwszy raz. Stał z rękami opartymi na biodrach, wpatrując się nie w Logana, lecz we mnie. Nawet w takim momencie bardziej zajmowała go moja osoba. Przyszedł, by mi coś powiedzieć. Był wysoki i szczupły, same kości i żyły. Wydawało się, że jest w dobrej formie. Miał na sobie dżinsy i nowiutkie sportowe buty z czerwonymi sznurówkami. Kości bardzo wydatnie odznaczały się pod skórą, nie tak jak u Logana. Kłykcie, ocierające się o skórzany pas, były duże i ścisłe, wyraźnie widoczne pod napiętą białą skórą. Kości policzkowe również miał wystające, wysoko osadzone, co w połączeniu z włosami związanymi w kucyk nadawało mu wygląd dzielnego indiańskiego młodziana. Jego postać była uderzająca, nawet nieco groźna, lecz głos niweczył całe wrażenie. Brzmiał słabo, z lekkim wahaniem, bez naleciałości, lecz dało się w nim słyszeć ślad czy też przyznanie się do znajomości londyńskiej gwary; była to pozostałość odrzuconej przeszłości, a może Parry chciał pozować na cwaniaczka. Jak większość jego pokolenia wypowiadał zdania twierdzące z intonacją pytającą, co stanowiło przejaw nieudolnego naśladownictwa Amerykanów lub Australijczyków. Możliwe też, że – jak tłumaczył jeden z lingwistów – ci młodzi ludzie, pełni rozterek, ugrzęźli w relatywizmie i przepraszając za to, że żyją, nie umieli sklecić zdania o otaczającym ich świecie.

Oczywiście nic z tych rzeczy nie przyszło mi wówczas do głowy. Słyszałem tylko skomlenie bezsilności, toteż uspokoiłem się.

– Clarissa naprawdę się o ciebie martwi – powiedział. – Obiecałem, że zejdę i zobaczę, czy nic ci nie jest?

Przyjąłem jego słowa we wrogim milczeniu. Wyrosłem już ze zwyczaju tykania nieznanym, raziło mnie też, że Parry twierdzi, jakoby orientował się w stanie ducha Clarissy. W owym czasie nie znałem nawet jego imienia. I choć między nami siedział martwy mężczyzna, przeważały zasady konwenansu. Jak się później dowiedziałem od Clarissy, Parry podszedł do niej, by się przedstawić, po czym odwrócił się i zszedł z boczem. Nic mu o mnie nie mówiła.

– Nic ci nie jest?

– Możemy tylko czekać – odparłem i gestem wskazałem drogę biegnącą za następnym polem.

Parry podszedł parę kroków i spojrzał na Logana, a potem znowu na mnie. Szaroniebieskie oczy lśniły. Był podniecony, ale nikt nigdy by się nie domyślił, do jakiego stopnia.

– W zasadzie moglibyśmy coś zrobić.

Spojrzałem na zegarek. Minęło piętnaście minut, odkąd zawiadomiłem służby ratunkowe.

– Proszę bardzo – rzekłem. – Rób, co chcesz.

– Możemy zrobić to razem? – rzekł, szukając na ziemi odpowiedniego miejsca.

Przyszła mi do głowy szalona myśl, że chce się dopuścić jakiegoś lubieżnego czynu ze zwłokami. Pochylał się i zapraszał mnie spojrzeniem, bym do niego dołączył. Potem mi zaświtało. Osunął się na kolana.

– Możemy – powiedział z powagą wzbraniającą szyderstwa – pomodlić się razem? – Zanim zdążyłem się zachnąć, co przez chwilę było niemożliwe, gdyż odebrało mi mowę, Parry dodał: – Wiem, że to trudne. Ale pomaga. W takich chwilach jak ta naprawdę działa.

Odsunąłem się o krok od Logana i Parry'ego. Byłem zażenowany i przede wszystkim starałem się nie dotknąć

prawdziwego wyznawcy wiary. Ale zdołałem się opanować. Wyraźnie nie chciał mnie obrazić.

– Niestety – odparłem uprzejmie. – To mnie zupełnie nie interesuje.

Parry, patrząc z dołu, usiłował przemówić mi do rozsądku.

– Nie znamy się, więc z jakiej racji miałbyś mi wierzyć? Tyle że Bóg zetknął nas ze sobą w obliczu tej tragedii i musimy nadać jej jakiś sens. – Potem, widząc, że się nie ruszam, dodał: – Odczuwasz chyba specjalną potrzebę modlitwy.

– Niezupełnie – odparłem, wzruszając ramionami. – Ale ty się nie krępuj – dodałem z nieco amerykańskim akcentem, by dać mu do zrozumienia, że jest mi lekko na duchu, co nie było prawdą.

Parry nie poddawał się. Nadal klęczał.

– Chyba nie rozumiesz. Nie powinieneś tego traktować jako obowiązku. To jakby odpowiedź na twoje własne potrzeby. I nie ma nic wspólnego ze mną, naprawdę. Jestem tylko posłańcem. To dar.

Gdy mocniej naciskał, opuściły mnie resztki zażenowania.

– Dziękuję, nie skorzystam.

Parry zamknął oczy i głęboko zaczerpnął powietrza, nie tyle modląc się, ile zbierając siły. Postanowiłem wspiać się z powrotem na wzgórze. Gdy usłyszał moje kroki, podniósł się i podszedł do mnie. Naprawdę nie chciał, żebym odchodził. Za wszelką cenę usiłował mnie przekonać, ale nie porzucił cierpliwego, wyrozumiałego tonu. Uśmiechając się jakby przez barierę bólu, powiedział:

– Proszę, nie odmawiaj mi. Wiem, że normalnie tego nie robisz. Nie musisz w nic wierzyć, po prostu pozwól sobie na to, a przyrzekam ci, przyrzekam...

Gdy potknął się na treści swych obietnic, przerwałem mu i cofnąłem się. Podejrzywałem, że w każdej chwili może wyciągnąć rękę i dotknąć mnie.

– Tak się składa, że muszę wracać do swojej przyjaciółki. – Nie mogłem się zmusić, by wymówić w jego obecności imię Clarissy.

Chyba się zorientował, że może zdoła mnie zatrzymać, jeśli krańcowo zmieni ton. Odszedłem już kilka kroków, gdy zawołał nagle:

– No dobrze, jak chcesz! Z łaski swojej powiedz mi tylko jedno.

Było to nieodparte wezwanie. Zatrzymałem się i odwróciłem.

– Co właściwie stoi ci na przeszkodzie? Czy jesteś w stanie mi to powiedzieć, czy sam wiesz, o co ci chodzi?

Przez chwilę myślałem, że nic mu nie powiem. Niech wie, że jego wiara nie nakłada na mnie żadnych zobowiązań. Ale nagle zmieniłem zdanie.

– Nic – odparłem. – Nic nie stoi mi na przeszkodzie.

Znowu ku mnie szedł, ręce zwisały mu luźno po bokach, dłonie odwrócił, a palce rozczapierzył, odgrywając rozsądnego człowieka, którego ogarnęło zdumienie.

– Więc dlaczego nie zaryzykujesz? – zapytał, śmiejąc się niewymuszenie. – Może odkryjesz tkwiący w tym sens, siłę, którą dzięki temu możesz zyskać. Dlaczego nie miałbyś spróbować?

Znowu zawahałem się i już miałem nie odpowiadać. Doszedłem jednak do wniosku, że powinien znać prawdę.

– Bo, przyjacielu, nikt nie słucha. Nikogo tam nie ma.

Parry przechylił głowę, a jego twarz rozjaśnił najradośniejszy z uśmiechów. Zastanawiałem się, czy dobrze usłyszał, gdyż patrzył na mnie, jakbym właśnie mu oznajmił, że jestem Janem Chrzcicielem.

Wtedy ponad jego ramieniem zauważyłem dwóch policjantów, którzy wspinali się na bramę zamkniętą na pięć rygli. Gdy biegli ku nam przez pole, jeden z nich ręką przytrzymał

kask. Przybyli, by rozpocząć proces ujmowania w oficjalne ramy losu Johna Logana i – w moim pojęciu – by mnie uwolnić od promieniującej mocy miłości i litości Jeda Parry'ego.

### 3

O szóstej tego wieczoru byliśmy już w domu, w naszej kuchni, i wszystko wyglądało tak samo: dworcowy zegar nad drzwiami, biblioteka Clarissy zawierająca książki kucharskie, wiadomość od sprzątaczkę, wypisana kaligraficznym pismem poprzedniego dnia i zdobna w esy-floresy. Niezmieniony układ mojej porannej filiżanki na kawę i gazety wydawał się bluźnierstwem. Clarissa zaniósła bagaż do sypialni, a ja tymczasem sprzątnąłem ze stołu, otworzyłem wino, które mieliśmy pić na pikniku, i wyjąłem dwa kieliszki. Usiedliśmy naprzeciw siebie i zaczęliśmy.

W samochodzie nie rozmawialiśmy wiele. Staraliśmy się jedynie przedostać bez szwanku przez sznury pojazdów. Teraz wydarzenia popołudnia buchnęły strumieniem, analizowaliśmy je szczegółowo, przeżywaliśmy na nowo, ustalaliśmy szczegóły, przetrawialiśmy swój smutek, odpędzaliśmy strach. Tylokrotnie w ciągu tego wieczoru omawialiśmy przeszłe zdarzenia, sposób, w jaki je postrzegaliśmy, nawet słowa i zwroty dobieraliśmy tak precyzyjnie, by jak najlepiej oddawały nasz stan ducha, aż zdało się, że odprawiamy rytualny obrzęd, że są to nie tylko opisy, ale i zaklęcia. Liczne powtórki niosły pociechę, podobnie jak znajomy ciężar kieliszków z winem czy słoje na sosnowym stole, który należał niegdyś do prababki Clarissy. Na jego powierzchni, obok porzniętych nożem krawędzi, znajdowały się gładkie, płytkie zagłębienia, wyżłobione, jak zawsze sądziłem, wieloma łokciami, które wbijano w nią tak, jak my robimy to teraz – przy tym okrągłym stole rozpamiętywano wiele ciężkich sytuacji i śmierci.

Clarissa pospiesznie opowiedziała początek tej historii, opisała rozkołysaną, niezdarną płataninę lin i ludzi, krzyki i przekleństwa, wyjawiała, że podeszła tam, by pomóc, lecz nie mogła znaleźć wolnej liny, której mogłaby się uchwycić. Razem miotaliśmy przekleństwa na pilota Jamesa Gadda i jego nieudolność, ale nie na długo uchroniło nas to przed rozważaniami o wszystkim, co powinniśmy byli zrobić, by

zapobiec śmierci Logana. Jak to czyniliśmy już wielokrotnie tego wieczoru, przeskoczyliśmy myślą naprzód do momentu, gdy puścił sznur. Opowiedziałem, jak zdawał się wisieć w powietrzu, nim spadł, a jej przemknął wówczas przez myśl fragment z Milтона: „Moc najwyższa wówczas w dół go straciła i runął płonący w bezdenną zgubę żaru”<sup>1</sup>. Ale raz po raz cofaliśmy się przed tą chwilą, okrążając ją, podkradaliśmy się pod nią, aż wreszcie dała się zapędzić do rogu, gdzie ujarzmiliśmy ją słowami. Powróciliśmy do zmagania z balonem i linami. Poczucie winy przyprawiało mnie o mdłości, ale nie mogłem jeszcze o tym mówić. Pokazałem Clarissie otarcia od sznura na rękach. Skończyliśmy gassaca w niespełna pół godziny. Uniosła moje ręce do ust i ucałowała dłonie. Patrzyłem jej w oczy – piękne, kochające, zielone – ale ta chwila nie mogła trwać wiecznie, niedane nam było cieszyć się takim spokojem.

Clarissa zamrugła i krzyknęła:

– O Boże, ale kiedy upadł! – a ja pospiesznie wstałem, by zdjąć z półki butelkę beaujolais.

Znowu powróciliśmy do upadku, zastanawialiśmy się, ile czasu upłynęło, nim uderzył o ziemię, dwie sekundy czy trzy. Natychmiast cofnęliśmy się do kwestii marginalnych, policji, sanitariuszy – jeden nie miał dość siły, by utrzymać swój koniec noszy, na których leżał Greene, aż Lacey musiał pomóc go przenieść przez pole do ciężarówki z pomocy drogowej, która odholowała samochód Logana. Usiłowaliśmy sobie wyobrazić, jak podstawiają ten pusty samochód pod dom w Oksfordzie, gdzie pani Logan czekała z dwojgiem dzieci. Ale to również było nie do zniesienia, toteż powróciliśmy do naszych własnych opowieści. W toku narracji zasupływaliśmy się, natykali na gmatwaninę grozy, na którą z początku nie mogliśmy patrzeć, lecz tylko przybliżaliśmy się do niej, by się wycofać i znowu powrócić do tych zmagania. Byliśmy więźniami w celi, biegaliśmy między ścianami i waliliśmy w nie głowami. Stopniowo nasze więzienie stawało się coraz większe.

---

<sup>1</sup> John Milton, *Raj utracony*, I, 53-55; przeł. Maciej Słomczyński.

O dziwo, z Jedem Parrym znajdowaliśmy się na bezpieczniejszym gruncie. Clarissa opowiedziała mi, jak do niej podszedł, przedstawił się, a ona podała mu swoje imię. Nie uścisnęli sobie dłoni. Potem odwrócił się i zszedł za mną ze wzgórze. Z komediowym zacięciem zrelacjonowałem, jak usiłowałem mnie skłonić do modlitwy, a Clarissa się roześmiała. Splotła swoje palce z moimi i ścisnęła je. Chciałem powiedzieć, że ją kocham, ale nagle między nami usiadła postać Logana, wyprostowana i nieruchoma. Musiałem go opisać. We wspomnieniu było to znacznie gorsze niż w rzeczywistości. Wstrząs pewnie stępił wówczas moją reakcję. Zacząłem opowiadać, jak poszczególne fragmenty jego twarzy znalazły się w niewłaściwych miejscach, i przerwałem opis, by wspomnieć o różnicy między tamtą chwilą a obecną, o tym, jak logika marzenia sennego, rzecz nie do zniesienia, przekształca w coś całkiem zwyczajnego i jak nie chciałem prowadzić rozmowy z Parrym, skoro potrząskany Logan siedział na ziemi. I nawet gdy to mówiłem, przyszło mi do głowy, że nadal unikam Logana, że bronię się przed kontynuacją rozpoczętego opisu, gdyż wciąż nie przyjąłem do wiadomości faktów, i o tym też chciałem powiedzieć Clarissie. Przyglądała mi się cierpliwie, gdy cofałem się po spirali pamięci, emocji i komentarzy. Rzecz nie w tym, że nie mogłem znaleźć słów, nie mogłem zapanować nad pędem myśli. Clarissa odsunęła krzesło, podeszła i przycisnęła moją głowę do piersi. Umilkłem i zamknąłem oczy. Przez nitki jej swetra zaczerpnałem haust świeżego powietrza i wydało mi się, że niebo rozpościera się przede mną.

Niebawem znowu zasiedliśmy na swoich miejscach, opierając się na stole niczym rzemieślnicy pogrążeni w pracy, szlifując poszarpane krawędzie wspomnień, wtłaczając niewysłowione w formę słów, łącząc poszczególne spostrzeżenia w jeden ciąg, aż Clarissa znowu zawróciła nas do upadku, do momentu, w którym Logan ześlizgnął się z liny, zwiślał na niej przez jedną cenną sekundę, po czym puścił. Musiała do tego wrócić, do tego obrazu przywarł jej wstrząs. Powiedziała to jeszcze raz i powtórzyła wers z *Raju utraconego*. Potem wyjawiała mi, że



ona również natężyła całą wolę, pragnąc, by został uratowany, nawet gdy już spadał. Pomyślała o aniołach, nie o potępieńcach Milтона straconych z niebios, lecz o ucieleśnieniu wszelkiej dobroci i sprawiedliwości w złotej postaci pikującej ze swej bazy w chmurach, by zgarnąć w ramiona spadającego człowieka. W owej szalonej, tak wyładowanej myślami sekundzie miała wrażenie, że upadek Logana stanowi wyzwanie, któremu żaden anioł nie zdoła się oprzeć, i że jego śmierć zaprzecza istnieniu tych istot. Czy wymaga to zaprzeczenia? – chciałem zapytać, lecz ścisnęła mnie za rękę, mówiąc: „Był dobrym człowiekiem”, z tak błagalną nutą w głosie, jakbym zamierzał go potępić.

– Chłopiec został w koszu i Logan nie chciał puścić. Miał własne dzieci. Był dobrym człowiekiem.

W wyniku operacji, którą Clarissa przeszła w wieku dwudziestu paru lat, nie mogła mieć dzieci. Była przekonana, że wyniki jej badań pomyłono z diagnozą postawioną jakiejś innej kobiecie, lecz nie można było tego dowieść, a proces ślimaczył się z powodu odroczeń i uników strony przeciwnej, aż w końcu został umorzony. Z wolna pogrzebała smutek i na nowo odbudowała swoje życie, starając się, by dzieci stanowiły jego część. Siostrzeńcy, siostrzenice, chrześniacy, dzieci sąsiadów i starych przyjaciół – wszyscy ją uwielbiali. Pamiętała o ich urodzinach i prezentach gwiazdkowych. W domu mieliśmy jeden pokój, na poły dziecinny, na poły przystań nastolatków, w którym czasami pomieszkiwały dzieci i młodzież. Przyjaciele uważali, że Clarissa ma udane życie, jest szczęśliwa, i przeważnie mieli rację. Lecz czasami zdarzało się coś, co budziło w niej dawne poczucie utraty. Pięć lat przed wypadkiem z balonem, gdy mijał drugi rok naszej znajomości, Marjone, dobra przyjaciółka z czasów uniwersyteckich, z powodu rzadkiej infekcji bakteryjnej straciła miesięczne dziecko. Clarissa pojechała do Manchesteru, by obejrzeć noworodka, gdy miał zaledwie pięć dni, i spędziła tam tydzień, pomagając w opiece nad dzieckiem. Wiadomość o śmierci maleństwa ścięła ją z nóg. Nigdy nie widziałem tak obezwładniającego smutku. Cierpiała nie tyle z powodu losu dziecka, ile poczucia utraty u Marjorie, które odczuwała jak

własne. Wyszło na jaw, że Clarissa opłakuje swoje, widmowe dziecko, powołane na poły do życia przez niespełnioną miłość. Ból Marjorie stał się cierpieniem Clarissy. Po paru dniach wróciła do równowagi i znowu starała się być tak użyteczna dla przyjaciół, jak tylko mogła.

Był to krańcowy przykład. Innymi razy niepoczęte dziecko ledwo zdążyło się poruszyć i ta chwila mijała. Teraz w Johnie Loganie dojrzała człowieka gotowego umrzeć, by nie dopuścić do owej utraty, której sama doznała. Chłopiec nie był jego synem, lecz Logan wszak miał dzieci i rozumiał. Siła jego miłości przeszła pancierz, który w sobie wytworzyła Clarissa. Tym błagalnym tonem – był dobrym człowiekiem – prosiła własną przeszłość, ducha swego dziecka, o wybaczenie.

Nie do przyjęcia było to, że Logan zginął niepotrzebnie. Chłopcu, Harry'emu Gaddowi, nic się nie stało. Puściłem linę. Przyczyniłem się do śmierci Johna Logana. Lecz nawet doznając powracającego wraz z mdłościami poczucia winy, usiłowałem przekonać samego siebie, że postąpiłem słusznie. Inaczej spadlibyśmy razem i Clarissa siedziałaby tu dziś samotna. Pod wieczór dowiedzieliśmy się od policjantów, że chłopiec bezpiecznie wylądował dwadzieścia kilometrów dalej na zachód. Gdy się zorientował, że jest zdany tylko na siebie, musiał wstać z pokładu, by się ratować. Ponieważ nie udzielała mu się już panika dziadka, opanował sytuację i robił wszystko jak należy. Wzniósł balon wysoko nad linią wysokiego napięcia, po czym otworzył zawór gazu i łagodnie wylądował na polu w pobliżu wioski.

Clarissa zamilkła. Oparła podbródek na kłykciach i wpatrywała się w słoje blatu.

– Tak – odezwała się wreszcie. – Chciał uratować dziecko. – Z wolna potrząsnęła głową, potwierdzając niewypowiedzianą myśl. Czekałem, rad, że mogę uciec od własnych uczuć, by pomóc Clarissie uporać się z emocjami. Wiedziała, że się jej przypatruję, i uniosła wzrok. – To musi coś oznaczać – rzekła bezbarwnym głosem.

Zawahałem się. Nie uznawałem podobnego toku rozumowania. Śmierć Logana była bezcelowa – między innymi dlatego doznaliśmy szoku. Dobrzy ludzie czasami cierpieli i umierali nie po to, by wypróbować swą dobroć, ale dlatego, że nie było niczego ani nikogo, kto mógłby poddać ją próbie. Nikogo z wyjątkiem nas. Zbyt długo milczałem, gdyż dodała nagle:

– Nie przejmuj się, Joe. Nie zamierzam ci tu wariować. Powiedz, jaki jest sens tego wszystkiego.

– Usiłowaliśmy pomóc, ale się nam nie udało – odparłem.

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Podszedłem do niej, otoczyłem ją ramionami i złożyłem opiekuńczy pocałunek na czubku głowy. Z westchnieniem przycisnęła twarz do mojej koszuli i objęła mnie w pasie. Głos miała stłumiony.

– Straszny z ciebie głuptas. Czasami zachowujesz się tak rozsądnie jak dziecko...

Czy to znaczy, że utożsamia rozsądek z niewinnością? Nigdy się nie dowiedziałem, gdyż lekko przesuwiała dłońmi po moich pośladkach w kierunku krocza. Pieściła jądra i trzymając na nich rękę, rozluźniła mi pasek, podciągnęła koszulę i zaczęła całować mój brzuch.

– Powiem ci, co to między innymi znaczy, ty baranku boży. Widzieliśmy razem coś strasznego. To nie przeminie, więc musimy sobie pomóc. A to znaczy, że musimy się kochać jeszcze bardziej.

Oczywiście. Dlaczego o tym nie pomyślałem? Dlaczego nie rozumowałem w ten sposób? Potrzebowaliśmy miłości. Próbowałem odmówić sobie nawet dotknięcia jej ręki, uznając, że uczucie jest czymś niestosownym, folgowaniem sobie, brakiem szacunku w obliczu śmierci. Czymś, do czego wrócimy później, gdy skończą się wszystkie rozmowy i konfrontacje. Clarissa zwróciła się ku rzeczy najważniejszej. Trzymając się za ręce, weszliśmy do sypialni. Usiadła na krawędzi łóżka, a ja ją rozebrałem. Gdy pocałowałem jej szyję, przyciągnęła mnie do siebie.

– Nieważne, co robimy – wyszeptała. – Nie musimy nic robić. Chcę cię tylko obejmować.

Z podciągniętymi kolanami wsunęła się pod koce, a ja tymczasem rozbierałem się. Gdy wszedłem do łóżka, objęła mnie za szyję i przyciągnęła moją twarz do swojej. Wiedziała, że szaleję za takim uściskiem. Czułem wtedy, że należymy do siebie, że mam własne miejsce na ziemi i że spływa na mnie błogosławieństwo. Wiedziałem, że uwielbia, gdy całuję jej opuszczone powieki, nos i policzki, jakby była dzieckiem szykującym się do snu, i dopiero na koniec odnajduję jej wargi.

Często besztaliśmy się za to, że marnujemy czas, gdy ubrani siedzimy na krzesłach i rozmawiamy, a przecież moglibyśmy robić to samo, leżąc w łóżku, z twarzą przy twarzy, nadzy. Pseudokliniczna nazwa „gra wstępna” odziera te drogocenne chwile z całego uroku, kiedy to świat wokół nas zawęża się i pogłębia, nasze głosy toną w ciepłe ciała, rozmowa oparta na skojarzeniach staje się nieprzewidywalna. Liczy się tylko dotyk i oddech. Przychodzą mi do głowy pewne proste zwroty, których nie wypowiadam na głos, gdyż brzmią zbyt banalnie: „No i dobiliśmy do portu” albo „Jeszcze raz” czy „Tak, to”. Jak o chwili w powracającym marzeniu sennym, tak i o tych pojemnych, niewinnych minutach zapominamy aż do momentu, kiedy znowu się w nie zagłębimy. A gdy się już w nich znajdziemy, nasze żywoty powracają do spraw najistotniejszych i zaczynamy na nowo. Kiedy zapadamy w milczenie, leżymy obok siebie tak blisko, że stykamy się ustami, i odwlekamy połączenie, które dzięki owemu preludium zwiąże nas jeszcze mocniej.

A zatem dobiliśmy do portu, jeszcze raz, i to było wybawienie. Ciemność, rozciągająca się poza mrokiem sypialni, wydawała się nieskończona i zimna jak śmierć. Byliśmy ciepłym punkcikiem w przestworzach. Popołudniowe wydarzenia wypełniały nas, ale wykluczaliśmy je z rozmowy.

– Jak się czujesz? – zapytałem.

– Jestem przerażona – odparła. – Ciężko przerażona.

- Nie widać tego po tobie.
- W środku cała się trzęsę.

Nie chcąc podążać torem, który niechybnie zaprowadziłby nas z powrotem do Logana, opowiadaliśmy sobie historyjki wywołujące trzęsionkę i drżączkę i – jak to często bywało w tych naszych rozmowach – skupialiśmy się na czasach dzieciństwa. Gdy Clarissa miała siedem lat, spędzała wakacje u rodziny w Walii. Jedna z kuzynek, pięcioletnia dziewczynka, zaginęła pewnego deszczowego poranka i po sześciu godzinach jeszcze jej nie odnaleziono. Przyszła policja z dwoma psami tropicielami. Wieśniacy przeczesywali kępy paproci, a przez jakiś czas helikopter patrolował wzniesienia. Tuż przed zmrokiem dziewczynkę znaleziono w stodole, śpiącą pod workami. Clarissa przypomniała sobie ogólne świętowanie tego wieczoru w wynajętym wiejskim domu. Jej wujek, ojciec dziewczynki, właśnie odprowadził ostatniego policjanta do drzwi. Gdy wrócił do pokoju, potknął się i opadł ciężko na fotel. Nogi trzęsły mu się jak szalone, a dzieci patrzyły z zachwytem, jak ciotka Clarissy uklękła obok męża i kojąco przycisnęła mu dłonie do ud.

– W owym czasie nie łączyłam tego z poszukiwaniem kuzynki. Była to po prostu jedna z tych dziwnych rzeczy, którym dzieci przyglądają się beznamietnie. Myślałam, że właśnie to dorośli nazywają pijaństwem, te dwa kolana podskakujące w górę i w dół w jego spodniach.

Opowiedziałem jej o swoim pierwszym występie, kiedy to w wieku jedenastu lat zagrałem przed publicznością na trąbce. Byłem straszliwie stremowany, a ręce tak mi się trzęsły, że nie mogłem utrzymać ustnika przy wargach ani rozciągnąć ich jak należy, by wygrać nutę. A więc wsadziłem ustnik między zęby, zacisnąłem je mocno, żeby nie podskakiwał, i częściowo wyśpiewałem, częściowo wytrąbiłem swoją partię. W ogólnej kakofonii dziecięcej orkiestry, grającej w Boże Narodzenie, nikt niczego nie zauważył.

– Nawet teraz nieźle naśladujesz trąbkę w wannie – rzekła Clarissa.

Od trzęsionki przeszliśmy do tańca (ja go nienawidzę, ona uwielbia), a stamtąd do miłości. Mówiliśmy sobie to, czego kochankom nigdy nie znudzi się słuchać i co muszą powtarzać.

– Kocham cię jeszcze bardziej, odkąd zobaczyłam, jak zupełnie zwariowałeś – rzekła. – Racjonalista wreszcie się złamał!

– To dopiero początek – obiecałem. – Czekaj, co będzie dalej. Ta aluzja do mojego zachowania tylko na jakieś pół minuty zakłóciła czarowny nastrój. Przytuliliśmy się do siebie i pocałowali. To, co później nastąpiło, stało się jeszcze bardziej intensywne dzięki niezwyklej emocjonalnej spontaniczności pojednania, jakby nieszczęsna całotygodniowa awantura, z groźbami i obelgami, została uroczo zakończona wzajemnym wybaczeniem. Nie mieliśmy czego sobie wybaczać, chyba że wzajemnie rozgrzeszaliśmy się z tej śmierci, ale takie uczucia opanowywały nas z każdą falą zmysłowego doznania. Za tę ekstazę zapłaciłem wysoką cenę; musiałem odpędzać od siebie obraz ciemnego domu w Oksfordzie, odosobnionego, jakby stał na pustyni, gdzie z okna na piętrze dwoje zbitych z tropu dzieci obserwuje pełnych uroczystej powagi gości, przybywających do ich matki.

Potem usnęliśmy, a kiedy się obudziliśmy, mniej więcej po godzinie, byliśmy głodni. To właśnie gdy w szlafrokach wróciliśmy do kuchni i ogołacaliśmy lodówkę, odczuliśmy potrzebę towarzystwa. Clarissa poszła do telefonu. Zaspokojenie emocjonalne, seks, dom, wino, jedzenie, towarzystwo – chcieliśmy ponownie potwierdzić istnienie naszego świata. Po upływie pół godziny siedzieliśmy z przyjaciółmi, Tonym i Anną Bruce'ami, jedząc zamówioną przeze mnie tajską potrawę. Opowiadaliśmy im naszą historię w typowo małżeńskim stylu: raz mówiło tylko jedno z nas, czasem wpadaliśmy sobie w słowo, kiedy indziej któreś milkło, by oddać głos drugiemu. Czasami rozprawialiśmy jednocześnie, lecz mimo wszystko nasza opowieść stawała się spójna, miała odpowiednią formę i teraz snuliśmy ją z

bezpiecznego miejsca. Patrzyłem, jak rozważne, inteligentne twarze zasepiają się pod wpływem słyszanych słów. Szok przyjaciół był zaledwie cieniem naszego, jak gdyby z dobrej woli starali się naśladować to uczucie, i dlatego korciło nas, by przesadzać, rzucać linę patosu nad przepaścią, która oddziela przeżycie od jego przedstawienia w anegdocie. Przez kolejne dni i tygodnie Clarissa i ja wielokrotnie opowiadaliśmy naszą historię przyjaciołom, kolegom i krewnym. Stwierdziłem, że używam ciągle tych samych zwrotów, tych samych przymiotników, w identycznym porządku. Mogliśmy już relacjonować te wypadki, nie przeżywając ich na nowo w najmniejszym stopniu, nawet ich nie pamiętając.

Odprowadziłem Tony'ego i Annę o pierwszej w nocy, a gdy wróciłem, ujrzałem, że Clarissa przegląda jakieś notatki do wykładów. Oczywiście jej urlop naukowy dobiegł końca. Poszedłem do swojego gabinetu i zerknąłem na kalendarz, choć wiedziałem dokładnie, co tam figuruje – dwa spotkania i tekst do oddania na piątą. W pewnym sensie byliśmy dobrze zabezpieczeni przed katastrofą. Mieliśmy siebie, a także wielu starych przyjaciół. Musieliśmy się też podporządkować wymogom interesującej pracy, która nas pochłaniała. Stałem w świetle lampy na biurku, spoglądając na kilka listów, na które nie odpowiedziałem. Leżały nieporządnie na kupce, a ja dzięki nim poczułem się spokojniejszy.

Rozmawialiśmy jeszcze z pół godziny, ale tylko dlatego, że byliśmy zbyt zmęczeni, by cokolwiek zrobić przed pójściem do łóżka. Dowlekliśmy się do niego o drugiej w nocy. Upłynęło zaledwie pięć minut, odkąd zgasiliśmy światło, gdy zadzwonił telefon i wyrwał mnie z pierwszego snu.

Bez wątpienia dokładnie pamiętam jego słowa.

– Czy to Joe? – zapytał. Nie odezwałem się. Rozpoznałem ten głos. – Chcę tylko, byś wiedział, że rozumiem, co czujesz. Ja odczuwam to samo. Kocham cię.

Odłożyłem słuchawkę.

– Kto to był? – wymamrotała w poduszkę Clarissa.

Może z powodu zmęczenia, a może by ją osłonić, zataiłem przed nią słowa, które właśnie usłyszałem, ale wiem, że popełniłem pierwszy poważny błąd, gdy odwróciłem się na swoją stronę łóżka i powiedziałem:

– Nic takiego. Pomyłka. Idź spać.



## 4

Gdy obudziliśmy się następnego ranka, wydarzenia te nadal rozbrzmiewały w powietrzu nad łóżkiem, lecz dzień, z pasmem ciężących na nas zobowiązań, był jak balsam na nasze nerwy. Clarissa wyszła o wpół do dziewiątej, by poprowadzić seminarium dla studentów na temat poezji romantycznej. Wzięła udział w zebraniu poświęconym sprawom administracyjnym wydziału, zjadła drugie śniadanie z kolegą, oceniła zadania semestralne i przez godzinę sprawdzała postępy prac doktoranta, który pisał o Leigh Huncie. Gdy wróciła do domu o szóstej, mnie jeszcze nie było. Załatwiła kilka telefonów, wzięła prysznic i poszła na kolację ze swym bratem Lukiem, którego małżeństwo po piętnastu latach zaczęło się rozpadać.

Ja wziąłem prysznic rano. Zabrałem ze sobą do gabinetu termos z kawą i przez kwadrans zastanawiałem się, czy nie ulec pokusom wolnego zawodu – gazetom, telefonom, marzeniom na jawie. Chciałem przemyśleć wiele spraw. Wpatrując się w ścianę, miałbym cały czas zajętą głowę. Ale wziąłem się w garść i postanowiłem skończyć artykuł o teleskopie Hubble’a, przygotowywany dla amerykańskiego czasopisma.

Projekt ten interesował mnie od dawna. Ucieleśniał niemożny heroizm i majestat, nie służył celom militarnym, nie można było zbić na nim błyskawicznej fortuny, a zrealizowano go z powodów prostych i szlachetnych – by wiedzieć i rozumieć więcej. Gdy odkryto, że dwuipółmetrowe zwierciadło główne jest o ćwierć milimetra za płaskie, nie wywołało to na Ziemi powszechnego rozczarowania. Zapanowała wesołość z rodzaju *Schadenfreude*, poczucie triumfalizmu, a przez całą planetę przeszedł szyderczy chichot. Od czasu zatonięcia „Titanica” surowo sądziliśmy naszych techników, wyszydając ich wygórowane ambicje. Ludziska powiadają: oto największa zabawka w przestrzeni kosmicznej, wysoka jak czteropiętrowy budynek, która miała ukazać cuda naszym siatkówkom, obrazy zarania wszechświata, nasze początki u początków czasu.

Zawiodła nie z powodu jakichś algorytmicznych arkanów oprzyrządowania, lecz w wyniku zupełnie zrozumiałego błędu – złego ogniskowania, którego przyczyną były wady w staroświeckim polerowaniu. Hubble stał się głównym obiektem ataków telewizyjnych humorystów, nasuwał fonetyczne skojarzenia z bublek i stanowił dowód na ostateczny upadek amerykańskiego przemysłu.

Zamysł Hubble'a świadczył o niezwykłym rozmachu, lecz operacja ratunkowa przeprowadzona została z najwyższą techniczną finezją. Setki godzin spędzonych przez astronautów poza statkiem kosmicznym, dziesięć zwierciadeł korekcyjnych, z nieludzką precyzją umieszczonych wokół krawędzi wadliwej soczewki, a na Ziemi, w stacji kontroli lotów, wagnerowska orkiestra naukowców i komputerów o dużej mocy. Z technicznego punktu widzenia była to operacja trudniejsza niż wysłanie człowieka na Księżyc. Błąd naprawiono, obrazy z przestrzeni kosmicznej, liczące dwanaście miliardów lat, były przekazywane wiernie i ostro, świat zapomniał o swej pogardzie i nie mógł wyjść z podziwu – przez jeden dzień – po czym zajął się własnymi sprawami.

Pracowałem bez przerwy przez dwie i pół godziny. Gdy wystukiwałem artykuł, męczył mnie jakiś niepokój, doznanie fizyczne, którego nie potrafię dokładnie określić. Pewnych błędów nie zdołają naprawić całe zastępy astronautów. Jak mojego wczoraj. Ale co ja takiego zrobiłem, czego zaniechałem? Jeśli wina leży po mojej stronie, w którym momencie zaczyna się odpowiedzialność? Przy linach pod balonem czy też kiedy je puściłem, a może potem przy zwłokach albo gdy wczoraj wieczorem odebrałem telefon? Czuję coś niemilego na skórze i nie tylko, jakbym się nie umył. Lecz gdy przerwałem pisanie i rozważyłem wszystkie wydarzenia, nie dopatrzyłem się w nich śladu swojej winy. Potrząsnąłem głową i zacząłem pisać szybciej. Nie wiem, jak późną nocą udało mi się odsunąć wszelkie myśli o telefonie. Zdołałem połączyć go z wszystkimi kłopotami poprzedniego dnia. Chyba nadal byłem w szoku i starałem się ukoić nerwy wyteżoną pracą.

Skończyłem artykuł, poprawiłem go, wydrukowałem i przefaksowałem do Nowego Jorku, pięć godzin przed ostatecznym terminem. Zadzwoiłem na posterunek w Oksfordzie, gdzie przełączano mnie do trzech wydziałów, lecz dowiedziałem się, że będzie przeprowadzone dochodzenie w sprawie śmierci Johna Logana oraz że sąd koronera zbierze się za trzy tygodnie na sesji, na której wszyscy powinniśmy być obecni.

Taksówką pojechałem do Soho na spotkanie z producentem wywiadów radiowych, który wprowadził mnie do swego gabinetu i powiedział, że chciałby, abym zrobił program o warzywach sprzedawanych w supermarkecie. Odparłem, że się tym nie zajmuję. Wówczas producent, imieniem Eric, szczerze mnie zdumiał, wstał bowiem i wygłosił pełną żaru przemowę. Powiedział, że żądanie konsumentów, by wszystkie produkty sezonowe, jak na przykład truskawki, były w sprzedaży przez cały rok, niszczy środowisko oraz lokalne gospodarki w rozmaitych krajach afrykańskich. Powiedziałem, że ten temat jest mi obcy, i podałem mu nazwiska paru osób, które mogłyby go podjąć. A potem, choć ledwo znałem Erica, a może właśnie dlatego, z równym żarem opowiedziałem mu całą historię. Nie mogłem się powstrzymać. Musiałem się nią z kimś podzielić. Eric słuchał uważnie, wydając odpowiednie dźwięki i potrząsając głową, ale patrzył na mnie, jakbym był zakażony, jakbym wniósł do jego gabinetu świeżo zmutowany wirus nieszczęścia. Mógłbym urwać albo wymyślić jakieś zakończenie. Ciągnąłem dalej, ponieważ nie mogłem przestać. Mówiłem to dla siebie i złota rybka z powodzeniem zastąpiłaby tu producenta wywiadów. Gdy skończyłem, pospiesznie się pożegnał – miał następne spotkanie, będzie ze mną w kontakcie i zaproponuje mi inny temat – a gdy wyszedłem na Meard Street, w jej brudzie poczułem się skalany. Powróciło nienazwane doznanie, tym razem w formie kłujących igiełek w karku i nieprzyjemnych sensacji w brzuchu, po czym po raz trzeci tego dnia poczułem nieodpartą chęć, by się wysrać.

Popołudnie spędziłem w Bibliotece Londyńskiej, czytając o mniej znanych współczesnych Darwina. Chciałem napisać o śmierci anegdoty i narracji w literaturze naukowej. Stawiałem

tezę, że pokolenie Darwina było ostatnie, które pozwoliło sobie na luksus fabularyzowania w publikowanych artykułach. Oto list do „Nature” z 1904 roku, dotyczący długotrwałej korespondencji na temat świadomości u zwierząt, a zwłaszcza tego, czy wyżej rozwinięte ssaki, jak psy, potrafią przewidzieć konsekwencje swoich czynów. Autor, niejaki pan M., miał bliskiego przyjaciela, którego pies szczególnie upodobał sobie wygodny fotel koło kominka w bibliotece. Pan M. był świadkiem pewnego zdarzenia, gdy po obiedzie wraz z przyjacielem udali się tam na kieliszek porto. Pan spędził psa z fotela, po czym zasiadł na jego miejscu. Mężczyźni dumali przez parę minut w milczeniu, a tymczasem pies podszedł do drzwi i zaskomlał, jakby chciał, by go wypuszczono. Pan uprzejmie podniósł się i skierował do drzwi; wówczas psiak śmignął z powrotem i znowu usadowił się na ulubionym fotelu. Przez parę sekund na jego mordce widniał wyraz nieskrywanego triumfu.

Autor listu doszedł do wniosku, że pies musiał mieć plan, poczucie przyszłości, którą usiłował kształtować, celowo zwodząc swego pana. A radość z osiągnięcia celu musiała być spowodowana aktem pamięci. List ten jest widowym świadectwem potęgi i uroków opowieści, która potrafi zaćmić zdrowy rozsądek, co mnie szczerze ubawiło. Wszak wedle wszelkich kryteriów badawczych anegdotka ta jest stekiem nonsensów. Nie przedstawia żadnej teorii, nie zawiera żadnych terminów naukowych, jest pozbawioną znaczenia próbką prymitywnego antropomorfizmu. To opowiadanko bez trudu da się zinterpretować poprzez analogię z działaniem automatu czy też istoty skazanej na bytowanie w wiecznej terażniejszości. Wypędzona ze swego fotela, zajmuje inne miejsce, gdzie jest jej najlepiej, przy ogniu, wygrzewając się (nie zaś snując podstępne plany), aż zaczyna odczuwać potrzebę siusiania, idzie do drzwi, tak jak została nauczona, zauważa nagle, że jej ulubione siedzisko znowu jest puste, zapomina na chwilę o sygnałach, jakie daje pęcherz, i wraca, by usadowić się tam, gdzie jej najlepiej, triumfująca mina zaś to nic innego jak natychmiastowy wyraz

przyjemności albo przeniesienie na psa sposobu myślenia obserwatora.

Ja sam zagłębiłem się w duży skórzany fotel o gładkich oparciach. W polu widzenia miałem trzech innych czytelników, każdy z książką lub czasopismem na podolku, i wszyscy trzej pogrążeni byli we śnie. Hałaśliwy, bezładny ruch uliczny za oknem, na St. James Square, z motocyklami kurierów włącznie, miał wpływ usypiający, tak jak wszystkie gorączkowe działania otoczenia. W środku szmer wody w niewidocznych starych rurach, a bliżej skrzypienie podłogi, gdy ktoś, skryty za stojakiem z pismami, zrobił kilka kroków, zatrzymał się na parę minut, po czym ruszył dalej. Jak sobie później uświadomiłem, dźwięk ten przez niespełna pół godziny tkwił na skraju mojej świadomości. Zastanawiałem się, czy wypada poprosić tę osobę, by zachowywała się ciszej albo wzięła stertę czasopism i usiadła spokojnie. Mój dręczyciel poruszył się – cztery leniwe, skrzypiące kroki, po czym zapadła cisza. Usiłowałem czytać dalej wywody pana M. i zgłębiać umysłowe możliwości psów, ale byłem już zbyt rozkojarzony. Gdy ktoś przechodził przez salę, specjalnie starałem się nie unosić wzroku znad lektury, choć nic z niej do mnie nie dochodziło. Potem skapitulowałem, ujrzałem błysk białego buta i coś czerwonego, po czym z szelestem zamknęły się wahadłowe drzwi prowadzące z czytelnicy na schody.

Skoro wyszedł niespokojny utrapieniec, przez którego zmarnowałem tyle czasu, całą złość obróciłem na dyrektora. Budynek znany był jako bardzo hałaśliwy, nade wszystko z powodu buczących świetlówek, których nikt nie mógł naprawić. Może lepiej mi będzie w bibliotece Wellcome. Tutejszy zbiór książek naukowych był śmiechu wart. Najwyraźniej wychodzono tu z założenia, że świat można zrozumieć w wystarczającym stopniu poprzez lekturę powieści, książek historycznych i biografii. Czyżby naukowcy analfabeci, którzy kierowali tą placówką i śmieli się mienić ludźmi wykształconymi, naprawdę wierzyli, że literatura jest największym osiągnięciem naszej cywilizacji?

Ta wewnętrzna tyrada trwała jakieś dwie minuty. Zamknąłem się w świętym oburzeniu, niewidoczny dla samego siebie. Oprzytomniałem dzięki aktowi samoświadomości, którego nawet pan M. nie przyznałby psu swego przyjaciela. To jasne, że nie zdenerwowała mnie skrzypiąca podłoga ani nieporadność dyrekcji biblioteki. To mój stan emocjonalny, zaburzenia umysłu i trzewi – zaburzenia, które dopiero muszę pojąć. Rozparłem się w fotelu i zebrałem notatki. W tej fazie nie docierały do mnie jeszcze podniety pochodzące od obuwia czy koloru. Wpatrzyłem się w stronicę leżącą na moim podolku. Ostatnie słowa, które napisałem, zanim myśli wymknęły mi się spod kontroli, brzmiały: „Intencjonalność, intencja, usiłuje dowieść, że potrafi panować nad przyszłością”. Gdy pisałem to zdanie, miałem na myśli psa, lecz gdy je odczytałem na nowo, zacząłem się denerwować. Nie mogłem znaleźć odpowiedniego słowa na określenie mojego stanu. Nieczysty, skażony, szalony – fizycznie, ale w jakiejś mierze moralnie. Najwyraźniej nie jest prawdą, że bez języka nie ma myśli. Dręczyła mnie właśnie myśl, uczucie, doznanie, i szukałem na to odpowiedniego określenia. Skoro wina odnosi się do przeszłości, co znajduje się w takim samym stosunku wobec przyszłości? Intencja? Nie, nie chodzi o wpływ na przyszłość. Przeczucie. Niepokój co do przyszłości, niesmak wobec niej. Wina i przeczucie, związane liną z przeszłości do przyszłości, zależne od teraźniejszości – jedyne go momentu, gdy można je przeżywać. Nie był to właściwie strach. Strach jest zbyt zogniskowany, ma przedmiot. Przerazenie to zbyt mocne słowo. Strach przed przyszłością. W takim razie obawa. Tak, chyba z grubsza o to chodzi. Czuję obawę.

Przede mną trzech śpiący goście nawet nie drgnęli. Wahadłowe drzwi poruszały się coraz wolniej, pogłos rozlegał się już tylko na poziomie cząsteczek, zaledwie o krok wyżej od wyobraźni. Kim była osoba, która właśnie wyszła? Dlaczego tak nagle? Podniosłem się. A zatem to obawa. Doznawałem jej przez cały dzień. To proste, był to rodzaj strachu. Strachu przed rezultatami. Cały dzień się bałem. Czyżbym był tak tępy, żeby od początku nie rozpoznać strachu? Czy nie należy on do uczuć podstawowych,

takich jak niesmak, zdumienie, gniew i uniesienie, co wyłuszczył Ekman w słynnej pracy o przekroju kulturowym? Czyż strach i umiejętność rozpoznawania go u innych nie są związane z aktywnością nerwową jądra migdałowatego, zatopionego głęboko w odwiecznych zakamarkach mózgu ssaków, skąd wysyła on natychmiastowe reakcje? Ale moja reakcja nie była natychmiastowa. Mój strach przywdział maskę. Polucja, zmieszanie, gadanina. Lękałem się mego strachu, bo jeszcze nie znałem jego przyczyny. Bałem się tego, co ze mną zrobi i do czego mnie zmusi. I nie mogłem się powstrzymać przed spoglądaniem na drzwi.

Mogło to być złudzenie wywołane natręctwem wizualnym albo opóźnienie postrzegania spowodowane reakcją nerwową, ale wydawało mi się, że nadal siedzę zagłębiony w gładkim skórzanym fotelu, wpatrując się w drzwi, nawet wówczas, gdy ku nim szedłem. Przeskakiwałem po dwa stopnie szerokich, pokrytych czerwonym dywanem schodów, okręciłem się wokół słupka balustrady na podeście, ostatnią kondygnację przebyłem trzema susami i wpadłem do sali zamówień i katalogów, gdzie panowała cisza towarzysząca urzędowaniu. Minąłem innych czytelników, książkę z propozycjami nowych nabytków, kłęb szkolnych teczek i palt, po czym przez główne drzwi wybiegłem na ulicę. St. James Square był zakorkowany na amen, nie widziałem tam żadnych przechodniów. Szukałem pary białych butów sportowych z czerwonymi sznurówkami. Szybko przemykałem się pomiędzy unieruchomionymi pojazdami, które warkotały cierpliwie. Wiedziałem, gdzie sam bym stanął, gdybym chciał mieć na oku drzwi biblioteki – na północno-wschodnim rogu naprzeciw dawnej ambasady Libii. Idąc, zerkałem na lewo, w górę ulicy Duke of York. Chodniki były puste, jezdnie przepełnione. Samochody stały się teraz naszymi obywatelami. Doszedłem do rogu i zatrzymałem się przy barierkach. Nikogo tam nie było, nawet pijaka w parku. Stałem przez chwilę, rozglądając się i chwytając oddech. Znajdowałem się dokładnie na tym samym miejscu, na którym policjantka Yvonne Fletcher została zastrzelona przez Libijczyka, celującego z okna po przeciwnej

stronie ulicy. U moich stóp leżał przewiązany wełnianą nicią bukiet nagietków, jakie mógłby przynieść chłopiec. Słoik po dźemie, do którego je włożono, przewrócił się i w środku zostało tylko trochę wody. Nadal się rozglądając, przyklęknąłem i włożyłem kwiatki do słoika. Przysuwając słoik do barierki, by znowu go nie przewrócono, czułem, że może przynieść mi szczęście, albo raczej ochronę, i że na podstawie takich pełnych nadziei aktów przebłagalnych, odgradzających szalone, dzikie, nieprzewidywalne siły, zakładano religie, rozwijano całe systemy filozoficzne. Potem wróciłem do czytelnika.



## 5

Tego dnia miałem jeszcze jedno spotkanie – byłem członkiem jury w konkursie na najlepszą książkę popularnonaukową – a gdy dotarłem do domu, Clarissa wyszła już na spotkanie z bratem. Czuję ogromną potrzebę rozmowy. Przez trzy godziny musiałem sprawiać wrażenie przytomnego i rozsądnego, co wytrącało mnie z równowagi. W naszym wygodnym, niemal gustownym mieszkaniu znajome pokoje wydawały się ciasniejsze i przykurzone. Zrobiłem sobie dzin z tonikiem i wypilem go, słuchając automatycznej sekretarki. Na końcu nastąpiła pauza, nie słychać było nawet oddechu, dobiegł mnie tylko trzask odkładanej słuchawki. Muszę porozmawiać z Clarissą o Parrym, opowiedzieć o jego telefonie zeszłej nocy, o tym, jak poszedł za mną do biblioteki, o niepokoju i obawie, które mnie trapiły. Zastanawiałem się, czyby nie odszukać jej w restauracji, ale wiedziałem, że do tego czasu brat cudzołożnik rozpocznie typowe dla rozwodowego nowicjusza zawodzenie, od którego słuchacz nie ma ucieczki. Z bólem opisze własną szlachetność i uzali się nad przemianą miłości w nienawiść bądź obojętność. Clarissa, która lubiła szwagierkę, będzie wstrząśnięta.

Aby się uspokoić, zwróciłem się do owej wieczornej kliniki, do której odsyła się wszelkie bóle świata – wiadomości telewizyjnych. Dziś mieliśmy masowy grób w lesie w środkowej Bośni, chorego na raka ministra, który uwił sobie miłosne gniazdko, drugi dzień procesu o morderstwo. Moje nerwy koił znajomy układ: podkład muzyczny jak z filmów wojennych, gładki, natarczywy ton prezentera, uspokajająca prawda, że wszelkie nieszczęście jest względne, i wreszcie ostatnie opiaty – prognoza pogody. Wróciłem do kuchni, by zrobić sobie drugiego drinka, i usiadłem z nim przy kuchennym stole. Jeśli Parry łaził za mną przez cały dzień, wie, gdzie mieszkam. Jeśli nie, to znaczy, że moja równowaga umysłowa jest bardzo krucha. Ale zasadniczo mam mocne nerwy, on to wszystko przemyślał i ja muszę zrobić to samo. Ten telefon późną nocą można złożyć na karb napięcia i

picia do lustra, ale nie tak się rzeczy miały, jeśli chodził za mną dzisiaj. A wiedziałem, że krążył koło mnie, gdyż dostrzegłem jego sportowy but i czerwoną sznurówkę. Chyba że – a nawyk sceptycznego podchodzenia do wszystkich zjawisk jest dowodem mego zdrowia psychicznego – chyba że wyobraziłem sobie tę czerwień albo kolory mi się zlały. W końcu dywan w bibliotece jest czerwony. Ale widziałem kolor wpleciony w mignięcie buta. Wyczułem Parry’ego za sobą, jeszcze zanim go ujrzałem. Gotów jestem przyznać, że takie przeczucia bywają zawodne. Ale to był on. Jak wielu ludzi wiodących bezpieczne życie natychmiast wyobraziłem sobie najgorsze. Z jakiego powodu chce mnie zamordować? Czy uważał, że natrząsam się z jego wiary? Może znowu zadzwonił...

Wziąłem telefon bezprzewodowy, żeby sprawdzić, kto ostatnio próbował się ze mną skontaktować. Skomputeryzowany kobiecy głos dźwięcznym tonem podał nieznaną londyński numer. Zadzwoniłem pod niego, posłuchałem i potrząsnąłem głową. Jakkolwiek moje podejrzenia były oparte na rozsądnych przesłankach, ich potwierdzenie mnie zaskoczyło. Odezwała się automatyczna sekretarka Parry’ego: „Zostaw wiadomość po sygnale. Bóg z tobą”. To był on i powiedział tylko dwa zdania. Że też wiara Parry’ego ma taki zasięg, że dociera do płycizn automatycznej sekretarki, meandrów jego prozy! Co miał na myśli, mówiąc, że też to czuje? Czego chciał?

Popatrzyłem na dżin i doszedłem do wniosku, że już starczy. Teraz zaprzątałem sobie głowę tym, jak przetrzymać ten wieczór do powrotu Clarissy. Jeśli nie dokonam świadomego wyboru, upiję się na smutno. Nie chciałem spędzać tych godzin w gronie przyjaciół, nie miałem ochoty na żadne rozrywki, nie byłem nawet głodny. Nie po raz pierwszy doznawałem takiej pustki i jedynym lekarstwem na nią była praca. Poszedłem do gabinetu, zapaliłem światła, włączyłem komputer i rozłożyłem notatki, które zrobiłem w bibliotece. Było piętnaście po ósmej. Za trzy godziny będę miał gotową większą część artykułu na temat fabuły w piśmiennictwie naukowym. Opracowałem już zarys teorii, w którą niekoniecznie wierzyłem bez zastrzeżeń, ale na niej oprę swój wywód. Należy ja

przedstawić, okazać dowody, rozważyć zastrzeżenia, potwierdzić jej słusność we wnioskach. Fabuła sama w sobie, choć wzorzec już się nieco wyczerpał, służyła przede mną tysiącu dziennikarzy.

Praca była unikiem – nie miałem wówczas co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie znałem odpowiedzi na swoje pytania, a rozmyślania do niczego mnie nie doprowadzały. Przypuszczałem, że Clarissa nie wróci przed północą, a zatem pograżyłem się w poważnym, choć intelektualnie marniutkim wywodzie. W ciągu dwudziestu minut osiągnąłem pożądaną stan: nieskończone, obwarowane więzienie ukierunkowanej myśli. Nie zawsze mi się to zdarza i tego wieczoru czułem wdzięczność. Nie musiałem się bronić przed zwykłymi śmiechami, skrawkami niedawnych zdarzeń, które utkwiły mi w pamięci, zawodowymi remanentami czy też upiornymi, targającymi nerwy ciagotami seksualnymi. Umysł miałem nieskażony jak niewinne pachole. Nie podniosłem się z fotela pod pretekstem zrobienia sobie kawy i mimo że napiłem się toniku, nie musiałem pędzić do toalety.

To dziewiętnastowieczna kultura, będąca domeną amatorów, stanowiła pożywkę dla uczonych fabularzystów, tych wszystkich dżentelmenów nieuprawiających żadnego zawodu, pastorów, którzy nie wiedzieli, jak zabić czas. Sam Darwin, zanim wyruszył na wyprawę na „Beagle”, marzył o zamieszkaniu na wsi, gdzie w spokoju mógłby folgować swej kolekcjonerskiej pasji, a nawet gdy jego geniusz stał się sławny i życie układało mu się pomyślnie, Downe House był bardziej probostwem niż laboratorium. Dominującą formę artystyczną stanowiła powieść, wielkie, rozrastające się narracje, nie tylko kreślące losy poszczególnych ludzi, lecz także odzwierciedlające obraz całych społeczeństw i poruszające przy tym ważne aktualne kwestie. Większość ludzi wykształconych czytała współczesne powieści. Fabuła wrosła głęboko w dziewiętnastowieczną duszę.

Potem wystąpiły dwa zjawiska. Nauka stała się trudniejsza do zrozumienia i zaczęto uprawiać ją zawodowo. Przeniosła się na uniwersytety, opowieści proboszczów ustąpiły miejsca precyzyjnie sformułowanym teoriom, które mogły się obyć bez wsparcia

doświadczalnego i miały własną estetykę formalną. Jednocześnie w literaturze i w innych sztukach nowomodny modernizm uświęcał formalne, strukturalne cechy, wewnętrzną spójność i samoodniesienie. Kapłani strzegli świątyń tej trudnej sztuki, by nie wszedł do nich zwykły człowiek.

Podobnie rzecz się miała z nauką. Powiedzmy w fizyce, wąska elita nowo wtajemniczonych Europejczyków i Amerykanów uznała i przyjęła z entuzjazmem teorię ogólną Einsteina na długo przedtem, zanim wpłynęły potwierdzające ją dane obserwacyjne. Teoria, którą Einstein przedstawił światu w latach 1915-1916, wysuwała przeczącą zdrowemu rozsądkowi tezę, że ciężenie jest skutkiem zakrzywienia czasoprzestrzeni, a zniekształcenie to spowodowane zostało przez materię i energię. Uczony przewidywał, że pole grawitacyjne słońca powoduje odchylenie światła. Chcąc sprawdzić tę tezę, w 1914 roku podjęto wyprawę na Krym, by obserwować zaćmienie słońca, lecz na przeszkodzie stanął wybuch wojny. Inna wyprawa wyruszyła w 1919 roku na dwie odległe wyspy na Atlantyku. Lotem błyskawicy rozniosła się po całym świecie wieść o potwierdzeniu teorii, choć jej zwolennicy pominęli niedokładne bądź niewygodne dane. Podejmowano kolejne wyprawy w celu obserwacji zaćmień Słońca: w 1922 do Australii, w 1929 na Sumatrę, w 1937 do Związku Radzieckiego i w 1947 do Brazylii. Bezsporne wyniki eksperymentów uzyskano w latach pięćdziesiątych dzięki rozwojowi radioastronomii, lecz zasadniczo wszystkie te lata badań praktycznych nie miały znaczenia. Teoria figurowała w podręcznikach już od lat dwudziestych. Miała tak potężną moc, była zbyt piękna, by można było się oprzeć.

A zatem meandry narracji ustąpiły estetyce formy, zarówno w sztuce, jak i w nauce. Zbyt wiele miejsca poświęciłem Einsteinowi i teraz gorączkowo szukałem przykładu teorii uznanej ze względu na jej elegancję. Im mniej byłem przekonany o trafności tego argumentu, tym szybciej pisałem. Znalazłem odwrotny przykład z własnej przeszłości – elektrodynamikę kwantową. Tym razem z kolei do dyspozycji miałem masę zweryfikowanych eksperymentalnie danych, dotyczących zbioru

koncepcji na temat elektronów i światła, lecz teoria, zwłaszcza w pierwotnym ujęciu Diraca, bardzo powoli zyskiwała powszechne uznanie. Kryły się w niej niekonsekwencje i dysproporcje. Krótko mówiąc, była nieatrakcyjna, nieelegancka, brzmiała fałszywie. Brak akceptacji z powodu brzydoty.

Pracowałem przez trzy godziny i napisałem dwa tysiące słów. Omówiłbym jeszcze trzeci przykład, ale siły zaczęły mnie zawodzić. Wydrukowałem tekst, położyłem go sobie na podolku i wpatrywałem się w niego, zdumiony, że tak kulawe rozumowanie, tak naciągnięte przykłady mogły przez tyle czasu przykuwać moją uwagę. Kontrargumenty aż świszczały pomiędzy równych linijek artykułu. Jakie dowody mógłbym przytoczyć na poparcie tezy, że powieści Dickensa, Scotta, Trollope'a, Thackeraya miały wpływ choćby na postawienie przecinka w prezentacji idei naukowej? Co więcej, moje przykłady były specjalnie dobrane pod kątem ich stopnia sfabularyzowania. Porównałem nauki przyrodnicze w dziewiętnastym wieku (przebiegły pies w bibliotece) z naukami ścisłymi wieku dwudziestego. Tylko w samych annałach wiktoriańskiej fizyki i chemii przedstawiano wspaniałe teorie, w których nie znajdzie się śladu wątku fabularnego. A jakie w istocie były typowe wytwory dwudziestowiecznego naukowego bądź pseudonaukowego umysłu? Antropologia czy psychoanaliza to przykłady rozszalałej fabularyzacji. Posługując się najsubtelniejszymi chwytami narracyjnymi i wszelkimi sztuczkami kapłaństwa, Zygmunt Freud wytyczył granice wiarygodności nauki, lecz nie określił stopnia, w jakim można by dowieść jej fałszywości. A cóż da się powiedzieć o owych behawiorystach i socjologach z lat dwudziestych naszego stulecia? Toż to tłumy Balzaków w białych fartuchach, szturmujące wydziały uniwersyteckie i laboratoria.

Spiąłem swoje dwanaście stron i zważyłem je na dłoni. Mój artykuł był od początku do końca bałamutny. Nie napisałem go w poszukiwaniu prawdy, w moich rozważaniach nie było cienia naukowości. To żurnalistyka przeznaczona dla popularnych magazynów, gdzie tekst przede wszystkim musi się dobrze czytać. Przerzuciłem trzymane stronicę, starając się wydobyć ich zalety. Z

pożytkiem zająłem myśli, a z kontrargumentów da się spłodzić oddzielny spójny tekst (dwudziesty wiek w nauce upatrywał podsumowania fabuły, i tak dalej), w każdym razie był to pierwszy szkic, który za tydzień mogę przerobić. Cisnąłem artykuł na biurko, a gdy tam wylądował, usłyszałem, po raz drugi tego dnia, skrzypienie podłogi za plecami. Ktoś stał z tyłu.

Prymitywny, tak zwany sympatyczny układ nerwowy jest cudowną rzeczą, którą dzielimy z innymi gatunkami, zawdzięczającymi swe nieustanne istnienie szybkiemu refleksowi, wojowniczości i umiejętności błyskawicznej ucieczki. To ewolucja wymusiła na nas taką sprawność. Zakończenia nerwowe, zagrzebane głęboko w tkance serca, wydzielają noradrenalinę, a serce zaczyna bić mocniej. Zwiększa się ilość tlenu, glukozy, energii, myśl biegnie szybciej, a członki stają się silniejsze. System ten wykształcił się w tak odległej przeszłości, gdy następowało rozgałęzienie na ssaki i prassaki, że jego funkcjonowanie nie dociera do wyższych stanów świadomości. Zresztą nie byłoby na to czasu, a ponadto taki system nie działałby sprawnie. Doświadczamy na sobie tylko skutków. Ten strzał w serce najwyraźniej odczuwamy wówczas, gdy widzimy zagrożenie. Owe potężne krople padają nawet wtedy, gdy kora wzrokowa czy słuchowa porządkuje sygnały, które doszły do oczu czy uszu, i przesyła je do świadomości.

Zmrożone przerażeniem serce walnęło mi z całej siły, jeszcze zanim zacząłem się obracać, wstawać z krzesła i unosić ręce, by się bronić, a nawet atakować. Przypuszczam, że współczesnych ludzi, którzy nie mają styczności z innymi drapieżnikami prócz siebie, z ich zabawkami, konstrukcjami myślowymi i przytulnymi pokojami, jest stosunkowo łatwo podejść. Wiewiórki i drozdy mogą patrzeć na nas z wyższością i uśmiechać się.

Lecz oto ujrzałem, że szybkim krokiem, z rękami wyciągniętymi jak u lunatyka z komiksu, przez pokój idzie ku mnie Clarissa, i kto wie z pomocą jakich wyższych ośrodków zdołałem całkiem naturalnie zmienić swe ruchy, kierowane prymitywnym strachem, w czuły uścisk, którym się nawzajem

obdarzyliśmy. Gdy objęła mnie ramionami za szyję, poczułem spazm miłości, w istocie nierozłączny z przyływem ulgi.

– Och, Joe – powiedziała. – Cały dzień za tobą tęskniłam, i kocham cię, i spędziłam taki straszny wieczór z Lukiem. I, o Boże, kocham cię.

I, o Boże, ja ją kochałem. Niezależnie od tego, jak wiele myślałem o Clarissie, wspominając ją czy też się jej spodziewając, doznając jej na nowo, czując dotyk i słysząc głos, ta niezwykła miłość, jaką się darzymy, ta bardzo zwierzęca obecność sprawia, że oprócz zażyłości zawsze przeszywa mnie dreszcz zaskoczenia. Może taka amnezja spełnia pożyteczną rolę – ci, którzy nie potrafią oderwać serc i umysłów od ukochanych osób, skazani są na klęskę w życiowych zmaganiach i nie zostawiają po sobie genetycznych śladów. Staliśmy na środku mojego gabinetu, Clarissa i ja, na złotym diamencie w centrum bucharskiego dywanu, całując się i obejmując, a między pocałunkami słuchałem pierwszych fragmentów opowieści o idiotycznych postępkach jej brata. Luke zostawiał swą miłą, piękną żonę, rozkoszne bliźniaczki i dom w stylu królowej Anny w Islington, by zamieszkać z aktorką, którą poznał przed trzema miesiącami. Oto amnezja na znacznie większą skalę. Żując przypalone małże, powiedział, że zamierza rzucić pracę i napisać sztukę, a właściwie kobiecy monolog, który ma szansę na wystawienie w pokoju nad zakładem fryzjerskim w Kensal Green.

– Zanim pójdziemy do raj... – zacząłem, a Clarissa dokończyła:

– ...przez Kensal Green.

– Szaleńcza odwaga – rzekłem. – Chyba ma mózg między nogami.

– Guzik tam odwaga! – Gwałtownie wciągnęła powietrze i rzuciła mi promień wścieklej zieleni. – Aktorka! Ma tandetę między nogami!

Na chwilę stałem się jej bratem. Zdając sobie z tego sprawę, znowu przyciągnęła mnie i pocałowała.

– Joe. Pragnęłam cię cały dzień. Po wczorajszym i zeszłej nocy...

Ciągle oparci o siebie, przeszliśmy z gabinetu do sypialni. Podczas gdy Clarissa dalej mi opowiadała o rozpadzie rodziny brata, a ja opisywałem tekst, nad którym pracowałem, przygotowaliśmy się do naszej nocnej podróży przez seks do snu. Odkąd przyszedłem, przebyłem już pewną odległość i chciałem tylko porozmawiać z Clarissą o Parrym. Praca oderwała mnie od rzeczywistości, otulając zasłoną zadowolenia, a powrót Clarissy, mimo jej smutnej opowieści, całkowicie przywrócił mi równowagę. Niczego się nie bałem. Czy zatem należało, gdy leżeliśmy zwrócenymi twarzami do siebie, podobnie jak zeszłej nocy, wdzierać się w nasze szczęście opowieścią o telefonie Parry'ego? Biorąc pod uwagę to, czego byliśmy świadkami wczoraj, czy mogę zniszczyć naszą czułość nerwowymi podejrzeniami, że jestem śledzony? Światła były przyćmione, wkrótce je zgasimy. Duch Johna Logana nadal przebywał w pokoju, lecz już nam nie zagrażał. Parry'ego zostawię na jutro. Nie ma pośpiechu. Z zamkniętymi oczyma, w podwójnej ciemności, tropiłem piękne usta Clarissy. Dla żartów mocno ugryzła mnie w kłykieć. Bywa, że zmęczenie staje się wielkim afrodyzjakiem, unicestwiającym wszelkie inne myśli, wprawiając ciężkie członki w powolny, zmysłowy ruch, nakłaniając do wspaniałomyślności, zgody na wszystko, nieskończonego zatracenia. Wypadliśmy z naszej codzienności niczym stworzenia wytrząsane z sieci.

Telefon przy naszym łóżku milczał. Wyłączyłem go już wiele godzin wcześniej.



## 6

Niegdyś, w tym stuleciu, białe, luksusowe statki pasażerskie, prujące wzburzone wody Atlantyku między Londynem i Nowym Jorkiem, stały się natchnieniem dla architektury domów mieszkalnych. W latach dwudziestych coś na kształt „Queen Mary” zbudowano na lądzie w Maida Vale, a teraz pozostał z tego mostek, czyli nasza kamienica. Łśni pośród platanów biała, łuszcząca się farbą. Kanty ma zaokrąglone, w ubikacjach znajdują się iluminatory, a niskie, kręte schody są oświetlone. Okna w stalowych ramach, umieszczone nisko, mają podłużny kształt, dzięki czemu stanowią mocniejszą osłonę przed nawałnicami miejskiego życia. Podłogi, wyłożone dębową klepką, wytrzymają każdą ilość zgiełkliwych, szybko stepujących par.

Dwa mieszkania na górze mają cenne dla nas zalety: w suficie zrobiono kilka świetlików, a półtorej kondygnacji żelaznych schodów prowadzi na płaski dach. Nasi sąsiedzi, wzięty architekt i jego przyjaciel, który prowadzi dom, puścili wodze fantazji i na swojej części dachu założyli ogród, w którym powojnik zawzięcie oplata tyczki, a surowe, ostro zakończone liście wsuwają się między duże, gładkie kamienie, zebrane z dna rzeki i umieszczone – na modłę japońską – w odkrytych czarnych drewnianych skrzyniach.

W owym szalonym miesiącu, gdy się wprowadziliśmy, wyczerpaliśmy z Clarissą niewielkie zapasy energii na urządzenie i upiększenie mieszkania, toteż po naszej stronie dachu nie ma nic, z wyjątkiem plastikowego stołu i czterech plastikowych krzeseł. Tu można siedzieć pomiędzy antenami i talerzami do odbioru telewizji satelitarnej, mając pod nogami smołę dachową, pomarszczoną i zakurzoną niczym słoniowa skóra. Rozpościera się stąd widok na zieleń Hyde Parku, a w ucho wpada uspokajający huk ruchu ulicznego z zachodniego Londynu. Z drugiej strony stołu ma się przed oczyma imponującą kapliczkę naszych sąsiadów, poświęconą systematycznej uprawie roślinności, a za nią, ku północy, ciągną się mroczne dachy

niekończących się przedmieść. Tu właśnie zasiadłem następnego ranka o siódmej. Zostawiłem śpiącą Clarissę i przyniosłem sobie kawę, papier oraz tekst, który napisałem poprzedniego wieczoru.

Zamiast jednak czytać siebie czy innych myślałem o Johnie Loganie i o tym, jak go zabiliśmy. Wczoraj wydarzenia dnia poprzedniego przyćmiły się. Dziś rano palące słońce oświetliło i ożywiło cały obraz. Znowu czułem linę w rękach, gdy wpatrywałem się w rąbki łączące blachy. Porobiłem obliczenia. Gdyby Gadd został w koszu z wnukiem, a reszta z nas trzymałaby liny, przy założeniu, że każdy waży przeciętnie siedemdziesiąt pięć kilogramów, wówczas bez wątpienia ciężar bez mała czterystu kilogramów przytrzymałby nas blisko ziemi. Gdyby pierwsza osoba nie puściła liny, inni również pozostaliby na swoich miejscach. A kto był tym pierwszym? Nie ja. Nie ja. Powiedziałem to nawet głośno. Pamiętam spadającą masę i nagły podrzut balonu w górę. Ale nie jestem w stanie powiedzieć, czy ta masa znajdowała się przede mną, czy też po mojej lewej albo prawej stronie. Gdybym znał pozycję, znałbym i osobę.

Czy można tego człowieka obarczać winą? Gdy piłem kawę, godzina szczytu zaczynała powoli osiągać crescendo. Trudno mi było o tym wszystkim myśleć. Zużyte zwroty, wobec których znaleziono kontrargumenty, przychodziły mi do głowy, niczego nie rozwiązując. Z jednej strony pierwszy kamyk poruszający lawinę, z drugiej złamanie szeregu. Przyczyna, lecz nie moralnie odpowiedzialny sprawca. Szale przechylały się, od altruizmu do interesowności. Czy była to panika, czy racjonalna kalkulacja? Czy rzeczywiście go zabiliśmy, czy po prostu nie chcieliśmy wraz z nim umierać? Lecz gdybyśmy byli z nim, zostali przy nim, nikt by nie zginął.

Potem zastanawiałem się, czy powinienem odwiedzić panią Logan i opowiedzieć jej, co się stało. Zasluguje na to, by usłyszeć od naocznego świadka, że jej mąż był bohaterem. Oczyma duszy widziałem, jak siedzimy twarzą w twarz na drewnianych stołkach. Ubrana była w fałdzistą czarną suknię, szatę wdowy z pantomimy. Znajdowaliśmy się w więziennej celi z wysoko

umieszczonym zakratowanym oknem. Dwoje dzieci, które stało u boku matki, przywierało do jej kolan, unikając mojego wzroku. Moja cęła, moja wina? Nasunęło mi się podobieństwo tej sceny do na pół zapomnianego obrazu, malowanego w manierze późnowiktoriańskiego fabularyzmu, o ckliwej wymowie, typu: „Kiedy ostatni raz widziałeś ojca?” Fabuła – od tego słowa ścisnęło mnie w żołądku. Co za bzdury powypisywałem zeszłego wieczoru! Jak mogę opowiedzieć pani Logan o poświęceniu męża i nie zwrócić jej uwagi na nasze tchórzostwo? A może jego szaleństwo? Był bohaterem, a słabsi duchem posłali go na śmierć. A może to nam szczęśliwie udało się przeżyć, on zaś był głupkiem, który przeliczył się z siłami.

Zatopiony w tych rozważaniach, nie zauważyłem Clarissy, póki nie usiadła po przeciwnej stronie stołu. Uśmiechnęła się i przesłała mi pocałunek. Grzała dłonie nad kubkiem kawy.

– Zastanawiasz się nad tym?

Przytaknąłem. Zanim jej dobroć i miłość sprawia, że zapomnę o swoich troskach, muszę jej o tym powiedzieć.

– Pamiętasz, że w dniu, kiedy to się zdarzyło, akurat jak już zasypialiśmy, zadzwonił telefon?

– Aha. Pomyłka.

– To był facet z kucykiem. Wiesz, ten, który chciał, żebym się pomodlił. Jed Parry.

Nachmurzyła się.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Co mówił?

– Oświadczył, że mnie kocha – odparłem bez namysłu.

Na ułamek sekundy świat zastygł, gdy docierał do niej sens moich słów. Potem się zaśmiała. Swobodnie, wesoło.

– Joe! Nic mi nie powiedziałaś. Byłeś zażenowany? Ty głupku!

– Tylko mi tego brakowało! A potem poczułem się jak idiota, że zataiłem przed tobą takie pocieszne wyznanie, więc jeszcze bardziej mnie to dręczyło. No i nie chciałem przerywać zeszłej nocy.

– Co powiedział? Tylko „kocham cię”, tak po prostu?

– Właśnie. Powiedział: „Ja też to czuję. Kocham cię...”

Clarissa zakryła usta ręką jak mała dziewczynka. Nie spodziewałem się, że ją to rozbawi.

– Sekretny pedalski romans z jezuskowatym świrem! Niech no tylko twoi uczeni przyjaciele się o tym dowiedzą!

– Dobra, dobra. – Ale zrobiło mi się lżej na sercu, gdy tak się ze mną droczyła. – Jest jeszcze coś.

– Pobieracie się.

– Cicho bądź przez chwilę. Wczoraj mnie śledził.

– O Boże, ale go wzięło!

Wiedziałem, że muszę ją wytrącić z tego beztroskiego nastroju, choć przynosił mi tyle pociechy.

– Clarisso, to przerażające.

Opowiedziałem jej, że był w bibliotece i jak uciekł potem na plac.

Przerwała mi:

– Ale nie widziałeś go w bibliotece na własne oczy.

– Widziałem jego but, gdy wychodził z czytelnicy. Białe, sportowe, z czerwonymi sznurówkami. To musiał być on.

– Ale nie widziałeś jego twarzy.

– Clarisso, to był on!

– Nie wściekaj się na mnie, Joe. Nie widziałeś jego twarzy i nie było go na placu.

– Nie. Poszedł sobie.

Patrzyła na mnie teraz w nowy sposób, a podczas rozmowy lawirowała z ostrożnością sapera rozbijającego bomby.

– Wyjaśnijmy to sobie jeszcze raz. Wydawało ci się, że cię śledzi, jeszcze zanim zobaczyłeś jego but?

– Miałem takie uczucie, bardzo przygnębiające. Dopiero gdy znalazłem się w bibliotece i miałem czas, żeby się nad tym wszystkim zastanowić, zdałem sobie sprawę, jak mocno mnie dopadło.

– A potem go zobaczyłeś.

– Taaak. Jego but.

Zerknęła na zegarek i pociągnęła łyk z kubka. Spóźni się do pracy.

– Powinnaś już iść – powiedziałem. – Pogadamy wieczorem.

Przytaknęła, lecz nie podniosła się.

– Naprawdę nie rozumiem, co cię tak wytrąca z równowagi. Jakiś nieborak napalił się na ciebie i wszędzie za tobą łązi. Daj spokój, Joe, to żart! Śmieszna historyjka, którą będziesz opowiadał znajomym. W najgorszym razie to taki wrzód na tyłku. Nie powinieneś się tym przejmować.

Poczułem dziecinny skurcz smutku, gdy wstała z krzesła. Odpowiadał mi jej sposób patrzenia na tę sprawę. Chciałbym słuchać jej zdania w różnych sformułowaniach. Obeszła stół i pocałowała mnie w głowę.

– Przepracowujesz się. Odpuść sobie trochę. I pamiętaj, że cię kocham. Kocham cię.

Znowu zatonęliśmy w pocałunku.

Odprowadziłem ją na dół i patrzyłem, jak zbiera się do wyjścia. Może sprawił to zmartwiony uśmiech, który mi przesłała, gdy pomknęła po teczkę, może zatroskany głos, jakim mówiła, że będzie o siódmej i zadzwoni do mnie w ciągu dnia, lecz kiedy stałem na gładkim parkiecie, na którym tak świetnie się tańczy,

czułem się jak pacjent w zakładzie psychiatrycznym, gdy kończy się czas odwiedzin. „Nie zostawiaj mnie tu z moimi myślami” – powiedziałem sobie w duchu. „Niech mnie stąd wypuszczą”. Włożyła płaszcz, otworzyła frontowe drzwi i już miała mi coś powiedzieć, ale w końcu się nie odezwała. Przypomniała sobie, że potrzebna jej będzie jeszcze jedna książka. Gdy po nią poszła, nadal tkwiłem przy drzwiach. Wiedziałem, co chcę powiedzieć i że być może jest jeszcze na to czas. To nie był „jakiś nieborak”. To facet związany ze mną, podobnie jak robotnicy rolni, ponieważ współuczestniczyliśmy w tym samym doświadczeniu, wspólnie ponosimy odpowiedzialność, lub przynajmniej obaj jesteśmy uwikłani w śmierć naszego bliźniego. Ten człowiek pragnął również, bym się z nim modlił. Może czuł się urażony. Może był jakimś mściwym fanatykiem.

Clarissa wróciła z książką i wepchnęła ją do teczki, część papierów trzymając w zębach. Była już w drzwiach. Gdy zacząłem wygłaszać swoją kwestię, postawiła teczkę, by uwolnić ręce i usta.

– Teraz nie mogę, Joe, naprawdę. Już jestem spóźniona. Mam wykład. – Zawahała się, rozdarta. – No dobrze, powiedz mi to w trzech słowach – poprosiła.

Akurat w tym momencie zadzwonił telefon i poczułem ulgę. Pomyślałem, że ma sprawdzać postępy swoich doktorantów, nie wygłaszać wykład, i jeśli nie przestanę zawracać jej głowy moimi kłopotami z Parrym, straci jeszcze więcej czasu.

– Ja odbiorę, ty idź – rzekłem pogodnie. – Opowiem ci wszystko wieczorem.

Przesłała mi pocałunek i już jej nie było. Słyszałem kroki na dole, gdy doszedłem do telefonu.

– Joe? – odezwał się głos. – Mówi Jed.

Poczułem się tak zaskoczony, że na chwilę zaniemówiłem. Była to z mojej strony dość perwersyjna zagrywka, bo przecież dzwonił wczoraj i cały czas był na moich ustach oraz w moich myślach. W myślach do takiego stopnia, że zapomniałem o jego

faktycznym istnieniu, a przecież istniał jako byt fizyczny, zdolny do posługiwania się systemem telefonicznym.

Urwał, przedstawiwszy się, i teraz mówił do milczącej słuchawki.

– Dzwoniłeś do mnie.

Wszyscy mamy zapisy połączeń telefonicznych. Telefon nie był już tym, czym niegdyś. Bezlitosna pomysłowość czyniła z niego rzecz boleśnie osobistą.

– Czego chcesz? – Już wymawiając te słowa, pragnąłem je cofnąć. Nie chciałem wiedzieć, o co mu chodzi, a raczej wolałem, by mi nie mówił. I tak właściwie nie było to pytanie, tylko gest wrogości. Podobnie jak następne zdanie: – A kto ci dał mój numer?

Parry wydawał się zadowolony.

– To cała historia, Joe? Poszedłem do...

– Nie chcę słuchać twoich historii. Nie chcę, żebyś do mnie dzwonił. – Ani żebyś za mną łaził, o mały włos mi się nie wysnęło, lecz coś mnie powstrzymało.

– Musimy porozmawiać.

– Ja nie muszę.

Słyszałem, jak Parry wciąga powietrze.

– Chyba jednak tak. A przynajmniej uważam, że powinieneś posłuchać.

– Rozłączam się. I jeżeli jeszcze do mnie zadzwonisz, zawiadomię policję.

Była to głupia pogróżka, rzecz bez znaczenia, jak to czasami ludzie się odgrają: „Zaskarżę tego sukinsyna”. Znałem miejscowy posterunek. Byli zawaleni zgłoszeniami i przede wszystkim poświęcali uwagę ciężkim wykroczeniom. Takie sprawy jak moja obywatelę powinni załatwiać między sobą.

Parry zareagował błyskawicznie na moją groźbę. Głos miał bardziej piskliwy i mówił szybciej. Musiał to z siebie wyrzucić, zanim się rozłączę.

– Pozwól, że ci coś obiecuję. Zobacz się ze mną tylko raz, jeden jedyny raz, wysłuchaj mnie, a już nigdy nie będę próbował się z tobą kontaktować. Obiecuję ci to, uroczyście obiecuję.

Uroczyście. Raczej panikarsko. Doszedłem do wniosku, że może rzeczywiście powinienem się z nim zobaczyć, niech on na mnie spojrzy i zrozumie, że nie jestem stworem z krainy jego fantazji. Pozwolę mu się wypowiedzieć. Inaczej problem będzie narastać. Może zdołam wzbudzić w sobie nieco niedbalej ciekawości. Gdy te podchody się skończą, trzeba będzie dowiedzieć się czegoś o Parrym. W przeciwnym razie pozostanie na zawsze projekcją mojej jaźni, podobnie jak ja jego. Przyszło mi do głowy, by go zmusić, żeby sprowadził swego boga i podpisał uroczystą obietnicę. Ale nie chciałem go prowokować.

– Gdzie jesteś? – zapytałem.

Zawahał się.

– Mogę przyjechać do ciebie.

– Nie. Powiedz mi, gdzie jesteś.

– Jestem w budce telefonicznej na końcu twojej ulicy?

Powiedział to, a raczej zapytał, bez cienia wstydu. Byłem wstrząśnięty, ale postanowiłem to ukryć.

– Dobrze – rzekłem. – Zaraz tam będę.

Odłożyłem słuchawkę, włożyłem płaszcz, wziąłem klucze i wyszedłem. Pocięchą był mi zapach perfum Clarissy, Diorissimo, unoszący się na schodach aż do drzwi.



## 7

Przed naszą kamienicą, na wznoszącym się terenie, biegła prosto aleja platanów, na których właśnie zaczęły pojawiać się liście. Gdy tylko wyszedłem na chodnik, ujrzałem Parry'ego, który stał pod drzewem na rogu, w odległości stu metrów. Gdy mnie ujrzał, wyjął ręce z kieszeni, skrzyżował ramiona, a potem je opuścił. Zrobił parę kroków w moim kierunku, po czym zmienił zdanie i wrócił pod drzewo. Szedłem ku niemu z wolna, czując, że mój niepokój opada.

Gdy podszedłem bliżej, Parry cofnął się pod drzewo i usiłował przybrać nonszalancki wygląd, wkładając zakrzywiony kciuk do kieszeni spodni. Wydawał się mniejszy, same węzły mięśni i kości, mimo kucyka nie wyglądał już jak dziarski indiański wojownik. Unikał mego wzroku, gdy stanąłem obok niego, a raczej przebiegł nerwowo oczyma po mojej twarzy, po czym je spuścił. Gdy wyciągnąłem doń rękę, czułem ulgę. Clarissa miała rację, był nieszkodliwym facetem, który sobie coś ubzdurał, w najgorszym razie można go uznać za uprzykrzonego natręta, ale na pewno nie stanowi zagrożenia, jak mi się przedtem wydawało. Teraz wyglądał żałośnie, kuląc się pod świeżymi liśćmi platana. To ów nieszczęśliwy wypadek i będące jego skutkiem fale szoku zniekształciły mój osąd rzeczywistości. Farsę potraktowałem niczym nieokreśloną groźbę. Gdy potrząsał moją dłońią, nie czułem uścisku. Odezwałem się doń stanowczo, ale też dosyć łagodnie. Był na tyle młody, że mógłby być moim synem.

– No więc o co tu chodzi?

– Niedaleko stąd jest kawiarnia... – rzekł i kiwnął głową w kierunku Edgware Road.

– Doskonale możemy porozmawiać tutaj – odparłem. – Mam mało czasu.

Wiatr znowu się wzmógł, a w bladym słońcu wydawał się jeszcze ostrzejszy. Owinąłem się płaszczem i mocniej ściągnąłem pasek, a przy okazji zerknąłem na obuwiu Parry'ego. Nie ubrał się

dzisiaj na sportowo, miał na sobie skórzane półbuty z miękkiej skóry, mogły być nawet ręcznej roboty. Odsunąłem się nieco i oparłem się o pobliski mur, założyłem ręce.

Parry odszedł od drzewa i stanął przede mną, wbijając wzrok w swoje stopy.

– Może wejdziemy do środka – rzekł skomlącym głosem.

Nie odpowiedziałem i czekałem. Westchnął i spojrzał na ulicę, przy której mieszkałem, po czym zerknął na przejeżdżający samochód. Uniósł oczy ku gromadzącym się cumulusom, uważnie obejrzał paznokcie prawej ręki, lecz nie mógł zatrzymać wzroku na mnie. Kiedy wreszcie się odezwał, wpatrywał się chyba w szparę w chodniku.

– Coś się wydarzyło – powiedział.

Zamilkłem, więc zapytałem:

– Co się wydarzyło?

Wciągnął głęboko powietrze przez nos. Nadal na mnie nie patrzył.

– Wiesz, o co chodzi – odparł ponuro.

Usiłowałem mu pomóc.

– Masz na myśli ten wypadek?

– Wiesz, o co chodzi – powtórzył – ale chcesz, żebym ja to powiedział.

– Owszem – potwierdziłem. – Zaraz muszę iść.

– Kwestia dominacji, prawda? – Rzucił mi spojrzenie nastoletniego buntownika, po czym znowu spuścił wzrok. – Te gierki są takie głupie. Dlaczego po prostu nie powiesz tego głośno? Nie ma się czego wstydzić.

Spojrzałem na zegarek. O tej godzinie najlepiej mi się pracuje, a jeszcze muszę jechać do Londynu po książkę. Mijała nas pusta taksówka. Parry również ją dostrzegł.

– Uważasz, że podchodzisz do tego z dystansem, ale to idiotyczne. Długo tak nie wytrzymasz i dobrze o tym wiesz. Wszystko się zmieniło. Proszę, przestań udawać. Proszę...

Odprowadziliśmy wzrokiem przejeżdżającą taksówkę.

– Prosiłeś mnie o spotkanie, bo podobno miałeś mi coś do powiedzenia – odezwałem się.

– Jesteś niezwykle okrutny – stwierdził. – Ale ty tu rządysz. – Znowu głęboko wciągnął powietrze, jakby przygotowywał się do jakiejś niezmiernie trudnej cyrkowej sztuczki. Zebrał się w sobie, by na mnie spojrzeć, i rzekł po prostu: – Kochasz mnie. Kochasz, a ja cóż mam począć? Mogę tylko odwzajemnić twoją miłość.

Nie odezwałem się. Parry znowu zaczerpnął powietrza.

– Nie wiem, dlaczego wybrałeś akurat mnie. Wiem tylko, że ja też cię teraz kocham i że jest po temu powód, konkretny cel.

Przejechała koło nas karetka z wyjąca syreną, toteż musieliśmy na chwilę zamilknąć. Zastanawiałem się, jak zareagować na jego wyzwanie i czy wybuch gniewu go odstraszy, lecz w ciągu kilku sekund, nim hałas ucichł, postanowiłem być stanowczy i rozsądny.

– Niech pan posłucha, panie Parry...

– Jed – powiedział z naciskiem. – Mów mi Jed. – Porzucił już swój pytający ton.

– Nie znam cię – rzekłem. – Nie wiem, gdzie mieszkasz, co robisz ani kim jesteś. I szczególnie mnie to nie interesuje. Spotkałem cię przedtem tylko raz i prawdę mówiąc, niewiele mnie obchodzisz...

Parry wpadał mi w słowo urywanymi zdaniem. Wyciągał przed siebie ręce, jakby chciał odepchnąć to, co powiedziałem.

– Proszę, nie rób tego... Naprawdę nie musisz się ze mną tak obchodzić. Nie powinieneś mi tego robić.

Obaj nagle zamilkliśmy. Pomyślałem, czy nie lepiej go teraz zostawić i pójść aleją w poszukiwaniu taksówki. Może rozmowa tylko pogarsza sprawę...

Parry skrzyżował ramiona i przybrał ton światowy, jakby rozmawiał ze mną jak równy z równym. Zacząłem się zastanawiać, czy mnie przypadkiem nie parodiuje.

– Posłuchaj. Nie musisz się tak zachowywać. Mógłbyś nam obu zaoszczędzić wiele cierpienia.

– Szedłeś za mną wczoraj, co? – zapytałem.

Odwrócił wzrok i nie odezwał się, co uznałem za potwierdzenie.

– Dlaczego uważasz, że cię kocham? – Starąłem się, by moje pytanie zabrzmiało szczerze, a nie tylko retorycznie. Naprawdę chciałem się dowiedzieć, choć jednocześnie pragnąłem jak najprędzej z tym skończyć.

– Nie – wyszeptał Parry. – Proszę cię, nie. – Dolna warga mu drżała.

Ale ja naciskałem dalej.

– O ile pamiętam, rozmawialiśmy u stóp wzgórza. Rozumiem, że czułeś się dziwnie po wypadku, bo ja bezsprzecznie tak.

W tym momencie, ku memu niezmiernemu zdumieniu, Parry zakrył twarz dłońmi i rozplakał się. Próbował też powiedzieć coś, czego początkowo nie mogłem zrozumieć. Potem zorientowałem się, co mówi.

– Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? – powtarzał. A gdy nieco się uspokoił, zapytał: – Co ja ci zrobiłem? Dlaczego to ciągniesz? – To pytanie znowu pobudziło go do łez. Odsunąłem się od muru, przy którym stałem, i odszedłem parę kroków. Parry, potykając się, ruszył za mną. Usiłował odzyskać głos. – Nie mogę panować nad swymi uczuciami tak dobrze jak ty – oznajmił. – Wiem, że tym samym daję ci nade mną władzę, ale nic na to nie mogę poradzić.

– Uwierz mi, że nie mam nad czym panować – odparłem.

Przypatrywał się mojej twarzy z rodzajem wygłodzenia i rozpacz.

Jeśli to żart, czas go skończyć. Przynosi szkody nam obu.

– Słuchaj – powiedziałem. – Muszę już iść. Mam nadzieję, że się więcej nie zobaczymy.

– O Boże – zaczął zawodzić. – Mówisz tak, a potem robisz tę minę. Czego naprawdę ode mnie chcesz?

Czułem, że się duszę. Odwróciłem się i poszedłem szybko w kierunku Edgware Road. Słyszałem, jak Parry za mną biegnie. Potem pociągnął mnie za rękaw i usiłował ująć pod ramię.

– Joe, proszę cię, proszę cię na wszystko – wybełkotał. – Nie możesz tak odejść. Powiedz mi coś, daj mi choć jedno. Prawdę, albo choćby trochę prawdy. Przyznaj tylko, że mnie dręczysz, nie będę pytał dlaczego. Ale powiedz, że to właśnie robisz.

Wyrwałem mu ramię i zatrzymałem się.

– Nie wiem, kim jesteś. Nie rozumiem, czego chcesz, i nic mnie to nie obchodzi. A teraz dasz mi wreszcie spokój?

Nagle w jego głosie zadźwięczała gorycz.

– Bardzo zabawne – powiedział. – Nawet nie próbujesz udawać. Dlatego czuję się tak urażony.

Oparł ręce na biodrach, a ja po raz pierwszy zacząłem oceniać, jak bardzo, jest niebezpieczny fizycznie. Byłem od niego potężniej zbudowany i nadal ćwiczyłem, ale nigdy nikogo nie uderzyłem, a on był o dwadzieścia lat młodszy, miał duże, mocne kłykcie i kierowała nim desperacja – niezależnie od powodu. Wyprostowałem się, by wydać się wyższy.

– Nie przyszło mi do głowy, żeby cię obrażać – rzekłem. – Aż do tej chwili.

Parry zdjął ręce z bioder i pokazał mi otwarte dłonie. To właśnie ta zmienność jego stanów emocjonalnych i szybkość, z

jaką zachodziła, były dla mnie tak męczące. Rozsądek, łyzy, rozpacz, nieokreślone pogrożki, a teraz szczerą prośbę.

– Proszę cię, Joe, spójrz na mnie, pamiętaj, kim jestem, i wbij sobie w głowę przede wszystkim, co cię poruszyło.

Białka oczu miał niesłychanie jasne. Wytrzymał moje spojrzenie przez sekundę, po czym odwrócił wzrok. Dostrzegałem już wzorzec tiku konwersacyjnego, na który cierpiał. Gdy zaczynał mówić, podchwytywał wzrok rozmówcy, a potem odwracał głowę, jakby kierował słowa do kogoś u jego boku albo niewidzialnego stworzenia, które przycupnęło mu na ramieniu.

– Nie wypieraj się nas – powiedział doń teraz. – Nie wyrzekaj się tego, co mamy. I proszę, nie uprawiaj ze mną tych gier. Wiem, że dla ciebie to trudne i będziesz próbował się opierać, ale zesłaliśmy się w jakimś celu.

Powinienem był odejść, lecz siła jego emocji na chwilę przykuła mnie do miejsca i znalazłem w sobie dość ciekawości, by powtórzyć ostatnie słowa:

– W jakimś celu?

– Coś między nami zaszło, tam na wzgórzu, po upadku Logana. To była czysta energia, czyste światło? – Parry zaczynał się ożywiać, a skoro minęła pierwsza rozpacz, znowu wypowiadał zdania twierdzące tonem pytającym. – To, że mnie kochasz – ciągnął – i że ja kocham ciebie, nie jest istotne. To tylko środek...

Środek?

Zwrócił się ku mojej nachmurzonej twarzy, jakby tłumaczył prostaczkowi rzeczy oczywiste.

– Aby doprowadzić cię do Boga, przez miłość. Miotasz się jak szalony, bo daleko odszedłeś od własnych uczuć? Ale wiem, że Chrystus jest w tobie. Na pewnym poziomie ty również to wiesz. Dlatego walczysz tak zaciekle ze swoim wykształceniem, rozumem, logiką i tym sposobem mówienia, pełnym dystansu, jakbyś nie był częścią żadnej całości? Udajesz, że nie wiesz, o co mi chodzi, może dlatego, że chcesz mnie zranić i zapanować nade

mną, ale faktem jest, że to ja przychodzę, niosąc dary. Moim celem jest doprowadzenie cię do Chrystusa, który jest w tobie i który jest tobą. Na tym polega dar miłości. To przecież bardzo proste?

Słuchałem jego przemowy, starając się nie rozdziawiać gęby. Był tak szczery i nieszkodliwy, wyglądał na zdruzgotanego i wygadywał takie bzdury, że naprawdę było mi go żal.

– Słuchaj – rzekłem tonem możliwie sympatycznym. – Czego ty właściwie chcesz?

– Chciałbym, żebyś się otworzył przed...

– Tak, tak. Ale czego tak naprawdę chcesz ode mnie? Albo co ze mną zamierzasz zrobić?

To było dlań trudne pytanie. Zwinął się w sobie i popatrzawszy na stwora na swym ramieniu, odparł:

– Chcę się z tobą widywać?

– I co właściwie mamy wtedy robić?

– Rozmawiać... poznać się nawzajem.

– Po prostu rozmawiać? I nic więcej?

Nie chciał odpowiedzieć ani na mnie spojrzeć.

– Ciągłe używasz słowa „miłość”. Czy mówimy o seksie? Tego chcesz?

Uznał, że jestem wobec niego niesprawiedliwy. Znowu w jego głosie pojawiła się ta skomląca nuta.

– Dobrze wiesz, że nie możemy mówić o tym w ten sposób. Powiedziałem ci już, moje uczucia się nie liczą. Istnieje cel, którego nie możesz znać na tym etapie.

Mówił dalej w podobnym duchu, ale słuchałem go tylko jednym uchem. Sytuacja była niezwykła: oto stałem na własnej ulicy, we własnym płaszczu, we wtorek, w zimny majowy poranek, i rozmawiałem z nieznajomym, używając zwrotów, które byłyby

właściwsze rozpadającemu się romansowi czy małżeństwu. Zupełnie jakbym przez szparę w swoim istnieniu spadł w jakieś inne życie, inny zespół zachowań seksualnych, inną przeszłość i przyszłość. Dostałem się do żywota, w którym jakiś mężczyzna może mi powiedzieć: „Nie możemy mówić o tym w ten sposób” i „Moje uczucia się nie liczą”. Zdumiewało mnie też, że nie powiedziałem mu: „Kim, do diabła, jesteś? O czym ty mówisz?” – i wcale nie musiałem się specjalnie hamować przed zadaniem tych pytań. Język, jakiego używał Parry, wywoływał we mnie dawne emocjonalne nawyki, skryte gdzieś w głębi mojej jaźni. Siłą woli musiałem pozbyć się uczucia, że mam wobec niego jakiś obowiązek i że zatajanie przed nim czegokolwiek jest nierozsądne. Po części brałem udział w tym domowym dramacie, choć naszym gospodarstwem był ten zapaskudzony łajnem chodnik.

Zastanawiałem się też, czy będę potrzebował pomocy. Parry wiedział, gdzie mieszkam, ale ja nie miałem pojęcia o jego życiu.

– Daj mi swój adres – rzekłem, przerywając mu.

Na pewno błędnie wytłumaczył sobie moją prośbę. Wyjął z kieszeni wizytówkę ze swoim nazwiskiem i adresem: Frognał Lane, Hampstead. Włożyłem ją do portfela i ruszyłem zwawo przed siebie. Ujrzałem następną taksówkę jadącą w naszym kierunku. Nadal w jakimś stopniu było mi żal Parry’ego, ale nie ulegało wątpliwości, że rozmową nic z nim nie wskóram. Truchtał przy moim boku.

– Dokąd teraz idziesz? – zapytał zupełnie jak ciekawskie dziecko.

– Nie zawracaj mi więcej głowy – odparłem, unosząc dłoń, by machnąć na taksówkę.

– Wiem, co naprawdę czujesz. I jeśli chcesz mnie w ten sposób wypróbować, niepotrzebnie się trudzisz. Nigdy cię nie zawiodę.

Taksówka zatrzymała się, a ja otworzyłem drzwi, czując, że chyba coś ze mną jest nie tak. Gdy chciałem zatrzęsnąć drzwiami,



stwierdziłem, że Parry je przytrzymuje. Nie usiłował wepchnąć się do środka, ale chciał mieć ostatnie słowo.

– Wiem, na czym polega twój problem – pochylony, zwierzał mi się przy akompaniamencie pulsowania diesla. – Wszystko przez to, że masz takie dobre serce. Ale, Joe, poradzimy sobie z bólem, jeżeli usiądziemy we trójkę i porozmawiamy.

Postanowiłem więcej się do niego nie odzywać, ale nie mogłem się powstrzymać.

– We trójkę?

– Z Clarissą. Najlepiej od razu chwycić byka za rogi.

Nie pozwoliłem mu skończyć.

– Proszę jechać – powiedziałem do taksówkarza i obiema dłońmi wyrwałem drzwi z uchwytu Parry’ego.

Gdy odjeżdżaliśmy, obejrzałem się. Stał na drodze, opuszczony, i machał do mnie, lecz bez wątpienia miał minę człowieka szczęśliwego w miłości.

## 8

Powiedziałem taksówkarzowi, żeby zawiózł mnie do Bloomsbury. Gdy usiadłem wygodnie, by się uspokoić, przypomniałem sobie swoje niezborne uczucia z poprzedniego dnia, gdy wybiegłem na St. James Square w poszukiwaniu Parry'ego. Wówczas był uosobieniem nieznanego, na którego rzutowałem wszystkie niewypowiedziane lęki. Teraz uważałem go za zagubionego i ekscentrycznego młodzieńca, który nie może spojrzeć mi w oczy, a jego niedostatki i ciagoty emocjonalne sprawiają, że jest nieszkodliwy. To postać żałosna, niestanowiąca jednak zagrożenia, raczej uprzykrzony natręt, który, zdaniem Clarissy, mógłby stać się bohaterem zabawnej opowiadki. Czy nie zachowałem się przewrotnie, tak szybko wyrzucając z pamięci rozmowę, w którą Parry włożył tyle uczucia? Wtedy wydało mi się to rozsądne i konieczne – dość już zmarnowałem czasu tego ranka. Zanim taksówka zdążyła przejechać półtora kilometra, myślałem wyłącznie o pracy, do której zamierzałem się wziąć, o tekście, który zaczynał mi się układać w głowie, gdy czekałem na Clarisę na Heathrow.

Tego dnia musiałem zacząć długi artykuł na temat uśmiechu. Cały numer amerykańskiego magazynu popularnonaukowego miał być poświęcony – jak to określił redaktor – rewolucji intelektualnej. Biologowie i psychologowie ewolucyjni zmieniali kształt nauk społecznych. Standardowy model nauk społecznych, będący wynikiem powojennego consensusu, ulegał rozpadowi i natura ludzka miała zostać poddana nowym badaniom. Nie przyszliśmy na ten świat niczym niezapisane karty ani też nie jesteśmy przeznaczeni do wszechstronnej nauki. Nie można nas też uznać za „wytwory” środowiska. Jeżeli chcemy się dowiedzieć, kim jesteśmy, musimy dociec, skąd wzięliśmy się na tym świecie. Jesteśmy produktem ewolucji, jak wszystkie inne stworzenia na tej ziemi. Rodzimy się z ograniczeniami i możliwościami zapisanymi w naszych genach. Wiele z naszych cech, kształt stóp, kolor oczu, jest z góry

ustalone; inne zaś, jak zachowania społeczne i seksualne czy zdolności językowe, rozwijają się w miarę upływu życia. Ale ich tok nie jest nieskończenie zmienny. Ludzie są dziećmi natury. Słowo to w ustach biologów zajmujących się człowiekiem poświadcza twierdzenie Darwina, który uznał, że ślady przeżywanych uczuć widoczne na naszych twarzach są bardzo podobne we wszystkich kulturach, a uśmiech dziecka to sygnał społeczny, szczególnie łatwy do wyodrębnienia i zbadania. Pojawia się na buziach niemowląt! Kung San na Kalahari w tym samym czasie co u amerykańskich dzieci z Upper West Side na Manhattanie i ma ten sam skutek. Wedle chłodnego określenia Edwarda O. Wilsona „wywołuje zwiększoną ilość rodzicielskiej miłości i czułości”. I dalej: „Wedle terminologii zoologicznej to wyzwalacz społeczny, wrodzony i stosunkowo niezmienny sygnał, który doprowadza do nawiązania podstawowego stosunku społecznego”.

Przed paroma laty redaktorzy książek naukowych myśleli tylko o chaosie. Teraz gwałtownie dopominają się wszelkich opinii na temat neodarwinizmu, psychologii ewolucyjnej i genetyki. Nie skarżyłem się, interes szedł dobrze, ale Clarissa wystąpiła generalnie przeciw całemu projektowi, twierdząc, że racjonalizm schodzi na manowce.

– Oto nowy fundamentalizm – oznajmiła pewnego wieczoru. – Przed dwudziestoma laty ty i twoi koledzy byliście socjalistami i wszelkie nieszczęścia kładliście na karb środowiska. Teraz schwytaście nas w pułapkę naszych genów i w nich dopatrujecie się przyczyny wszelkiego zła! – Zaniepokoiła się, gdy przeczytałem jej fragment z Wilsona. – Nie ma już żadnych świętości – powiedziała – a przy okazji zatracono co cenniejsze wartości. Pogląd zoologa na temat uśmiechu dziecka nie musi nikogo interesować. Prawda tego uśmiechu znajduje się w oku i sercu rodzica i w ciągle rosnącej miłości, która nabiera znaczenia z upływem czasu.

Byliśmy właśnie w trakcie jednego z naszych posiedzeń, które zazwyczaj odbywaliśmy późnym wieczorem przy kuchennym stole. Powiedziałem Clarissie, że moim zdaniem ostatnio spędza

zbyt wiele czasu w towarzystwie Johna Keatsa. Bez wątpienia był geniuszem, lecz także obskurantem, który uważał, że wiedza odziera świat z cudowności, podczas gdy naprawdę było wręcz odwrotnie. Jeśli cenimy uśmiech dziecka, dlaczego nie zastanowić się nad jego źródłem? Czy mamy uznać dziecięcą radość za tajemny żart? Czy też Bóg wyciąga rękę i łaskocze niemowlęta? Albo też, co najmniej prawdopodobne, uczą się uśmiechać od swych matek. Ale wszak głuchonieme dzieci też się uśmiechają. Ten uśmiech musi być wywołany wielkim podnieceniem, mieć konkretne powody ewolucyjne. Clarissa powiedziała, że jej nie rozumiałem. Nie ma nic złego w analizie fragmentów, lecz wówczas łatwo stracić z oczu całość. Przyznałem jej rację. Synteza ma zasadnicze znaczenie. Clarissa stwierdziła, że nadal jej nie rozumiem, miała bowiem na myśli miłość. Powiedziałem, że ja również jestem ciekaw, jak to się dzieje, że niemowlęta, które jeszcze nie potrafią mówić, otrzymują więcej miłości. Oświadczyła, że nie, nadal jej nie rozumiem. Na tym przerwaliśmy. Bez urazy. Prowadziliśmy tę rozmowę wielokrotnie w różnej formie. Tym razem naprawdę mówiliśmy o braku dzieci w naszym życiu.

W bibliotece odebrałem zamówioną książkę i wertowałem ją przez dwadzieścia minut. Ponieważ jak najprędzej chciałem przystąpić do pisania, wziąłem taksówkę do domu. Gdy zapłaciwszy kierowcy, odwróciłem się, ujrzałem, że przed moją kamienicą, tuż przy wejściu, czeka Parry. Czego się spodziewałem? Że zniknie, ponieważ myślałem o czymś innym? Sprawiał wrażenie nieco zakłopotanego, lecz nie wycofał się.

Zaczął mówić, gdy się do niego zbliżałem.

– Powiedziałeś, żebym zaczekał, no to czekałem.

W rękę trzymałem klucze. Zawahałem się. Chciałem odrzec, że niczego podobnego nie mówiłem, i przypomnieć mu o jego „uroczystej obietnicy”. Zastanawiałem się też, czy jeśli ponownie go wysłucham, wyciągnę z tego dla siebie jakąś korzyść – może przy okazji dowiem się czegoś więcej o stanie jego umysłu. Ale perspektywa zagłębienia się w kolejny dramat domowy, tym

razem rozgrywający się na wąskiej, wyłożonej tłuczoną cegłą ścieżce między kępami wystrzyżonego ligustru, przerażała mnie.

Pokazałem mu klucz.

– Zastawiasz drogę – oznajmiłem. Nadal bronił mi dostępu do wejścia.

– Chcę porozmawiać z tobą o tym wypadku – powiedział.

– Ale ja nie. – Zrobiłem ku niemu kolejne dwa kroki, jakby był duchem i mógłbym wsunąć na wskroś niego klucz do zamka.

Znowu zaczął skamleć.

– Posłuchaj mnie, Joe. Mamy tyle do omówienia. Wiem, że ciebie też to dręczy. Może porozmawiamy teraz i zobaczymy, do czego dojdziemy.

Odepchnąłem go, przepaszając zdawkowo. Zdumiałem się, że cały zmięknął, gdy go dotknąłem. Był lżejszy, niż myślałem. Pozwolił się zepchnąć na bok, a ja mogłem już otworzyć drzwi.

– Rzecz w tym – rzekł – że podchodzę do tego z myślą o przebaczeniu.

Wszedłem do środka, gotów zastąpić mu drogę, gdyby chciał wejść za mną. Ale pozostał na swoim miejscu, a gdy zamknąłem drzwi, widziałem przez szybę antywłamaniową, jak rusza ustami, wymawiając jakieś słowo, być może znowu „przebaczenie”. Pojechałem windą na górę i właśnie stanąłem pod drzwiami mieszkania, gdy usłyszałem dzwonek telefonu. Pomyślałem, że to Clarissa dzwoni, tak jak obiecała. Wbiegłem do przedpokoju i pośpiesznie chwyciłem słuchawkę.

To był Parry.

– Proszę, nie uciekaj od tego, Joe – zaczął.

Odłożyłem słuchawkę i ponownie ją podniosłem. Po chwili zmieniłem zdanie i znowu ją odłożyłem. Wyłączyłem dzwonek i włączyłem automatyczną sekretarkę. Kliknęła, rejestrując zgłoszenie, jeszcze zanim przeszedłem przez pokój do okna. Parry

stał po przeciwległej stronie ulicy i doskonale mogłem go widzieć. Przy uchu miał telefon komórkowy. Słyszałem jego głos na sekretarce, odbijający się echem w holu za mną.

– Joe, miłość boża cię odszuka. – Uniósł wzrok i musiał mnie ujrzeć, zanim zdążyłem schować się za zasłoną. – Wiem, że tam jesteś, widzę cię. Wiem, że słuchasz...

Wróciłem do przedpokoju i wyłączyłem dźwięk w sekretarce. W łazience spryskałem twarz zimną wodą i obserwowałem w lustrze swoje ociekające rysy, zastanawiając się, jak to jest, kiedy ma się obsesję na punkcie kogoś takiego jak ja. Ta chwila, podobnie jak tamta na polu, kiedy Clarissa wręczyła mi butelkę wina, mogłaby służyć za punkt wyjścia, gdyż wówczas doszło do mnie w pełni, że to się nie skończy wraz z dzisiejszym dniem. Gdy wróciłem do przedpokoju, pomyślałem, że wszedłem w „związek”.

Podniosłem pokrywkę automatycznej sekretarki. Taśma nadal się kręciła. Przesunąłem gałkę głośności leciutko do góry i usłyszałem cichy, zawodzący głos Parry’ego: „...odejść od tego, Joe, ale cię kocham. Ty puściłeś to w ruch. Nie możesz się teraz wycofać...”

Szybko wkroczyłem do swojego gabinetu, podniosłem telefon połączony z faksem i zadzwoniłem na policję. W ciągu tych paru sekund, kiedy mnie łączono, uświadomiłem sobie, że nie wiem, co powiedzieć. Usłyszałem kobiecy głos, lakoniczny i pełen sceptycyzmu, uodporniony na codzienny zalew paniki i grozy.

Mówiłem burkliwym, zrównoważonym tonem odpowiedzialnego obywatela.

– Chciałem zgłosić przypadek nękania, uporczywego nękania.

Przełączono mnie do funkcjonariusza, którego głos dźwięczał tym samym czujnym spokojem. Powtórzyłem zgłoszenie. Przed zadaniem pierwszego pytania głos zawahał się na ułamek sekundy.

– Czy to pan jest nękany?

- Tak, nachodzono mnie...
- Czy osoba, która utrudnia panu życie, jest teraz z panem?
- W tej chwili stoi przed moim domem.
- Czy doznał pan od niej jakiegoś fizycznego uszczerbku?
- Nie, ale on...
- Czy groził, że zrobi panu krzywdę?

– Nie. – Zrozumiałem, że moją skargę należy wlać w odpowiedni biurokratyczny szablon. Nie było dostatecznie precyzyjnego urzędnika, które pomieściłoby każdą prywatną opowieść.

Skoro nie mogłem dać upustu swojemu żalowi przez wniesienie skargi, próbowałem znaleźć pociechę, nadając mojej historii postać uznaną oficjalnie. Zachowaniu Parry’ego należy przyporządkować cechy powszechnie uważane za występki.

- Czy groził zniszczeniem pańskiej własności?
- Nie.
- Wysuwał groźby pod adresem osób trzecich?
- Nie.
- Usiłuje pana szantażować?
- Nie.
- Czy może pan udowodnić, że zamierza pana dręczyć?
- E... nie.

Głos porzucił ton neutralnej oficjalności i zadał pytanie z prawie szczerą troską. Wydawało mi się, że uchwyciłem akcent Yorkshire.

- Może pan w takim razie powiedzieć, co on robi?
- Dzwoni do mnie o różnych porach dnia i nocy. Mówi do mnie, jakby...

Głos szybko powrócił do chłodnej neutralności, ustalonego zestawu pytań.

– Czy zachowuje się w sposób nieobyczajny lub obraźliwy?

– Nie, panie władzo, niech mi pan pozwoli wyjaśnić. To świr. Nie chce zostawić mnie w spokoju.

– Czy wie pan, czego on właściwie chce?

Zamilkłem. Po raz pierwszy dobiegły mnie inne głosy w tle. Pewnie siedziała tam cała gromada takich samych policjantów jak on, ze słuchawkami na uszach, przez cały boży dzień zajmując się napadami, morderstwami, samobójstwami, gwałtami pod groźbą zasztyletowania. Ja należałem do drugiej kategorii, jako ofiara próby nawrócenia religijnego w biały dzień.

– Chce mnie zbawić – powiedziałem.

– Zbawić?

– No wie pan, nawrócić. Opanowany jest tą jedną myślą. Nie chce zostawić mnie w spokoju.

Głos przerwał mi, najwyraźniej już zniecierpliwiony.

– Niestety, to nie sprawa policji. Póki nie zrobi panu krzywdy, nie zagarnie własności albo nie zagrozi czymś podobnym, nie popełnia wykroczenia. Usiłując pana nawrócić, nie narusza prawa. – Po czym zakończył, dodając od siebie parę słów krytyki: – W naszym kraju obowiązuje swoboda religijna.

Wróciłem do okna w salonie i spojrzałem na Parry'ego. Nie mówił już do mojej sekretarki. Stał z rękami w kieszeniach naprzeciw budynku, niewzruszony niczym agent Stasi.

Zrobiłem termos kawy, parę kanapek, wycofałem się do gabinetu, którego okna wychodzą na inną ulicę, i usiadłem tam, by przeczytać, a raczej przerzucić notatki. Zupełnie nie mogłem się skupić. Nagonka Parry'ego wzmogła drażące mnie już dawniej niezadowolenie. Nachodzi mnie ono od czasu do czasu, zazwyczaj gdy jestem nieszczęśliwy z innego powodu. Mam wówczas poczucie, że wszystkie pomysły, którymi się zajmuję, zrodziły się



w głowach innych. Ja po prostu zestawiam i przetrawiam wyniki cudzych badań, po czym przedstawiam je czytelnikom. Chwała mnie za umiejętność jasnej prezentacji zawilej problematyki. Mogę wysnuć przyzwoitą opowieść z przeszkód, nawrotów i przypadkowych sukcesów, przez które wiedzie droga do większości przełomów naukowych. Prawda, że między badaczem i szeroką publicznością potrzebny jest pośrednik, który poda bardziej szczegółowe wyjaśnienia, w jakie przeciętny pracownik laboratorium nie będzie chciał się wdawać, gdyż jest na to zbyt zajęty albo zanadto ostrożny. Prawdą jest też, że zarobiłem kupę forsy, bujając się jak mała na najwyższych drzewach dżungli naukowej mody – dinozaurach, czarnych dziurach, magii kwantowej, chaosie, superstrunach, badaniach nad systemem nerwowym, powrotem do Darwina. Wydawałem pięknie ilustrowane książki w twardych oprawach, wzbogacone telewizyjnymi dokrętkami dokumentalnymi, brałem udział w dyskusjach radiowych i w konferencjach organizowanych w najprzyjemniejszych miejscach na tej planecie.

Ale gdy opada mnie zły nastrój, powraca myśl, że jestem pasożytem i że pewnie nie czułbym się tak, gdybym skończył fizykę na przyzwoitym uniwersytecie i zrobił doktorat z elektrodynamiki kwantowej. Powinienem sam prowadzić badania, wnosząc własny wkład do dorobku ludzkiej wiedzy. Lecz gdy po siedmiu latach wyteżonej nauki opuściłem uniwersytet, zaczął się we mnie kołatać niespokojny duch. Podróżowałem po świecie, na wariata i o wiele za długo. Kiedy wreszcie wróciłem do Londynu, założyliśmy z przyjacielem firmę. Zamierzaliśmy wypuścić na rynek urządzenie, nad którym pracowałem w wolnych chwilach po skończeniu studiów. Ten niewielki aparacik, stanowiący zbiór obwodów o pomysłowych fazach, miał zwiększać wydajność pewnych mikroprocesorów i wydawało nam się wtedy, że potrzebować go będzie każdy komputer na świecie. Niemieckie przedsiębiorstwo opłaciło nam przelot do Hanoweru pierwszą klasą i przez parę lat sądziliśmy, że zostaniemy miliarderni. Ale wniosek o uzyskanie patentu został odrzucony. Zespół z ośrodka naukowego pod Edynburgiem wyprzedził nas, a ponadto

dysponował lepszą elektroniką. Potem przemysł komputerowy i tak ruszył jak burza w innym kierunku. Nasza firma nie zawarła ani jednej transakcji, a naukowcy z Edynburga zbankrutowali. Gdy wróciłem do elektrodynamiki kwantowej, luka w moim życiorysie zrobiła się już zbyt duża, traciłem biegłość w matematyce i jako mężczyzna pod trzydziestkę wyglądałem już za staro na tę grę, w której panuje tak ogromna konkurencja.

Kiedy opuszczałem gabinet na uczelni po ostatniej rozmowie kwalifikacyjnej, wiedziałem już – sądząc z wylewności, z jaką odprowadzał mnie mój dawny profesor – że nie mam co marzyć o karierze naukowej. Szedłem w deszczu po Exhibition Road, zastanawiając się, co robić dalej. Gdy mijałem Muzeum Przyrodnicze, deszcz przeszedł w ulewę, toteż razem z kilkudziesięcioma innymi osobami poszukałem tam schronienia. Usadawiłem się naprzeciw modelu diplodoka naturalnej wielkości i schnąc, z dziwnym zadowoleniem przyglądałem się tłumowi. Często duże grupy ludzi wpędzają mnie w nastrój nieokreślonej mizantropii. Tym razem jednak ciekawość i zadziwienie, które dostrzegałem u zwiedzających, w jakiś sposób ich uszlachetniały. Wszystkich wchodzących, bez względu na wiek, przyciągało to wspaniałe zwierzę, toteż długo przyglądali mu się z podziwem. Mimo woli podsłuchiwałem rozmowy toczące się między zwiedzającymi i uwagę moją zwrócił, oprócz entuzjazmu, ogólny brak wiedzy. Usłyszałem, jak dziesięcioletni chłopiec pyta trójkę dorosłych, z którymi tu przyszedł, czy takie stworzenie ścigało i jadło ludzi. Z ich skwapliwych odpowiedzi wynikało, że w kilkanaście lat po ukończeniu szkoły harmonogram ewolucji już wywietrzał im z głów.

Siedząc tak, zacząłem przypominać sobie tych parę niepowiązanych rzeczy, które wiem o dinozaurach. Przywołałem w pamięci fragment z *Podróży na okręcie „Beagle”*, w którym Darwin opisuje znalezienie dużych skamieniałych kości w Ameryce Południowej i mówi, jak zasadnicze znaczenie dla jego teorii miała kwestia ustalenia ich wieku. Zrobiły na nim wrażenie argumenty, które wysunął geolog Charles Lyell. Ziemia liczyła sobie znacznie więcej niż cztery tysiące lat, przy których obstawał Kościół. W

naszej epoce zagorzały oraz prowadzony z naukowym obiektywizmem spór został rozstrzygnięty na korzyść tamtej późniejszej teorii. Uzyskano nowe geologiczne dowody rozmaitych kataklizmów, które zakłóciły życie na Ziemi. Olbrzymi krater w Meksyku mógł zostać wybity przez meteor, który zakończył panowanie dinozaurów i dał szczerkowatym istotkom, zmykającym przed stopami olbrzyma, szansę na powiększenie swej niszy, co pozwoliło na rozkwit ssaków, a w ostatecznym rozrachunku – naczelnym. Krażyła też pociągająca myśl, że dinozaury wcale nie zniknęły z powierzchni Ziemi, lecz uległy wymogom środowiska i przekształciły się w nieszkodliwe ptaszki, które karmimy w naszych przydomowych ogródkach.

Gdy wyszedłem z muzeum, miałem już plan książki, nabazgrany na odwrocie listu, w którym umawiałem się na rozmowę kwalifikacyjną. Przez trzy miesiące czytałem, przez sześć pisałem. Siostra mego partnera od nieudanych interesów zajmowała się wyszukiwaniem ilustracji i uprzejmie zgodziła się dłużej poczekać na honorarium. Książka wyszła w okresie, kiedy żadne dziełko o dinozaurach nie mogło zrobić kłapy, a moja wersja zyskała wystarczającą popularność, by podpisano ze mną umowę na opowieść o czarnych dziurach. Tak zaczęła się moja kariera autora publikacji popularnonaukowych, a w miarę jak odnosiłem coraz większe sukcesy, zamykały się przede mną inne możliwości pracy w nauce. Zostałem dziennikarzem, komentatorem, kibicem własnego zawodu. Nigdy już nie powrócą dni, tak oszałamiające we wspomnieniach, gdy prowadziłem oryginalne badania, które miałem wykorzystać w pracy doktorskiej na temat pola magnetycznego elektronu; kiedy brałem udział w konferencjach poświęconych problemowi nieskończoności w teoriach podatnych na renormalizację – nie jako obserwator, lecz czynny, choć niezbyt ważny uczestnik. Teraz żaden uczony, a nawet technik laboratoryjny czy portier na uniwersytecie, nie potraktuje mnie poważnie.

Tego właśnie dnia, gdy siedziałem w gabinecie z kawą i kanapkami, nie mogąc ruszyć dalej z tekstem, a Parry trzymał straż pod oknem, znowu mi się przypomniało, dlaczego tak

właśnie wylądowałem. Od czasu do czasu słyszałem kliknięcie włączającej się sekretarki. Mniej więcej co godzinę szedłem do salonu, by zorientować się w sytuacji, a Parry ciągle tam stał, wpatrując się w wejście niczym pies uwiązany przed sklepem. Tylko raz odezwał się do mnie przez telefon. Przeważnie tkwił w miejscu, z lekko rozstawionymi nogami, rękami w kieszeniach, a z wyrazu jego twarzy można było wyczytać skupienie albo i niezmierne szczęście, którego niebawem spodziewał się dostąpić.

Gdy wyrząłem o piątej, już go nie było. Postąłem przy oknie jeszcze chwilę, wyobrażając sobie, że widzę zarys jego postaci w opuszczonej przestrzeni, filar nieobecności w gasnącym świetle późnego popołudnia. Czerwone cyfry pokazały, że są dla mnie trzydzieści trzy wiadomości. Używając funkcji skanera, pomiąłem je i znalazłem głos Clarissy. Miała nadzieję, że wszystko w porządku, wróci o szóstej i kocha mnie. Trzy wiadomości związane były z pracą, czyli Parry przekazał ich dwadzieścia dziewięć. Gdy zadumałem się nad tą liczbą, taśma zaczęła się przesuwac. Nastawiłem głośniej. Odniosłem wrażenie, że dzwoni z taksówki.

– Joe. Wspaniały pomysł z tymi zasłonami. Od razu się zorientowałem? Chcę tylko powtórzyć jeszcze raz. Ja też to czuję. Naprawdę. – Przy tych ostatnich słowach głos podniósł mu się nieco ze wzruszenia.

Zasłony? Poszedłem do saloniku i rzuciłem okiem. Wisiały tak jak zawsze. Nigdy ich nie zaciągamy. Odsunąłem jedną na bok, niemądrze spodziewając się, że dzięki temu coś mi zaświta.

Potem znowu usiadłem w gabinecie. Nie zająłem się swoim tekstem, lecz rozmyślałem, czekałem na Clarissę i znowu zacząłem się zastanawiać, jak doszło do tego, że jestem tym, kim jestem. Przecież wszystko mogło ułożyć się inaczej – zacząłem nawet, całkiem niedorzecznie, przemyśliwać o powrocie do pracy badawczej i osiągnięciu czegoś nowego, zanim dobiegnę pięćdziesiątki.

## 9

Rozsądniej będzie, jeśli Clarissa po powrocie opowie o tym ze swego punktu widzenia, a przynajmniej z tego punktu, z którego to później zrekonstruowałem. Pokonuje trzy kondygnacje schodów, niosąc pięć kilogramów książek i papierów w skórzanej torbie, którą targała ponad pół kilometra od stacji metra. Miała podły dzień. Najpierw studentka, której postępy oceniała wczoraj, prosta dziewczynina z Lancaster, zadzwoniła do niej, tonąc we łzach i wykrzykując coś bez związku. Gdy Clarissie udało się ją uspokoić, dziewczyna oskarżyła swą opiekunkę naukową, że wyznacza niemożliwe lektury i kieruje jej badania w ślepy zaułek. Seminarium z poezji romantycznej poszło źle, gdyż dwoje studentów, którzy mieli przygotować referaty, nie zrobiło nic, a reszcie szczeniaków nie chciało się nawet zajrzeć do książek. Koło południa zauważyła, że zgubiła notes, w którym miała zapisane umówione spotkania. Gdy się posilała, cały czas musiała wysłuchiwać skarg koleżanki, która opowiadała, że jej mąż jest w łóżku zbyt delikatny, brakuje mu agresji koniecznej, by ją osiąść i doprowadzić do takiego orgazmu, na jaki z pewnością zasługuje. Po południu Clarissa przez trzy godziny brała udział w zebraniu komitetu senackiego, gdzie wmanewrowano ją w głosowanie na najmniejsze zło – siedmioprocentową obniżkę budżetu jej wydziału. Stamtąd udała się prosto na rozmowę z dyrekcją w sprawie jakości i sprawności prowadzenia zajęć, gdzie przypomniano jej, że systematycznie spóźnia się z realizacją planu zadań i pracy oraz że poziom jej nauczania, badań i wypełniania obowiązków administracyjnych bywa nierówny.

Gdy wtaszczyła torbę na górę, poczuła, że kosztowało ją to więcej wysiłku, niż powinno, i zaczęła podejrzewać, że się zaziębiła. Pobolewa ją u nasady nosa, a oczy szczypią. Odczuwa też coraz silniejszy ból w karku – nieomylny znak infekcji wirusowej. Co najgorsze, znowu powraca wspomnienie wypadku z balonem. Nigdy całkowicie o nim nie zapomniała, ale przez większą część dnia udawało jej się odsuwać go od siebie,

odrealnić, utrzymać w osobnej przegródce w mózgu. Teraz się z niej wydobył i wypełnił jej umysł. To jak przykry odór na koniuszkach palców. Od jakiegoś czasu wciąż ma przed oczyma obraz Logana puszczającego linę. Towarzyszące temu uczucie, pełna przerażenia bezradność, również ją dręczy i to chyba ono wywołało fizyczne objawy przeziębienia czy grypy. Omawianie tej katastrofy z przyjaciółmi też już nie pomaga, gdyż – jak sądzi – doszła do jądra bezsensowności. Gdy pokonuje ostatnią kondygnację schodów, zauważa, że ból dochodzi do stawów kolanowych. A może to się zdarza człowiekowi, kiedy ciągnie na górę tyle książek, a nie ma już dwudziestu lat? Gdy wkłada klucz do zamka we frontowych drzwiach, humor jej się nieco poprawia; wie, że Joe będzie w domu i tak jak zawsze, gdy ona jest w potrzebie, troskliwie się nią zaopiekuje.

Kiedy weszła do przedpokoju, Joe czekał na nią przy drzwiach swego gabinetu. Miał nieprzytomny wyraz twarzy, co od jakiegoś czasu już mu się nie zdarzało. Clarissa wiąże tę minę z nazbyt ambitnymi planami, głupimi zazwyczaj zamysłami rodzącymi się w chwilach podniecenia, które od czasu do czasu ogarnia tego spokojnego, dobrze zorganizowanego, kochanego mężczyznę. Idzie ku niej, mówiąc coś, zanim jeszcze zdążyła przejść przez próg. Nie całuje jej ani nie wykonuje żadnego powitalnego gestu, lecz jak nakręcony opowiada historyjkę o nękanii i kretynstwie, za czym kryje się jakaś forma oskarżenia, nawet gniewu przeciw niej, bo absolutnie nie miała racji, powiada Joe, ale teraz znalazł dowód, że słusność jest po jego stronie. Zanim zdołała go zapytać, o czym mówi, w istocie zanim nawet odłożyła torbę, Joe zaczyna już z innej beczki i opowiada jej rozmowę, którą niedawno odbył ze starym przyjacielem, pracującym w Zakładzie Fizyki Częstek na Gloucester Road. Znajomy ów, być może, załatwi mu rozmowę z profesorem. Clarissa zaś pragnie tylko powiedzieć: Kto mnie pocałuje? Przytul mnie! Zajmij się mną! Lecz Joe terkocze, jakby od roku nie widział ludzkiej istoty.

Na razie jako partner do rozmowy jest głuchoniemy, toteż Clarissa unosi obie dłonie w geście poddania i mówi:

– To wspaniale, Joe. Idę się wykąpać.

Nawet wówczas Joe nie przestaje, prawdopodobnie jej słowa w ogóle do niego nie dotarły. Gdy Clarissa się odwraca, by pójść do łazienki, idzie za nią i jej śladem wchodzi do środka, powtarzając raz po raz na różne sposoby, że musi wrócić do pracy naukowej. Słyszała to już przedtem. W istocie, podczas ostatniego prawdziwego kryzysu przed dwoma laty doszedł do wniosku, że jest pogodzony ze swoim życiem, które w końcu nie jest takie złe – i to miało zakończyć sprawę. Mówi głośniej, przekrzykując szum lecącej wody, teraz znowu powraca do opowieści o nękanii, a ona słyszy nazwisko Parry i przypomina sobie. A tak, to. Clarissa uważa, że dość dobrze rozumie Parry’ego. Samotny nieudacznik, pokrecony na punkcie Jezusa, prawdopodobnie jest na utrzymaniu rodziców i za wszelką cenę chce się z kimś związać, z kimkolwiek, nawet z Joem.

Joe tkwi w drzwiach łazienki niczym nowo odkryta gadająca małpa. Gada, niezbyt zdając sobie sprawę, co się wokół dzieje. Clarissa przepycha się obok niego z powrotem do sypialni. Chciałaby poprosić, by przyniósł szklanke białego wina, ale pewnie sobie też by nalał i asystował jej przy kąpieli, podczas gdy ona, skoro Joe nie ma zamiaru się nią zająć, pragnie tylko być sama. Siada na brzegu łóżka i zaczyna rozsznurowywać botki. Gdyby naprawdę była chora, mogłaby to głośno powiedzieć. Nie może się zdecydować ni w tę, ni w tę, może jest tylko zmęczona i zdenerwowana niedzielnym wypadkiem, a że nie zwykła robić wokół siebie zamieszania, po prostu unosi stopę, a Joe przykłęka na kolano, by zzuć jej bucik – i przez cały ten czas nie przestaje mówić. Chce wrócić do fizyki teoretycznej, pragnie wsparcia wydziału, z radością podejmie się wszelkich prac, jakich wymagać będzie od niego nauka, ma pomysły na temat wirtualnego fotonu.

Clarissa stoi w samych pończochach i rozpina bluzkę. Nagość i zmysłowe odczucie miękkiego dywanu na podszwach mgliście ją podnieca. Przypomina sobie zeszłą noc i jeszcze poprzednią, smutek, huśtawkę uczuć i seks, pamięta też, że kochają się nawzajem, że akurat teraz przebywają w całkowicie

odmiennych wszechświatach umysłowych i mają zupełnie różne potrzeby. To tyle. Ale wszystko się zmieni i nie ma powodu wyciągać znaczących wniosków, do czego skłania ją obecny nastrój. Zdejmuje bluzkę, dotyka zapięcia biustonosza, po czym zmienia zdanie. Czuje się lepiej, co nie znaczy, że dobrze, i nie chce dać Joemu niewłaściwego sygnału – zakładając, że go w ogóle dostrzeże. Gdyby mogła zostać sama w wannie przez pół godziny, zdołałaby go wysłuchać – on zaś wysłuchałby jej. Rozmowa i wysłuchiwanie wzajemnych pretensji podobno dobrze robi parom. Clarissa przechodzi przez pokój, by powiesić spódniczkę, po czym znowu siada na łóżku, by zdjąć pończochy, i słuchając Joego, myśli o Jessice Marlowe, kobiecie, która skarżyła się przy lunchu, że jej mąż jest zbyt delikatny i dość mdły seksualnie. Kogo się dostanie i jak to wypadnie, zależy od sporej dawki szczęścia, a także miliona nieświadomych, łączących się ze sobą skutków takiego, a nie innego wyboru partnera. Nikt ani żadna ilość rozmów nie potrafi ich rozplatać, jeśli ten wybór okaże się niewłaściwy.

Joe tłumaczy jej, że nie ma znaczenia, iż trochę zapomniał matematyki – dziś od tego jest oprogramowanie. Clarissa widziała Joego przy pracy i wie, że podobnie jak poeta, fizyk teoretyczny prócz talentu i pomysłów potrzebuje kartki papieru i dobrze zatemperowanego ołówka – albo komputera o dużej mocy. Gdyby chciał, mógłby podjąć teraz pracę na uczelni i „powrócić do nauki”. Powiada, że potrzebuje wydziału, profesorów, kolegów i gabinetu, choć w gruncie rzeczy to wszystko razem się nie liczy, ale chroni go przed porażką, bo naukowcy nigdy nie dopuszczą go do swego grona. (Ona sama ma dość wydziałów uniwersyteckich). Clarissa wkłada szlafrok na bieliznę. Joego znowu ponosi dawna gorączkowa ambicja – niedziela przygłębia go też na różne sposoby. Kłopot z jego precyzyjnym, rozważnym umysłem polega na tym, że Joe nie bierze pod uwagę swoich uczuć. Nie zdaje sobie sprawy, że jego argumenty to brednie, fikolki umysłowe, wywołane określonym stanem ducha. Łatwo go zatem zranić, ale w tej chwili Clarissa nie jest w stanie go osłaniać. Podobnie jak ona, Joe dotarł do bezsensownego jądra tragedii Logana, ale



jeszcze o tym nie wie. Podczas gdy ona pragnie tylko zanurzyć się spokojnie w gorącej pianie, on chce odmienić swój los.

W wannie Clarissa miesza zimną wodę z gorącą za pomocą szczotki do mycia pleców i dodaje olejku sosnowego, liliowych kryształków i – po namyśle – aromatycznej esencji, którą dostała pod choinkę od chrzestnej córki. Olejku tego – jak głosi naklejka – używali już starożytni Egipcjanie i obdarza on kąpiącego się mądrością i wewnętrznym spokojem. Wlewa do wanny całą butelkę. Joe położył pokrywkę na sedesie i usadowił się na niej. Clarissa absolutnie może pozwolić sobie na to, by poprosić, żeby zostawił ją w spokoju, i nie wywoła to żadnych reperkusji w ich związku, lecz Joe jest tak napalony, że ją to onieśmiela. Zwłaszcza teraz, gdy znowu zaczął mówić o Parrym. Zanurzona już w zielonej wodzie, może się skupić wyłącznie na jego słowach. Policja? Zadzwońeś na policję? Trzydzieści trzy wiadomości na automatycznej sekretarce. Przecież zerknęła na nią, gdy weszła, na wskaźniku widniało zero. Skasował je, tłumaczy, a usłyszawszy to, Clarissa siada w wannie i uważnie mu się przygląda, on zaś w pełni odwzajemnia jej spojrzenie. Gdy miała dwanaście lat, jej ojciec zmarł na chorobę Alzheimera i odtąd zawsze się obawiała, że zwiąże się z kimś, kto straci rozum. Dlatego wybrała rozsądnego Joego.

Coś w jej spojrzeniu, czy też nagłe wyprostowanie bolących pleców albo otwarte ze zdziwienia usta, sprawia, że Joe jąka się przy słowie „zjawisko”, po czym zapada w krótkie milczenie, a następnie odzywa się niższym głosem:

– O co chodzi?

Nie spuszczać z niego wzroku, Clarissa powiada:

– Mówisz do mnie bez przerwy, odkąd weszłam. Wstrzymaj się przez chwilę, Joe. Weź parę głębokich oddechów.

Wzruszają, że robi dokładnie to, o co go poprosiła.

– Jak się czujesz?

Wpatrując się w podłogę, Joe opiera ręce na kolanach i głośno oddycha z ożywieniem.

– Jestem bardzo podniecony.

Oczekiwała, że ten stan potrwa, że Joe nadal będzie podniecony, lecz on spogląda na nią. Słuchają nierytmicznego tykania rury z gorącą wodą, kurczącej się gdzieś za wanną.

– Wiem, że powtarzałam to już przedtem, więc się nie złość. Nie uważasz, że robisz zbyt wiele hałasu wokół tego Parry’ego? To w końcu nie taka poważna sprawa. Zaproś go na filiżankę herbaty, a potem pewnie nigdy więcej nie będzie cię już nachodził. Nie jest powodem twego podniecenia, lecz jego objawem. – Mówiąc to, myśli o trzydziestu wiadomościach, które zostały wykasowane. Niewykluczone, że Parry, a w każdym razie Parry wedle opisu Joego, w ogóle nie istnieje. Czuje przeszywający dreszcz i z powrotem zanurza się w wodzie, nie spuszczać z niego oka.

Najwyraźniej wziął sobie jej słowa do serca.

– Objawem konkretnie czego?

W ostatnim słowie zabrzmiał ostrzegawczy chłód, – więc Clarissa odpowiada lżejszym tonem:

– Czyja wiem... Może ciągle się gryziesz, że nie prowadzisz badań naukowych. – Ma nadzieję, że o to chodzi.

Znowu poważnie się nad tym zastanawia. Odpowiedzi na jej pytania nagle zaczynają go męczyć. Wygląda jak dziecko tuż przed pójściem do łóżka, kiedy tak bez najmniejszego skrępowania siedzi na sedesie, podczas gdy ona się kąpie.

– Jest całkiem na odwrót – mówi. – Powstała idiotyczna sytuacja, z którą nie mogę sobie poradzić. Wkurzyłem się i zaczynam myśleć o pracy, którą naprawdę powinienem wykonywać.

– Dlaczego uważasz, że nic nie możesz zrobić z tym facetem?

– Właśnie ci mówiłem. Rozmawiałem z nim, a potem on sterczał przed naszym domem i nie ruszył się przez siedem

godzin. Wydzwaniał do mnie cały dzień. Policja twierdzi, że to nie jej sprawa. Więc co mam począć?

Clarissa czuje lekkie, zimne ukłucie w sercu, co zawsze jej się zdarza, gdy gniew skierowany jest przeciw niej. Pozwoliła się wciągnąć w stan umysłu Joego, jego problemy, dylematy, zachcianki. Nic nie może poradzić na to, że górę biorą jej odruchy opiekuńcze. Ostrożne pytania miały pomóc Joemu, a tymczasem w nagrodę mąż ją atakuje, nie zwracając uwagi na jej własne potrzeby. Jest gotowa sama zadbać o siebie, zakładając, że on nie jest do tego zdolny, lecz nawet tej pociechy jej odmówiono. Mówi szybko, blokując jego pytanie swoim:

– Dlaczego wykasowałeś wiadomości z taśmy? Rzuciło nim.

– Co takiego?

– Zadałam ci proste pytanie. Trzydzieści wiadomości stanowiłoby dowód nękania, który mógłbyś przedstawić policji.

– Policji nie obchodzi...

– No dobra. Ja mogłabym ich wysłuchać. Byłyby dowodem dla mnie. – Staje w wannie i ściąga ręcznik, by się nim okryć. Nagły ruch przyprawia ją o zawrót głowy. Może z jej sercem jest coś nie tak.

Joe również się podniósł.

– Wiedziałem, że do tego dojdzie. Nie wierzysz mi.

– Nie wiem, co mam myśleć. – Wyciera się z niesłychaną energią. – Wiem tylko, że miałam straszny dzień, a po powrocie wkraczam w twoje problemy.

– Straszny dzień. Myślisz, że chodzi mi o straszny dzień? Teraz oboje są w sypialni. Clarissa zastanawia się, czy nie zapędziła się za daleko. Ale już tu stoi, wyszedłszy zbyt szybko z wanny; szuka swojej bielizny. Ból pleców rozszerza się coraz bardziej. Clarissa i Joe rzadko się kłóca. Zwłaszcza ona nie umie wyłuszczyć swoich racji. Nigdy nie zdołała zaakceptować związku opartego na regułach pozwalających, lub wręcz nakazujących,

wypowiadać opinie, których się nie wyznaje i które nawet uważa się za spalone lub po prostu kłamliwe. Nie może pozbyć się wrażenia, że każda wroga wypowiedź oddala ją nie tylko od miłości Joego, ale i od całej miłości, którą w sobie nosi, a przy tym wydobywa z niej ukrytą głęboko miałość.

Joe ma inny kłopot. Jego przeżycia z wolna przechodzą w gniew i wiodą umysł na manowce – zapomina, o co mu chodzi, i nie zdobywa dla siebie żadnych punktów. Nie potrafi też odeprzeć zarzutów za pomocą dokładnej, rozsądnej odpowiedzi; zamiast tego wysuwa tylko oskarżenia. Niekonsekwencje w jego rozumowaniu sprawiają, że łatwo daje się wymanewrować. Rozdrażnienie nie pozwala mu przeforsować własnego punktu widzenia i dopiero później, gdy się uspokoi, może wyartykułować swoje argumenty. Szczególnie trudno wyniszczyć je Clarissie, ponieważ jest taka wrażliwa. Gniewne słowa natychmiast wywołałyby na jej twarzy wyraz bólu.

Lecz teraz oboje sprawiają wrażenie aktorów sztuki, której nie mogą przestać grać, a atmosfera wydaje się przeraźliwie swobodna.

– Ten facet jest śmieszny – ciągnie Joe.

– Ma obsesję... – zaczyna Clarissa, lecz Joe przerywa jej machnięciem ręki.

– Nie mogę cię skłonić, żebyś podeszła do tego poważnie. Obchodzi cię tylko to, że nie masuję twoich cholernych stóp po ciężkim dniu. – To nawiązanie do niedawnej półgodziny, w ciągu której Clarissa sobie dogadzała, wstrząsa Joem nie mniej niż nią samą. Przecież kąpielowy obrzęd nie budził w nim niechęci, nawet sprawiał mu przyjemność.

Clarissa odwraca głowę, lecz udaje się jej powiedzieć to, co zamierzała.

– Tak bardzo się nim przejąłeś, jak tylko go zobaczyłeś. Zupełnie jakbyś wymyślił tę postać.

– Racja! Już rozumiem. Sam to na siebie sprowadziłem. Osobiście zgotowałem sobie ten los. To moja karma. Myślałem, że nawet ty jesteś ponad tymi bzdurami w stylu New Age.

Nie wiadomo, skąd się wzięło to „nawet” – chyba jako wypełniacz, by lepiej wybić rytm zdania, za wszelką cenę wzmocnić jego wymowę. Clarissa nigdy nie wykazywała najmniejszego zainteresowania intelektualnym przesłaniem New Age. Patrzy na Joego ze zdumieniem. Obelga sprawia, że ona z kolei pozbywa się skrępowania.

– Powinieneś samego siebie zapytać o przebieg tej obsesji. Myśl, że to on ma obsesję na punkcie Parry’ego, wydaje się Joemu tak potworna, że jest w stanie wydobyć z siebie tylko: „Chryste!” Jakiś nieuzasadniony impuls każe mu podejść do okna. Nikogo tam nie ma. Atmosfera jest tak napięta, że Clarissa, na pół tylko ubrana, czuje się nieswojo, toteż korzystając z ruchu Joego wywołanego jej uwagą, szybko zdejmuje spódniczkę z wieszaka. Dwa inne wieszaki spadają na podłogę, ale ich nie podnosi, co normalnie by uczyniła.

Joe robi głęboki wdech, po czym odwraca się od okna, by wypuścić powietrze. Próbuje się uspokoić, urządza całe przedstawienie, by wychodząc z rozumowych przesłanek, znowu przybrać pozór rozsądnego człowieka, który nie pozwala się zepchnąć na krańcowe pozycje. Mówi spokojnie, z przydechem, przesadnie wolno. Gdzie się uczymy takich sztuczek? Czy są wpisane w naszą naturę wraz z resztą emocjonalnego repertuaru? Czy podpatrujemy je na filmach?

– Słuchaj, ten problem istnieje – wskazuje na okno – a od ciebie pragnę tylko wsparcia i pomocy.

Ale Clarissa nie chce słuchać głosu rozsądku. Schrypnięty ton, naleganie, z jakim Joe domaga się pomocy, brzmią w jej uszach jak rozczulanie się nad sobą i oskarżenie, a to ją złości. Nie musi mu powtarzać, że zawsze mógł liczyć na jej wsparcie i pomoc. Tymczasem jednak atakuje go od innej strony, wynajduje sobie powód do skargi i przywołuje ją jednym aktem umysłu.

– Przyznałeś, że okłamałeś mnie wtedy, gdy zadzwonił pierwszy raz i powiedział, że cię kocha.

Joe jest tak zaskoczony, że tylko się w nią wpatruje, i podczas gdy sili się, by wypowiedzieć jakieś słowo, Clarissa, nieobyta z takimi bataliami, czuje przyływ triumfu, który łącznie można wziąć za usprawiedliwienie. W tej chwili naprawdę uważa, że została zdradzona, a zatem ma prawo dodać:

– Więc co mam myśleć? Powiedz, proszę. Wtedy będziemy się mogli zorientować, jakiego wsparcia i pomocy potrzebujesz. – Mówiąc to, wsuwa stopy w kapcie.

Joe stopniowo odzyskuje głos. Przez głowę przebiega mu tyle sprzecznych myśli, że czuje się zamroczony.

– Zaczekaj chwilkę. Naprawdę uważasz...

Clarissa, świadoma, że jej uwagi mogą nie wytrzymać próby dyskusji, wychodzi z pokoju, napawając się słodkim poczuciem krzywdy.

– No to się odpieprz! – krzyczy Joe do jej oddalających się pleców. Czuje, że z radością chwyciłby stojący przy toalecie stołeczek i cisnął nim przez okno. To on powinien był wyjść. Po paru sekundach wahania wybiega z pokoju, mija Clarissę w holu, ściąga płaszcz z kołka i wychodzi, z całej siły trzaskając za sobą drzwiami, rad, że była obok i słyszała, z jaką furją to zrobił.

Gdy opuszcza kamienicę, zdumiewa go, jak gęsta jest ciemność. A do tego jeszcze pada. Szczelniej owija się płaszczem, zaciska pasek, a widząc, że Parry czeka nań na końcu wyłożonej cegłą ścieżki, ani trochę nie zwalnia kroku.

## 10

Odniosłem wrażenie, że z chwilą, gdy wyszedłem, rozpadało się jeszcze mocniej, ale nie miałem zamiaru wracać po kapelusz czy parasol. Nie zwróciłem uwagi na Parry'ego i pogałem przed siebie tak szybko, że gdy dotarłem do rogu i obejrzałem się, był za mną jakieś pięćdziesiąt metrów. Włosy miałem przemoczone i zaczął mi przemiękać prawy but, ten z pękniętą podeszwą, który już dawno temu powinienem był oddać do naprawy. Mój gniew płonął zimnym blaskiem, lecz – po dziecinnemu – nie kierowałem go przeciw konkretnej osobie. Oczywiście Parry ponosi winę za to, że wszedł między Clarissę i mnie, ale byłem wściekły na nich oboje – on był utrapieniem, przeciw któremu ona nie chciała mnie wesprzeć – jak również na zacinający deszcz i na to, że nie wiedziałem, dokąd idę.

Było jeszcze coś, niczym skóra, miękka skorupa otaczająca mięso mojego gniewu, przez co wydawał się bardziej teatralny. To wyimek z niepamięci, drobiazg, luźny związek zakorzeniony w zapomnianych już, pospiesznie połykanych lekturach, wówczas zupełnie nieprzydatny, lecz zakodowany we mnie jak zapamiętany na zawsze ułomek dziecinnego snu. Teraz to jest istotne – pomyślałem – może mi pomóc. Kluczowym słowem, które wyobrażałem sobie wypisane własną ręką, była „zasłona”. I gdy deszcz na moich rzesach rozproszył się i odbił światło uliczne, tak i to słowo zdawało się rozdzielać, targane raz w jedną, raz w drugą stronę przez skojarzenia znajdujące się tuż za ekranem wspomnień. Ujrzałem w oddali rozmazany czarno-biały wizerunek wspaniałego domostwa, odbity w starej gazecie, wysokie ogrodzenie i jakiegoś wojskowego, wartownika czy strażnika. Ale jeśli to w tym domu wisiała zasłona, o którą tu chodzi, nie miała dla mnie najmniejszego znaczenia.

Szedłem dalej, mijając prawdziwe domy, olbrzymie oświetlone wille, wznoszące się ponad zaopatrzonymi w domofony bramami, za którymi widziałem niedbale zaparkowane samochody. Byłem w takim nastroju, że świadomie i z radością

zapomniałem o naszym wartym pół miliona funtów mieszkaniu i zacząłem fantazjować, że jestem nędzarzem przemykającym w deszczu obok rezydencji bogaczy. Niektórzy spijają całą śmietankę, ja zmarnowałem tych kilka szans, które mi się trafiły, teraz jestem nikim i nie mam nikogo, kto by się o mnie zatroszczył. Nie igrałem tak ze swymi uczuciami, odkąd przestałem być wyrostkiem, a świadomość, że nadal potrafię to robić, sprawiła mi niemal taką frajdę jak przebiegnięcie półtora kilometra w pięć minut. Lecz gdy znowu przywiodłem na myśl „zasłone”, nie nasunął mi się nawet cień skojarzenia i zwalniając kroku, pomyślałem, jakim delikatnym, filigranowym organem jest mózg, skoro nie może nawet udać zmiany stanu emocjonalnego, nie przekształcając warunków miliona innych nieodczutych obwodów.

Zdałem sobie sprawę, że dręczyciel zbliża się do mnie, jeszcze zanim usłyszałem, jak na pół wykrzykuje, na pół jodłuje moje imię. Potem zawołał znowu:

– Joe! Joe! – Zorientowałem się, że szłocha. – To przez ciebie. Ty to zacząłeś. Ty do tego doprowadziłeś. Cały czas bawisz się ze mną w kotka i myszkę i udajesz... – Nie mógł skończyć.

Znowu przyspieszyłem kroku i już prawie biegłem, aż przeszedłem na następną ulicę. Wstrząsany łkaniem głos załamywał mu się za każdym niepewnym stąpieniem. Czułem niesmak i przerażenie. Przeszedłem na drugą stronę i odwróciłem się. Szedł za mną, a teraz został uwięziony między dwoma pasami jezdni i czekał na przerwę w ruchu samochodowym. Istniała szansa, że upadnie do przodu pod rozpędzone koła, i tego właśnie chciałem. Pragnienie było chłodne i silne, nie zdziwiło mnie ani nie zawstydziło. Gdy ujrzał, że wreszcie obróciłem ku niemu twarz, wykrzyczał ciąg pytań:

– Kiedy zostawisz mnie w spokoju? Dlaczego nie chcesz się przyznać do tego, co robisz? Dlaczego udajesz, że nie wiesz, o czym mówię? I jeszcze te sygnały, Joe. Dlaczego nie przestaniesz?



Dalej stał uwięziony na środku, a jadące samochody w nieregularnych odstępach zasłaniały jego postać i tłumili słowa, toteż podniósł głos do takiego ochryplego wrzasku, że nie mogłem oderwać odeń oczu. Powinienem pobiec dalej, bo to był idealny moment, żeby się uwolnić. Ale jego złość przykuwała mnie do miejsca i musiałem przypatrywać mu się w zdumieniu, choć przez cały ten czas nie traciłem wiary w odkupiającą możliwość, że zginie pod kołami autobusu, gdy tak stał, oddalony o kilka metrów, na przemian zanosząc błagania i potępiając mnie.

Miotał słowa skrzekliwym głosem na powtarzającej się, wznoszącej nucie, zupełnie jak opuszczony ptak z zoo, który przybrał z grubsza ludzką postać.

– Czego chcesz? Kochasz mnie i chcesz mnie zniszczyć. Udajesz, że nic takiego się nie dzieje. Nic się nie dzieje. Ty skurwysynu! Igrasz sobie... torturujesz mnie... dajesz mi te swoje małe, tajemne kurewskie sygnały, żebym się do ciebie zbliżył. Wiem, czego chcesz, ty skurwysynu. Ty skurwysynu! Myślisz, że na to nie wpadłem? Chcesz mnie odebrać... – jego słowa utonęły w huku ciężarówki obsługującej przeprowadzki, wielkiej jak dom – ...i uważasz, że możesz mnie od Niego odsunąć. Ale przyjdiesz do mnie. W końcu. Do Niego też przyjdiesz, bo będziesz musiał. Ty skurwysynu, będziesz błagał o litość, będziesz się czołgał na brzuchu...

W tym momencie szloch opanował go niepowstrzymanie. Zrobił krok w moim kierunku, ale samochód, śmigający środkiem ulicy, kazał mu się cofnąć, dając znak wściekle ryczącym klaksonem, którego urywane, oddalające się trąbienie zdało się odwrotnością żalosnych dźwięków wydawanych przez Parry'ego. Gdy krzyczał, w pewnym momencie niemal zrobiło mi się go żal, choć czułem doń tyle wrogości i wstrętu. A może nie był to żal. Widząc, jak tkwi tam, oszalały, poczułem ulgę, że to nie ja. To samo uczucie nachodzi mnie, gdy widzę, jak na środku jezdni kiwa się pijak albo miota schizofrenik, kierując ruchem. Pomyślałem też, iż jego stan jest tak skrajny, poczucie rzeczywistości tak zniekształcone, że nie może zrobić mi krzywdy.

Potrzebował pomocy, ale nie z mojej strony. Szło to w parze z oderwanym pragnieniem, by wszelki ślad po tym utrapieńcu zetrzeć z asfaltu.

Kiedy go słuchałem, udało mi się skierować myśli i uczucia na trzeci tor. Skłoniło mnie do tego słowo, którego użył dwukrotnie: „sygnał”. Sprawiało za każdym razem, że zasłona, która niepokoiła mnie wcześniej, poruszała się i drżała, a te dwa słowa połączyły się, tworząc podstawową składnię: zasłona wykorzystana jako sygnał. Teraz byłem bliżej niż kiedykolwiek. Prawie już na to wpadłem. Wspaniały dom, słynna rezydencja w Londynie, a zasłon w oknach używa się do przekazywania wiadomości...

Zmagania z tymi kruchymi skojarzeniami przypomniały mi zasłony w moim gabinecie, jak również sam gabinet. Nie jego wygodę, światło lamp z pergaminowymi kloszami, blask czerwieni i błękitu bucharskich dywanów ani też lazurową tonację fałszywego Chagalla (*Le poete allonge*, 1915), lecz trzydzieści metrów pudeł z dokumentacją, wypełniających pięć półek, pudeł z czarnymi nalepkami, wyładowanych wycinkami z prasy, a po drugiej stronie, przy oknie wychodzącym na południe, mały drapacz chmur napędu twardego dysku, gdzie trzy gigabajty danych czekały, by pomóc mi zbudować most między moja kamienicą a tymi dwoma słowami.

Gdy pomyślałem o Clarissie, poczułem przyływ radosnej miłości, wydawało mi się, że bez kłopotu załagodzimy kłótnię – nie dlatego, bym zachował się źle lub nie miał racji, lecz ponieważ tak wyraźnie, tak niezaprzeczalnie słuszność była po mojej stronie, a Clarissa po prostu mylnie oceniła sytuację. Muszę tam wracać.

Deszcz ciągle jeszcze padał, ale już nie tak ulewny. Światła, odległe o dwieście metrów w górę ulicy, w końcu się zmieniły i sądząc z zachowania nadjeżdżających samochodów, Parry niebawem będzie mógł przejść na drugą stronę. A więc zostawiłem go tam, gdzie był, płaczącego, z twarzą zakrytą rękami. Pewnie mnie nie dostrzegł, gdy obróciłem się i szybkim truchtem ruszyłem wąską ulicą między domami. A nawet gdyby mimo

strapienia starczyło mu ducha, by gonić za mną z taką szybkością, przyspieszyłbym dwukrotnie, okrążając blok, i zgubiłbym go po minucie.

## 11

Drogi Joe! Czuję, że szczęście przeszywa mnie jak prąd elektryczny. Zamykam oczy i widzę cię, jak stałeś w deszczu zeszłego wieczoru po przeciwnej stronie ulicy, a niewypowiedziana miłość łączyła nas niczym stalowa lina. Zamykam oczy i dziękuję Bogu na głos za to, że pozwolił ci istnieć, że pozwolił mnie istnieć w tym samym czasie i miejscu co ty, i za to, że dopuścił do tej dziwnej przygody między nami. Dziękuję Mu za każdy najmniejszy drobiazg, który się z nami wiąże. Dziś rano, gdy się obudziłem, ujrzałem na ścianie obok mego łóżka idealnie okrągłą tarczę słonecznego światła i podziękowałem Mu, że to samo światło pada na ciebie! Podobnie jak zeszłego wieczoru deszcz, który zmoczył ciebie, zmoczył i mnie, wiążąc nas przeżyciem ulewy. Chwała Bogu, że zesłał mnie do ciebie. Wiem, że czeka nas jeszcze trud i ból, lecz ścieżka, którą kazał nam podążać, celowo jest wyboista. On ma w tym cel. Wypróbowuje nas i umacnia, byśmy z czasem dostąpili jeszcze większej radości.

Wiem, że winien ci jestem przeprosiny – i że to zbyt skromne słowo. Staję przed tobą nagi, bezbronny, zależny od twej łaski, błagając cię o wybaczenie. Poznałeś bowiem naszą miłość od samego początku. W tym spojrzeniu, które przebiegło między nami na wzgórzu po upadku Logana, rozpoznałeś ładunek emocjonalny, potęgę i błogosławiony stan ducha, jaki daje miłość, a ja byłem tępy i głupi, zaprzeczając temu, usiłując chronić się przed uczuciem, próbując udawać, że nic takiego się nie dzieje, że związek nie może przebiegać w ten sposób, i nie zwracałem uwagi na to, co mówiłeś mi każdym słowem i każdym gestem. Sądziłem, że wystarczy, jak za tobą zejść ze wzgórza i zaproponuję ci wspólną modlitwę. Słusznie gniewałeś się na mnie, że nie widziałem tego, co ty spostrzegłeś od razu. Wydarzyła się rzecz tak oczywista. Dlaczego nie chciałem jej uznać? Pewnie widziałeś we mnie niewrażliwego głupka. Miałeś rację, odwracając się i odchodząc. Nawet teraz, gdy przywołuję na pamięć ów moment, kiedy zaczęłaś wspinać się z powrotem na wzgórze, i

przypominam sobie pochylenie twoich ramion, twój ciężki krok, boleśnie świadczący o odrzuceniu, jęczę głośno na myśl o swoim zachowaniu. Cóż ze mnie za idiota! Mogłem utracić to, co mamy. Joe, w imię boże, proszę, przebacz mi.

Teraz przynajmniej wiem, że widziałem to co i ty. A ty, skrepowany swą sytuacją i wrażliwością na uczucia Clarissy, powitałeś mnie tak, że żadne wścibskie oko czy ucho nie mogło tego pochwycić i tylko ja jeden pojąłem twoje przesłanie. Wiedziałaś, że musiałem przyjechać. Czekaleś na mnie. Dlatego zadzwoniłem do ciebie później tego wieczoru, gdy tylko zdałem sobie sprawę, co mówiły mi twoje oczy. Gdy podniosłeś słuchawkę, usłyszałem w twoim głosie ulgę. Przyjąłeś moją wiadomość w milczeniu, ale wyczułem twoją wdzięczność. Gdy odłożyłem słuchawkę, płakałem z radości i domyślałem się, że ty również płaczesz. Teraz wreszcie rozpocznie się życie. Czekanie, samotność i modlitwa zrodziły owoce, a ja opadłem na kolana i aż do świtu składałem dzięki. Czy spałeś tej nocy? Pewnie nie. Leżałeś bezsennie w ciemności, słuchając oddechu Clarissy i zastanawiając się, dokąd to wszystko nas zawiedzie.

Joe, naprawdę wkroczyłeś w tej chwili na nową drogę!

Mamy sobie tyle do opowiedzenia, tyle musimy uzupełnić z przeszłości. Rozpoczęły się badania na dnie oceanu, ale powierzchnia pozostaje niewzruszona. Usiłuję ci przekazać, że widziałeś moją duszę (jestem tego pewien) i wiesz, jak ją zgłębić, lecz nie masz pojęcia, jak żyję na co dzień, gdzie mieszkam, nie znasz mojej przeszłości, mojej historii. Wiem, że to jedynie wierzchni pozór, ale nasza miłość musi obejmować wszystko. Dowiedziałem się już mnóstwa rzeczy o twoim życiu. Uczyniłem to moim zadaniem, moją misją. Wciągnąłeś mnie do twego codziennego życia i zażądałeś, żebym je zrozumiał. Rzecz w tym, że niczego nie mogę ci odmówić. Gdybym kiedykolwiek zdawał egzamin z całościowej wiedzy o tobie, zająłbym pierwsze miejsce, nie pomyliłbym się ani co do jednego szczegółu. Byłbyś ze mnie taki dumny!

A więc co widać na pierwszy rzut oka? Wiem, że niebawem tu się pojawisz. To piękny dom, cofnięty nieco od ulicy, za zakrętem Frognał Lane, otoczony trawnikami, z własnym podwórką w środku, od zewnątrz niewidocznym, nawet jeśli się wejdzie przez frontową bramę i zrobi parę kroków (choć rzadko kto ją przekracza z wyjątkiem listonosza). Staje się wówczas wprost przed frontowymi drzwiami. Jest to zminiaturyzowana wersja dość okazałej francuskiej rezydencji. Ma nawet drewniane zielone żaluzje, na których farba już wyblakła, oraz kurka na dachu. Należał do mojej matki, zmarłej przed czterema laty na raka, a przedtem do jej siostry, która otrzymała go w ramach podziału majątku po rozwodzie – na parę tygodni przed śmiercią w wypadku samochodowym. Opowiadam ci o tym wszystkim, gdyż nie chcę, byś miał fałszywy obraz mojej rodziny. Moja ciotka była bardzo nieszczęśliwa w małżeństwie z oszustem, który zbił majątek w okresie dobrej koniunktury na rynku nieruchomości, lecz reszta naszej rodziny ledwo wiązała koniec z końcem na marnych posadkach. Mój ojciec zmarł, gdy miałem osiem lat. Mam starszą siostrę w Australii, lecz nie zdołaliśmy jej wytropić po śmierci matki i z jakiegoś powodu nie została wymieniona w testamencie. Mam też kilku kuzynów, z którymi nigdy się nie widuję, i – o ile wiem – tylko ja jeden z całej rodziny uczyłem się po skończeniu szesnastego roku życia. A teraz wiesz już wszystko o sprawach króla na własnym zamku, którym Bóg obdarzył mnie z sobie tylko znanego powodu.

Czuję wokół twoją obecność. Chyba już do ciebie więcej nie zadzwonię. Niezręcznie mi ze względu na Clarissę, a poza rym, gdy piszę, czuję się bliżej ciebie. Wyobrażam sobie, że jesteś obok mnie i widzisz to co ja. Siedzę przy małym drewnianym stoliku na krytym balkonie, który ciągnie się od mojego gabinetu i wychodzi na wewnętrzny dziedziniec. Deszcz pada na dwa kwitnące drzewa wiśniowe. Gałąź jednego z nich wsuwa się przez barierkę, blisko mnie, tak że dokładnie widzę, jak krople przybierają kształt podłużnych paciorków, z lekka zabarwionych bladoróżowym kwieciem. Miłość dała mi nowe oczy, widzę teraz wszystko jasno i wyraźnie. Słoję starych drewnianych słupków, każde pojedyncze

żdźbło trawy na mokrym trawniku na dole; małe, łaskotliwe czarne nóżki biedronki wędrującej przed minutą po mojej ręce. Wszystkiego, co widzę, pragnę dotknąć. Nareszcie się przebudziłem. Czuję się tak pełen życia, chciałbym skakać do góry z miłości.

Ale skoro mowa o dotyku i mokrej trawie, przypominam sobie, że gdy wyszedłeś z domu wczoraj wieczorem i musnąłeś ręką szczyt żywopłotu – początkowo tego nie zrozumiałem. Poszedłem ścieżką, też wyciągnąłem rękę i pomacałem liście, których dotknąłeś. Przesunąłem palcami po każdym z nich i jakież było moje zdziwienie, gdy się zorientowałem, że były inne od tych, których nie potrafiłeś. Wzdłuż brzegów źdźbeł „twojej” trawy jaśniał blask, czułem, że gdy przesuwam po nich rękę, palce mi płoną. Potem mi zaświtało. Dotykałeś ich w szczególny sposób, tak że zawierały wiadomość. Naprawdę uważałeś, że tego nie zauważę, Joe! To takie proste, tak mądre, tak pełne miłości. Jak to cudownie słuchać o miłości poprzez deszcz, liście i skórę; wzorzec utkany z zawilości zmysłowego bożego tworzenia ukazuje się w palącym zmyśle dotyku. Mógłbym tak stać przez godzinę w zadziwieniu, ale nie chciałem zostać w tyle. Pragnąłem się dowiedzieć, dokąd prowadzisz mnie przez ten deszcz.

Ale pozwól, że powrócę do powierzchni oceanu. Uczyłem cudzoziemców angielskiego w pobliżu Leicester Square. Dawało się wytrzymać, ale stosunki z innymi nauczycielami nie układały mi się zbyt dobrze. Nie podchodzili poważnie do swego zajęcia, co było irytujące. Chyba obmawiali mnie za plecami, ponieważ mam poważny stosunek do swej religii – co nie jest modne w dzisiejszych czasach! Gdy tylko dostałem dom i pieniądze, rzuciłem pracę i wprowadziłem się do swego zameczku. To tak jakbym zaszył się w samotni – czekając. Zawsze byłem przekonany, że tym zadziwiająco pięknym miejscem zostałem obdarzony w określonym celu. Dziś obskurne mieszkanie z jedną sypialnią na Arnos Grove, a jutro pałacyk na Hampstead i ładna sumka w banku. Musi być w tym jakiś zamysł, a moim obowiązkiem, jak mi się wówczas wydawało (a z czasem okazało się, że mam rację), jest zachować spokój, wsłuchiwać się w ciszę i

być gotowym. Modliłem się, rozmyślałem, czasami odbywałem długie spacery za miastem i wiedziałem, że prędzej czy później Jego cel odsłoni się przede mną. Moim zadaniem było subtelne nastrojenie się, przygotowanie wewnętrzne. I mimo tych wszystkich zabiegów przeoczyłem to! Powinienem był się zorientować, gdy nasze oczy się spotkały, tam na wzgórzu. Dopiero kiedy wróciłem tego wieczoru do ciszy i samotności domu, zacząłem pojmować wagę zdarzenia, więc zadzwoniłem do ciebie... A teraz opowiadam ci o tym wszystkim, co obaj milcząco założyliśmy!

Ten dom czeka na ciebie, Joe. Biblioteka, pokój bilardowy, salon z pięknym kominkiem i ogromnymi starymi kanapami. Mamy nawet miniaturowe kino (wideo oczywiście), siłownię i saunę. Są jeszcze przed nami bariery. Łańcuchy górskie! Największą z nich jest to, że zaprzeczasz istnieniu Boga. Ale przejrzałem cię i dobrze o tym wiesz. W istocie, pewnie tak to sobie zaplanowałaś. To gra, w którą się ze mną bawisz, po części uwodzenie, po części udreka. Usiłujesz ustalić granice mojej wiary. Czy jesteś przerażony tym, że tak łatwo potrafię cię przejrzeć? Mam nadzieję, że przyprawia cię to o miły dreszczyk, podobnie jak mnie, gdy poprzez swoje przesłania dajesz mi wskazówki, kody, które trafiają wprost do mojej duszy. Wiem, że przyjdiesz do Boga, tak jak wiem, że moim celem jest cię do Niego doprowadzić, poprzez miłość. Albo, innymi słowy, uzdrawiającą siłą miłości naprawię pęknięcie, które oddziela cię od Boga.

Joe, Joe, Joe... Wyznam to – zapisałem pięć stron papieru twoim imieniem. Możesz się ze mnie śmiać – ale nie za mocno. Możesz być dla mnie okrutny – ale nie za bardzo. Nasze gierki mają cel, którego ani ty, ani ja nie możemy podważyć. Wszystko, co razem robimy, wszystko, czym jesteśmy, znajduje się w ręku Boga, a nasza miłość czerpie swe istnienie, formę i znaczenie z Jego miłości. Mamy tyle do omówienia, trzeba dokładnie wszystko ustalić. Musimy przedyskutować całą sprawę Clarissy. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli ty się tym zajmiesz i dasz mi znać, co uważasz za najlepsze. Chcesz, bym z nią porozmawiał? Zrobię to z



przyjemnością. Co nie znaczy oczywiście, że taka rozmowa sprawi mi przyjemność, lecz że jestem na nią przygotowany. A może powinniśmy usiąść we trójkę i razem to omówić? Jestem pewien, że istnieje wiele możliwości rozwiązania tej sprawy w sposób znacznie mniej dla niej bolesny. Ale to jest twoja działka, toteż zaczekam, żeby się od ciebie dowiedzieć, co twoim zdaniem będzie najlepsze. Pisząc to, przez cały czas czuję twoją obecność, tuż u mego boku. Deszcz ustał, ptaki znowu śpiewają i powietrze jest nawet bardziej przejrzyste. Kończąc ten list, czuję, jakbym się z tobą rozstawał. Mam poczucie, że za każdym razem, gdy cię zostawiam, sprawiam ci zawód. Nigdy nie zapomnę tych chwil u stóp wzgórza, tego, jak się ode mnie odwróciłeś, odrzucony. Oniemiałeś wtedy, gdy nie chciałem rozpoznać pierwszego drgnienia naszej miłości. Nigdy nie przestanę cię przeproszać. Joe, czy kiedykolwiek mi wybaczysz?

Jed

## 12

Nadal miałem poczucie klęski z powodu nieudanej kariery naukowej, z niezwykłą jasnością zdawałem sobie sprawę, że pasożytuję na odkryciach prawdziwych uczonych, egzystując zaledwie na marginesie życia, w którym dzieją się rzeczy ważne. Ta świadomość właściwie nigdy mnie nie opuściła. Mój dawny niepokój mógł odżyć na nowo pod wpływem upadku Logana, działań Parry'ego lub leciutkiej rysy na naszych stosunkach z Clarissą. Bezsprzecznie, wysiadując w gabinecie i roztrząsając bieg wydarzeń, nie dojdę do źródła tej krępującej sytuacji ani nie znajdę z niej wyjścia. Przed dwudziestoma laty wynająłbym zawodowego słuchacza, ale od tamtego czasu straciłem wiarę w ozdrowieńczą moc rozmowy. Wedle mnie to taka elegantsza bujda dla lepszego towarzystwa. W obecnych czasach wolę wsiąść w samochód i jechać przed siebie. Parę dni po otrzymaniu listu od Parry'ego, to znaczy jego pierwszego listu, pojechałem do Oksfordu, by odwiedzić wdowę po Loganie, Jean.

Tego ranka szosa była dziwnie pusta, światło padało równomiernie, szare i przejrzyste, a od tyłu owiewał mnie rześki wiaterek. Na wysokiej, płaskiej przestrzeni przed skarpąomal nie jechałem z prędkością dwukrotnie wyższą od dozwolonej. Potężny poryw, który mi kazał gnać przed siebie, konieczność poświęcania ćwierci uwagi tylnemu lusterku (ze względu na policję i Parry'ego) oraz ogólny wymóg, by się skupić, uspokajały mnie i dawały złudzenie oczyszczenia. Gdy zjechałem przez wykop w złożach kredy, pięć kilometrów na południe od miejsca wypadku, dolina Oksfordu otworzyła się przede mną niczym obca kraina. O dwadzieścia pięć kilometrów jazdy przez płaską zieloną mgiełkę, ścieśniony w obrębie dużego wiktoriańskiego domostwa, krył się smutek, ku któremu zmierzałem. Zwolniłem do setki i pozwoliłem sobie na chwilę refleksji.

Żmudne przeszukiwanie bazy danych nie przyniosło rezultatu. Nie natrafiłem na przypadek przekazywania sygnałów za pomocą zasłony. Otworzyłem kilka pudełek z wycinkami, lecz

nie mając konkretnego nagłówka, którym mógłbym się kierować, po półgodzinie dałem za wygraną. Czytałem coś gdzieś o zasłonie, którą dawano znaki, i miało to jakieś odniesienie do Parry'ego. Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli zakończę aktywne poszukiwania i zaczekam, aż przez moją świadomość przebiją się silniejsze skojarzenia, być może w czasie snu.

Nie lepiej wiodło mi się z Clarissą. Prawda, że rozmawialiśmy, byliśmy wobec siebie uprzejmi, nawet się kochaliśmy, krótko, przed pracą. Przy śniadaniu czytałem list od Parry'ego, po czym przekazywałem go Clarissie. W zasadzie zgadzała się, że nieszczęśnik jest niespełna rozumu i że mam prawo czuć się napastowany. „W zasadzie”, ponieważ nigdy nie wydawała się do końca przekonana i gdy mówiła, że mam rację – a odnosiłem wrażenie, że tak uważała – nigdy wyraźnie nie przyznała, że była w błędzie. Wyczuwałem, że chce zostawić sobie wolną rękę, choć zaprzeczała, gdy ją o to pytałem. Przeczytała list z nieco nachmurzoną miną, przerywając na chwilę, by na mnie spojrzeć.

– Ma charakter pisma podobny do twojego – rzekła. Potem wypytywała mnie, co dokładnie powiedziałem Parry'emu.

– Powiedziałem, żeby się odpieprzył – odrzekłem, nieco zbyt gwałtownie. A gdy ponownie o to zapytała, podniosłem głos z irytacji. – Spójrz na ten kawałek o przekazie w żywopłocie! Nie widzisz, że to wariat?

– Owszem – odparła cicho i czytała dalej. Pomyślałem, że chyba wiem, co ją dręczy. Parry zrećnie dawał do zrozumienia, że łączy nas jakaś przeszłość, porozumienie, zmowa, tajemna sieć spojrzeń i gestów, czemu ja zaprzeczam dokładnie w taki sposób, w jaki wypierałbym się prawdy. Czemu walczę tak rozpaczliwie, skoro nie mam nic do ukrycia? Gdy na przedostatniej stronie przeczytała o „całej sprawie Clarissy”, przerwała lekturę i spojrzała, nie na mnie, lecz w bok, i powoli, głęboko zaczerpnęła oddechu. Odłożyła trzymaną stronicę i koniuszkami palców dotknęła brwi. Wmawiałem sobie, że to niemożliwe, by uwierzyła Parry'emu; rzecz w tym, że z jego listu biło tak przemożne

przekonanie o słuszności swoich racji, jego opowieść była tak całkowicie szczerą – gdyż najwyraźniej doznawał uczuć, które opisywał – że musiała wywołać odpowiednie automatyczne reakcje. Nawet kiczowaty film może pobudzić widza do łez. Drzemią w nas głębokie reakcje emocjonalne, które umykają krytyce procesów rozumowych, zachodzących na wyższym poziomie, i zmuszają nas do odgrywania, co prawda w śladowej formie, naszych ról: mnie – zdemaskowanego tajemnego kochanka demonstrującego oburzenie, Clarisse – kobiety zdradzonej bez sumienia. Lecz gdy usiłowałem powiedzieć coś w tym rodzaju, spojrzała na mnie i lekko pokiwała głową z boku na bok, zdumiona moją głupotą. Ledwo zerknęła na ostatnie linijki listu. Gdy nagle wstała, zapytałem:

– Dokąd idziesz?

– Muszę się zbierać do pracy.

Spiesznie opuściła pokój i poczułem, że nie doszliśmy do żadnego wniosku. Powinniśmy przeżyć moment połączenia, zapewnić się o wzajemnym zaufaniu, stanąć ramię w ramię albo plecami do siebie, chroniąc się wzajemnie przed tą próbą zbezczeszczenia naszego intymnego światka. A tymczasem wygląda na to, że właśnie nas zbezczeszczono. Zamierzałem jej to powiedzieć, gdy wróciła, lecz tym razem była radosna i pocałowała mnie w usta. Obejmowaliśmy się w kuchni przez dłuższą chwilę i wymienialiśmy czułe słówka. Byliśmy razem, nie musiałem wygłaszać swojej kwestii. Gdy się ode mnie oderwała, chwyciła płaszcz i już jej nie było. Pomyślałem, że pozostała między nami niewypowiedziana dysputa, choć nie byłem pewien, o co chodzi.

Zostałem jeszcze w kuchni, by umyć naczynia, dokończyć kawę i pozbierać stronicę listu – te małe niebieskie arkusiki, które z jakiegoś powodu wiązałem z pólanalfabetyzmem. Nasze ciepłe wzajemne stosunki, które bez wysiłku utrzymywaliśmy przez lata, nagle wydały mi się skomplikowaną konstrukcją, chytrze zrównoważoną sztuczką, niczym starożytny zegar przenośny. Tracimy umiejętność utrzymywania go na chodzie, a w każdym razie kosztuje to nas wiele wysiłku. Ostatnio ilekroć odzywałem

się do Clarissy, byłem świadom ewentualnych konsekwencji swoich słów. Czy sprawiałem wrażenie, jakby umizgi Parry'ego skrycie mi pochlebiali, jakbym nieświadomie go prowokował czy też, nie zdając sobie z tego sprawy, napawał się swoją władzą nad nim, bądź też – myślała może – nad nią?

Nieśmiałość niszczy radość erotyczną. W łóżku, zaledwie pół godziny wcześniej, byliśmy w jakiś sposób nieprzekonujący, jakby nasze błony śluzowe pokryły drobinki kurzu lub piasku albo ich umysłowy odpowiednik, równie namacalny co piasek na plaży. Siedząc w kuchni po wyjściu Clarissy, wyobrażałem sobie ponury ciąg przyczynowy, rzucający cień od umysłu do ciała – przykre myśli, niewielkie podniecenie, mało wilgoci i ból.

Wokół czego krążyły te złe myśli? Podejrzewałem, że w tych sferach uczucia, które opierają się odpowiedzialności logiki, Clarissa uznała, że cała ta historia z Parrym to moja wina. Był upiorem, którego tylko ja mogłem wywołać, duchem mego zwichrzonego, wadliwego charakteru lub tego, co z upodobaniem nazywała moją niewinnością. To ja go na nas sprowadziłem i ja go przy nas trzymałem, nawet wtedy, gdy się go wypierałem.

Clarissa oznajmiła, że mój sposób myślenia jest błędny albo wręcz niedorzeczny, ale nie zdradziła swego stanowiska w tej mierze. Dziś rano, gdy się ubieraliśmy, mówiła tylko o mojej postawie. Powiedziała, że coś jest ze mną nie tak. Wciągałem boty i nie chciałem jej przerywać. Poinformowała mnie, że irytuje ją odnowa mojej dawnej obsesji „powrotu do nauki”, skoro mam tak przyjemne życie zawodowe i jestem taki dobry w tym, co robię. Usiłowała mi pomóc, lecz w ciągu zaledwie paru dni stałem się maniakiem, tak bardzo opętany myślami o Parrym, tak bardzo... Urwała na chwilę, w poszukiwaniu właściwego słowa. Stała w drzwiach, podciągając plisowaną spódnicę obszywaną jedwabiem w talii. W świetle poranka oczy w bladej twarzy sprawiały wrażenie jeszcze bardziej zielonych. Była piękna. Wydawała się nieosiągalna, a odczucie to zostało dodatkowo wzmocnione przez słowo, które wybrała.

– Samotnym, Joe. Jesteś w tym wszystkim tak bardzo samotny, nawet kiedy mi o tym opowiadasz. Mam wrażenie, że bronisz dostępu do siebie. Coś przede mną ukrywasz. Nie mówisz tego z serca.

Tylko na nią popatrzyłem. To, co jej mówiłem przy takich okazjach, zawsze płynęło z głębi serca – albo nigdy serce nic mi nie dyktowało i w ogóle nie wiem, co to oznacza. Ale nie o tym myślałem. Przyszło mi do głowy to samo, co za pierwszym razem, kiedy ją poznałem: jak taki przeciętny wielgas jak ja zdobył tę bladą piękność? I nowa przykra myśl: czy zaczyna uważać, że zrobiła marny interes?

Miała właśnie opuścić pokój, by pójść do kuchni, gdzie czekał na nas list Parry’ego, o czym zresztą nie mieliśmy pojęcia. Źle zrozumiała wyraz mojej twarzy. Prosząc mnie raczej niż oskarżając, rzekła:

– Chodzi mi o sposób, w jaki na mnie patrzysz. Robisz kalkulacje, o których nigdy się nie dowiem. Prowadzisz jakąś wewnętrzną podwójną księgowość, która twoim zdaniem jest najlepszą drogą do prawdy. Ale czy nie widzisz, jak to cię odcina od życia?

Nie miałem wątpliwości, że gdybym jej powiedział: „Myślałem tylko, jaka jesteś śliczna i że nie zasługuję na ciebie” – wcale bym jej nie przekonał. Gdy się podnosiłem, nie przyszło mi do głowy, że może to ona nie zasługuje na mnie. No właśnie. Równowaga, podwójne zaksięgowanie. Miała rację, i to pod każdym względem; milczałem, więc ona nigdy się o tym nie dowie. Uśmiechnąłem się tylko i powiedziałem:

– Pogadajmy o tym przy śniadaniu.

Ale rozmawialiśmy o liście Parry’ego i nie szło nam zbyt dobrze.

Gdy wyszła i sprzątnąłem ze stołu, ponownie usiadłem nad letnią kawą. Wsunąłem zapisane przez Parry’ego stronicę do niedużej, ciasnej koperty, jakbym chciał w niej zamknąć wirusowe

przetrwalniki, które wtargnęły do naszego domu. Kolejne przykre myśli; w istocie były to fantazje na jawie, ale musiałem je snuć. Przyszło mi do głowy, że Clarissa wykorzystuje Parry'ego jako przykrywkę. Przecież mimo wszystko zareagowała w tym wypadku dość dziwnie. Pogłębiła jeszcze trudności, wplątując mnie w związek z Parrym. Jak można by wytłumaczyć jej postępowanie? Czyżby zaczynała żałować życia ze mną? Czy może kogoś poznała? Jeśli chciała mnie zostawić, łatwiej byłoby jej podjąć decyzję, gdyby zdołała przekonać samą siebie, że jest coś między Parrym i mną. Czy kogoś spotkała? W pracy? Kolegę? Studenta? Czy może miałem do czynienia z wzorcowym przykładem nieświadomego wmówienia sobie czegoś, co akurat było jej na rękę?

Wstałem od stołu. „Wmawianie sobie” to pojęcie uwielbiane przez psychologów ewolucyjnych. Napisałem na ten temat artykuł dla australijskiego czasopisma. Poświęciłem wtedy uwagę wyłącznie zagadnieniom teoretycznym, korzystając przy tym z cudzych badań. Ująłem to mniej więcej tak: Jeśli człowiek żył w grupie, jak większość istot ludzkich od niepamiętnych czasów, jego dobre samopoczucie zależało od tego, w jakim stopniu udało mu się przekonać innych o własnych potrzebach i korzyściach. Czasami należało wykazać się przebiegłością. Bezsprzecznie człowiek był najbardziej przekonujący, jeśli najpierw coś sobie wmawiał i nie musiał nawet udawać, że wierzy w to, co mówi. Ci ulegający własnym złudzeniom osobnicy kwitli, a wraz z nimi kwitły ich geny. A zatem kłóciliśmy się i brali za łby, gdyż nasza wyjątkowa inteligencja zawsze broniła naszych interesów i z wybiórczą ślepotą starała się nie zauważać ich słabych punktów.

Gdy przeszedłem przez kuchnię, mógłbym uczciwie przysiąc, że nie miałem pojęcia, dokąd się udaję. Kiedy stanąłem przed drzwiami gabinetu Clarissy, byłem święcie przekonany, że wchodzę, by zabrać swój zszywacz. Gdy znalazłem się przy jej biurku, mogłem sobie wmawiać, że chcę sprawdzić, czy reszta mojej porannej poczty nie pomieszała się z listami do niej, co się czasami zdarzało. Musiałem przesadzić barierę moralną i sądzę, że to utwierdzenie się we własnych opiniach przypisałem Clarissie.

Jej gabinet nie był tak poważnym przybytkiem wyteżonej pracy, jak to początkowo planowała. Miała biuro na uniwersytecie, gdzie zajmowała się naprawdę istotnymi sprawami. Gabinet był punktem tranzytowym, śmietnikiem między domem i uczelnią, miejscem, gdzie gromadziła papiery, książki i wypracowania studentów. Tu odpowiadała na ich listy, pakowała prezenty, bez ładu i składu wystawiała ich rysunki i podarki. Tu przychodziła, by wypełniać rachunki i pisać do przyjaciół. W jej biurku zawsze można było znaleźć znaczki, porządne koperty i artystyczne pocztówki z poważniejszych zeszłorocznych wystaw.

Na biurku Clarissy zacząłem przerzucać papiery, jakbym naprawdę szukał zszywacza, który znalazłem pod gazetą. Wydałem z siebie nawet pomruk zadowolenia. Czyżbym wyczuwał w pokoju jakąś nadprzyrodzoną obecność, boskiego widza, którego miałem nadzieję przekonać? Czyżby te gesty były zakorzenionymi genetycznie bądź społecznie pozostałościami wiary w czujne bóstwo? Moje pozorowane ruchy, a także uczciwość, niewinność i szacunek dla samego siebie zatraciły się z chwilą, gdy wsunąłem zszywacz do kieszeni, ale nie wyszedłem z pokoju, lecz nadal przerzucałem śmietnik na biurku.

Oczywiście nie mogę dłużej wypierać się tego, co robię. Powiedziałem sobie, że moim celem jest rozplatanie węzłów, rzucenie światła na to kłębowisko niewypowiedzianego i zrozumienie sytuacji. To bolesna konieczność. Uratuję Clarissę przed nią samą, a siebie przed Parrym. Odnowię więzi, miłość, dzięki której wraz z Clarissą kwitliśmy przez lata. Jeśli moje podejrzenia okażą się bezpodstawne, musimy mieć siłę, by usunąć je z naszego życia. Otworzyłem szufladę zawierającą ostatnią korespondencję. Każde kolejne posunięcie, które oznaczało dalsze zagłębianie się w sprawy Clarissy, degradowało mnie. Z każdą sekundą czułem się mniej zażenowany mym nagannym zachowaniem. Coś ścisłego i twardego, parawan, skorupa, otaczało mnie, chroniąc przed własnym sumieniem. Racjonalizowanie moich postępów krystalizowało się wokół częściowego pojęcia sprawiedliwości – mam prawo wiedzieć, co zniekształca reakcje Clarissy względem Parry'ego. Co sprawia, że



nie stoi po mojej stronie? Jakiś napalony brodaty dupek doktorant? Podniosłem kopertę do oczu. Została nadana przed trzema dniami.

Adres wypisano drobnymi drukowanymi literami, tworzącymi artystyczny bałagan. Wyciągnąłem pojedynczą stronicę. Już sam nagłówek przyprawił mnie o skurcz serca. „Droga Clarisso”. Ale dalej nie było niczego bulwersującego. Dawna przyjaciółka ze szkoły przekazywała rodzinne wieści. Wybrałem następny list: ojciec chrzestny, wybitny profesor Kale, zapraszał nas na obiad do restauracji w dniu urodzin Clarissy. Wiedziałem już o tym. Spojrzałem na trzeci list, od Luke’a, potem na czwarty i piąty, aż ich wspólna nieskazitelność zaczęła mnie mierzić. Zerknąłem na jeszcze trzy. Oto życie – dawały do zrozumienia – życie kobiety, którą podobno kochasz, mającej liczne obowiązki, inteligentnej, pełnej współczucia, o złożonej naturze. Co ty tutaj robisz? Usiłujesz nas zbrukać swoim jadem? Wynoś się! Zacząłem otwierać ostatni list, gdy zmieniłem zdanie. Byłem tak nikczemny, że gdy wyszedłem z pokoju, dotknąłem kieszeni, by potwierdzić – albo sprawić wrażenie, że potwierdzam – obecność zszywacza.

Tkwiałem w kolejce samochodów wjeżdżających w zatkałą codzienność Headington High Street. Piętrowy autobus właśnie rozkraczył się za światłami, gdzie szosa i tak już się zwążyła z powodu robót drogowych. Samochody musiały stać w korku, nim będą miały szansę się precisnąć. Moje wtargnięcie było punktem zwrotnym naszej degrengolady i podstępного sukcesu Parry’ego. Gdy Clarissa tego wieczoru wróciła do domu, zachowywała się przyjaźnie, była nawet ożywiona, lecz mnie tak zawstydzало moje zachowanie, że nie mogłem się odprężyć. Stałem się jeszcze bardziej świadomy swych postępów. Teraz naprawdę mam co przed nią ukrywać. Przekroczyłem granicę swojej niewinności, a potem na powrót się cofnąłem.

Następnego ranka, siedząc samotnie w swoim gabinecie, przeżyłem równoległe doznanie, śmierć niewinnego marzenia, gdy otworzywszy list od mojego profesora, dowiedziałem się, że nie

mam co liczyć na miejsce na wydziale. Prócz problemów, jakich nastęrcza procedura przyjęcia oraz obniżenie funduszków na czystą naukę, sprawę przesądza opinia, że badania nad wirtualnym fotonem, które chciałem prowadzić, są niepotrzebne.

„Rzecz nie w tym, że znaleziono już odpowiedzi, lecz w tym, że w ciągu ostatnich pięciu lat pytania zostały przeformułowane. To nowe podejście najwyraźniej Ci umknęło. Radzę Ci, Josephie, byś kontynuował pracę, w której odnosisz tak wielkie sukcesy”.

Zabrnąłem w ślepy zaułek. Przez dwadzieścia pięć minut tkwiłem na Headington High Street, czekając, aż będę mógł wyminąć autobus. Patrzyłem, jak klienci wchodzą do banku, apteki i wypożyczalni wideo. W ciągu najwyżej piętnastu minut powinienem się znaleźć przed domem pani Logan, a nie miałem pojęcia, co jej powiedzieć. Właściwie nie było dla mnie jasne, po co tu przyjechałem. Początkowo chciałem oddać cześć odwadze jej męża, na wypadek gdyby nikt tego nie zrobił, ale gazety zdążyły już szeroko rozpisać się na ten temat. Gdy rozmawiałem z nią przez telefon, wydawała się spokojna i powiedziała, że cieszy się z mojego przyjazdu, co uznałem za wystarczający powód do złożenia tej wizyty. Myślałem wówczas, że pozwolę po prostu, by sprawy potoczyły się swoim torem, ale teraz, gdy znalazłem się prawie na miejscu, straciłem już tę pewność. Z rana byłem zadowolony po prostu z tego, że wyrwę się z domu i opuszczę miasto. Teraz ta radość minęła. Czekało mnie spotkanie z prawdziwym smutkiem, toteż czułem się zmieszany.

Dom państwa Loganów okazał się bliźniakiem przytłoczonym świeżą zielenią, usytuowanym w sercu tonącej w ogrodach podmiejskiej dzielnicy Oksfordu. Wyznaję teorię, że pewnego dnia odkryjemy na nowo brzydotę wiktoriańskiej architektury mieszkaniowej, a nastąpi to wtedy, gdy określimy, jak powinien wyglądać współczesny, dobrze zaprojektowany dom. Zanim do tego dojdzie, nie mamy nic lepszego, a wiktoriański dom wygląda zupełnie nieźle. Czynność wysiadania z samochodu mogła u mnie nieco zmniejszyć dopływ krwi do mózgu, co nadało moim myślom wsteczny bieg. Nie dowierzam sobie, ot, co pomyślałem. I to od

czasu wtargnięcia w prywatną sferę Clarissy, Przystanąłem przy bramie. Do frontowych drzwi biegła ścieżka z tłuczonej cegły, porośnięta z obu stron mleciami i dzwonkami. Zbyt łatwo byłoby przyjąć, że smutek bijący od domku jest tylko odzwierciedleniem mojego nastroju i że celowo zauważam zewnętrzne oznaki przygnębienia: zaniedbany ogród, zaciągnięte zasłony w dwóch oknach na górze, stłuczone szkło, może z butelki po mleku. Nie dowierzam sobie. Gdy naciskałem dzwonek przy drzwiach, znowu myślałem o zszywaczu i o tym, jak trzymając się razem, potrafimy być wobec siebie nieuczciwi. Usłyszałem jakieś szmery dochodzące z wnętrza domu. Nie przyjechałem, by opowiedzieć pani Logan o odwadze jej męża, przybyłem, by wytłumaczyć, ustalić, że nie ponoszę najmniejszej odpowiedzialności za jego śmierć, że jestem absolutnie niewinny.

## 13

Kobieta, która otworzyła drzwi, spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Wpatrywaliśmy się w siebie przez dobre dwie sekundy, zanim pospiesznie jej przypomniałem, że zapowiedziałem swój przyjazd. Oczy, które przyciągnęły mój wzrok, były małe i suche, nie zaczerwienione żalem, lecz zapadnięte i szkliste ze zmęczenia. Wydawało się, że jest daleko stąd, sama jedna pośród straszliwej zamieci, niczym samotny badacz Arktyki. Towarzyszył jej ciepły zapach domowych wypieków, toteż pomyślałem, że pewnie spała w ubraniu. Nosiała długi naszyjnik z nieregularnych kawałków bursztynu, którym niezgrabnie owinęła lewą rękę. Przez cały czas mojej wizyty palcem wskazującym i kciukiem obracała i ugniatała jeden bursztynek, mniejszy od innych. Gdy się odezwałem, rzekła: „Naturalnie, naturalnie”, heroicznym wysiłkiem ożywiając rysy i otwierając szerzej drzwi.

Poznałem ten rodzaj oksfordzkich domostw, odwiedzając przez lata rozmaitych profesorów nauk ścisłych. Takie wnętrza były już w zaniku, gdyż w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych posesje w willowej dzielnicy wykupywali ludzie spoza kręgów uniwersyteckich. Zanim to nastąpiło, wprowadzali się tu profesorowie, którzy przywozili ze sobą książki i trochę gratów – a potem nie dokonywali już żadnych zmian. Nie było mowy o jakiegokolwiek myśli przewodniej czy stylowości, w pogardzie było też dogadzanie sobie – do tego stopnia, że zimą chłód przenikał wszystkie pomieszczenia. Nawet światło miało tu brązowy odcień, co harmonizowało z zapachami wilgoci, pyłu węglowego i mydła. W sypialniach nie było ogrzewania i zdaje się, że w całym domu znajdował się tylko jeden telefon – z tarczą, umieszczony w holu, z dala od jakiegokolwiek krzesła. Podłogę pokrywało linoleum, po ścianach biegły obskurne przewody elektryczne, a z kuchni dochodził cierpki zapach gazu; kątem oka dostrzegłem też wyłożone laminatem półki na metalowych uchwytych, na których stały butelki brązowego i czerwonego

sosu. Niegdyś uznawano, że taka surowość, bez cienia ustępstw na rzecz przyjemności lub wygody, przystoi życiu intelektualnemu. Miała być ściśle związana z duszą angielskiego pragmatyzmu, niewyszukanego, skupionego na rzeczach podstawowych, na życiu uniwersyteckim, unikającego codziennej krzątaniny. W swoim czasie można by uznać, że ów ascetyzm zadaje cios edwardiańskiemu przeładowaniu i frymuśnościom wcześniejszego pokolenia. Dziś wydawał się idealnym tłem dla smutku.

Jean Logan wprowadziła mnie do zatłoczonego pokoju, który wychodził na ogromny, otoczony murem ogród, z kwitnącą wiśnią pośrodku. Gospodyni pochyliła się sztywno, by podnieść z podłogi koc leżący tuż obok dwuosobowej kanapy, na której wały się skłębione, krzywo ułożone poduszki i przykrycia. Przyciskając koc obiema rękami do brzucha, zapytała, czy napiłbym się herbaty. Domyśliłem się, że spała, gdy zadzwoniłem do drzwi, albo leżała apatycznie pod przykryciem. Gdy zaproponowałem, że pomogę jej w kuchni, roześmiała się ze zniecierpliwieniem i powiedziała, żebym usiadł.

Powietrze było tak ciężkie, że oddychało się z wysiłkiem. Żółtym płomieniem palił się kominek gazowy, z którego prawdopodobnie ulatniał się tlenek węgla, zagęszczając utajony smutek. Pod nieobecność Jean Logan usiłowałem przykręcić gaz, a gdy mi się to nie udało, otworzyłem oszklone drzwi na jakieś dwa centymetry, po czym wygładziłem poduszki i usiadłem.

Nic w tym pokoju nie wskazywało, że mieszkają tu dzieci. Wciśnięte do niszy, przytłoczone książkami, stosami magazynów i czasopism naukowych, stało pianino, a w upchniętych na nim świecznikach tkwiło kilka suchych gałązek – pewnie zeszłorocznych pączków. Po obu stronach kominka widać było zbiorowe wydania Gibbona, Macaulaya, Carlyle'a, Treveljana i Ruskina. O jedną ze ścian opierał się szezlong z ciemnej skóry, rozciętej z jednej strony i wypełnionej pożółkłymi gazetami. Warstwy spłowiałych, wytartych dywaników pokrywały podłogę. Zwrócone w stronę trującego ognia, naprzeciw kanapy, stały dwa

krzesła w stylu, jak mi się wydawało, lat czterdziestych, o wysokich drewnianych poręczach i niskich ruchomych siedzeniach. Loganowie niezawodnie odziedziczyli ten dom po rodzicach, nie wprowadzając do niego żadnych zmian. Zastanawiałem się, czy atmosfera smutku panowała tu jeszcze przed śmiercią Johna.

Jean powróciła z dwoma kubkami artystycznej roboty. Zdażyłem już sobie przygotować krótki wstęp, lecz, gdy tylko usiadła na krawędzi niewygodnego, niskiego krzesła, sama zaczęła rozmowę.

– Nie wiem, dlaczego pan przyjechał – powiedziała. – Mam nadzieję, że nie po to, by zaspokoić swoją ciekawość. Ponieważ się nie znamy, nie chciałabym wysłuchiwać kondolencji, słów pociechy i tak dalej. – Starła się mówić bez emocji, lecz te bardzo bezpośrednie sformułowania, wypowiedziane jednym tchem, wywarły jeszcze silniejsze wrażenie. Żeby złagodzić wymowę swoich słów, uśmiechnęła się niepewnie. – Chciałam po prostu oszczędzić panu niezręcznej sytuacji.

Skinąłem głową i usiłowałem upić nieco parzącej usta herbaty z porcelanowego kubeczka, który trzymałem w dłoniach. Jej, cierpiącej w taki sposób, spotkanie towarzyskie, które właśnie odbywaliśmy, musiało przypominać jazdę po pijanemu – trudno ocenić tempo wymiany zdań, za to łatwo przedobrzyć, lekkomyślnie kierując rozmową.

Nie bardzo potrafiłem dostrzec kobietę kryjącą się za żalobą. Czy brązowa plama na jasnoniebieskim kaszmirowym swetrze, tuż pod prawą pierśią, świadczyła o zaniedbaniu spowodowanym zgryzotą, czy o czymś innym? Włosy Jean były tłuste, mocno ściągnięte do tyłu i zwinięte w kok podtrzymywany czerwoną gumką. Czy to też oznaka zmartwienia, czy swoistego akademickiego fasonu? Z gazet wyczytałem, że uczy historii na uniwersytecie. Nic o niej nie wiedząc, można by się domyślić, że jest osobą prowadzącą siedzący tryb życia, a w tej chwili mocno przeziębioną. Wyostrzony nos płonął czerwienią na czubku, u podstawy oraz wokół nozdrzy od ciągłego pocierania

przemoczonymi chusteczkami. (U stóp dostrzegłem puste pudełko). Ale była to pociągająca twarz, niemal piękna, niemal brzydka: długi, blady, czysty owal, o cienkich wargach i prawie niewidocznych brwiach i rzęsach. Oczy miały niezdecydowany piaskowy kolor. Można przypuścić, że zaciekle broni swej niezależności i łatwo wpada w gniew.

– Nie mam pojęcia, czy odwiedził panią ktokolwiek z ludzi, którzy tam wtedy byli. Przypuszczam, że nie. Wiem, że nie muszę mówić, jak bardzo odważnym człowiekiem był pani mąż, ale może chciałaby się pani dowiedzieć, co zaszło. Rozprawa u koronera odbędzie się dopiero za sześć tygodni...

Zamilkłem, nie wiedząc, skąd w ogóle przyszedł mi do głowy koroner. Jean Logan nadal siedziała na krawędzi krzesła, skulona nad kubkiem, z którego para buchała jej w twarz.

– Pewnie myślał pan, że chciałabym omówić dokładnie szczegóły jego śmierci.

Zdumiało mnie rozgoryczenie bijące z głosu kobiety, toteż spojrzałem jej w oczy.

– Może chciałaby się pani czegoś dowiedzieć – zaproponowałem wolniej niż poprzednio. Niechęć pani Logan bardziej mi odpowiadała niż smutek, który wprawiał mnie w zażenowanie. Poczulem się swobodniej...

– Chcę się dowiedzieć pewnych rzeczy – rzekła Jean Logan z nagłym gniewem. – Mam mnóstwo pytań do różnych ludzi. Ale raczej mi nie odpowiedzą. Udają, że nie rozumieją nawet, o co ich pytam. – Urwała i z trudem przełknęła ślinę.

Przywoływałem powtarzający się w jej głowie głos, podsłuchiwałem myśli, które dręczyły ją całą noc. Ten sarkazm był zbyt teatralny, zbyt naładowany energią i czułem w nim ciężar wyczerpania, spowodowanego ciągłym powtarzaniem tych samych kwestii.

– To ja, oczywiście, jestem niespełna rozumu. Nie liczę się, tylko przeszkadzam. Moje pytania są niewygodne, ponieważ nie

pasują do opowiadania. No, już dobrze, pani Logan. Proszę się nie przejmować sprawami, które pani nie dotyczą, a i tak nie mają znaczenia. Wiemy, że to pani mąż, ojciec pani dzieci, ale my kierujemy tą sprawą i proszę nam nie utrudniać...

„Ojciec” i „dzieci” to słowa, które ją rozkleiły. Odstawiła kubek, wyciągnęła z rękawa swetra zwiniętą w kulkę chusteczkę i przycisnęła, nieomal wkręciła ją między oczy. Usiłowała podnieść się z krzesła, lecz było tak niskie, że dała za wygraną. Czuję ową pustą, odrętwiającą neutralność, gdy jedna osoba w pokoju skupia w sobie wszelkie emocje. Na razie mogłem tylko czekać. Pomyślałem, że pewnie należy do tych kobiet, które nie znoszą, gdy ktoś widzi, jak płaczą. Ostatnimi czasy musiała się do tego przyzwyczaić. Patrzyłem nie na nią, lecz na ogród, okrażając wzrokiem wiśnię, i ujrzałem pierwsze dowody obecności dzieci. Częściowo skryty za krzakami, na skrawku trawnika stał namiot, brązowy, w stylu igloo. Podpórki zawaliły się po jednej stronie, toteż huśtał się nad grządką kwiatową. Wyglądał na przemokły i porzucony. Czy to John rozstawił go dla nich niedługo przed śmiercią, czy też one wzniosły ten namiot, by nawiązać kontakt ze sportowym, lubiącym świeże powietrze duchem, który umknął z domu? Może potrzebowały miejsca, gdzie mogłyby usiąść i znaleźć się poza strefą półcienia bólu ich matki.

Jean Logan milczała. Zaciśnęła dłonie i wpatrzyła się w podłogę, nadal chcąc pozostać jak gdyby samotną. Skóra między jej nosem i cienką górną wargą była pogryziona do krwi. Moje odrętwienie zniknęło, gdy przyszła mi do głowy prosta myśl, że oto widzę miłość i powolne cierpienie wywołane jej zniszczeniem. Kiedy sobie wyobraziłem, co by oznaczało, gdybym stracił Clarisę, na skutek jej śmierci lub z powodu własnej głupoty, poczułem gorące ukłucia na plecach i miałem wrażenie, że tonę w tym pokoiku z braku powietrza nadającego się do oddychania. Muszę natychmiast wrócić do Londynu i ocalić naszą miłość. Nie obmyśliłem jeszcze planu działania, ale chętnie wyniosłbym się stąd pod byle pretekstem.

Jean Logan uniosła wzrok.



– Przepraszam – rzekła. – Cieszę się, że pan przyjechał. To miło, że chciało się panu odbyć taką podróż.

Powiedziałem jakąś uprzejmościową formułkę. Mięśnie ud i ramion miałem napięte, jakby chciały wypchnąć mnie z krzesła ku Maida Vale. To, co dostrzegłem w smutku Jean, sprawiło, że swoją własną sytuację ujrzałem jako zaledwie zbiór nieskomplikowanych elementów, układ okresowy pierwiastków zdrowego rozsądku: gdy zniknie, dowiesz się, jak wielkim darem była miłość. Będziesz tak samo cierpieć. A więc wracaj i walcz, by ją utrzymać. Nic innego, z Parrym włącznie, się nie liczy.

– Widzi pan, chciałabym się dowiedzieć pewnych rzeczy...

Usłyszeliśmy, jak drzwi zamykają się i otwierają, a potem rozległy się kroki w holu, lecz nie dobiegły nas żadne głosy. Jean zamilkła, jakby czekała na wezwanie. Potem stąpanie – chyba dwóch osób – skierowało się na górę, a kobieta odetchnęła. Miała powiedzieć mi coś ważnego, czy też o to zapytać, a ja zorientowałem się, że żadną miarą nie mogę wyjść. Nie zdołałem też rozluźnić mięśni nóg. Chciałem zaproponować, żebyśmy porozmawiali w ogrodzie, pod kwitnącym drzewem, na świeżym powietrzu.

– Ktoś był z moim mężem. Zauważył pan? – spytała. Potrząsnąłem głową.

– Była tam moja przyjaciółka Clarissa, dwóch robotników rolnych, mężczyzna nazwiskiem...

– Wiem o nich. Ktoś był w samochodzie z Johnem, gdy się zatrzymał. Ktoś wysiadł razem z nim.

– Pani mąż przybiegł z drugiej strony pola. Zobaczyłem go dopiero wtedy, gdy wszyscy pędziliśmy do balonu. Jestem absolutnie pewien, że wtedy nikogo więcej nie było.

Jean Logan to nie zadowoliło.

– Widział pan jego samochód?

– Tak.

– I nie dostrzegł pan, że ktoś tam stał i przypatrywał się?

– Gdyby tam ktoś był, zapamiętałbym.

Odwróciła wzrok. Nie takich odpowiedzi się domagała. „Zacznijmy jeszcze raz” – zdawał się mówić jej ton. Nie byłem zły. Naprawdę chciałem pomóc.

– Widział pan, jak drzwi samochodu się otwierają?

– Tak.

– Jedne czy więcej?

Zawahałem się. Przywołany obraz ukazywał dwoje drzwi, ale nie miałem pewności i nie zamierzałem wprowadzać jej w błąd. Chodziło tu o dużą stawkę, może potężne urojenie. Nie chciałem go podsycać. Ale w końcu odparłem niechętnie:

– Dwoje. Nie jestem absolutnie pewien, ale chyba dwoje.

– A dlaczego uważa pan, że otworzyło się dwoje drzwi, skoro był sam?

Wzruszyłem ramionami i czekałem, aż sama mi powie. Obracała bursztynek z naszyjnika szybciej niż przedtem. Na jej twarzy w miejsce smutku pojawiło się pełne bólu podniecenie. Nawet ja, nie mając o niczym pojęcia, orientowałem się, że dowody doprowadzą ją do jeszcze większej rozpaczki. Musiała usłyszeć to, czego nie chciała wiedzieć. Lecz przede wszystkim miała pytania, które zadawała bez ogródek, tonem agresywnego adwokata. Przez chwilę stałem się zastępczym obiektem jej goryczy.

– Niech mi pan powie, jaki kierunek należy obrać, jadąc stamtąd do Londynu?

– Na wschód.

– A do Chilterns?

– Na wschód.

Spojrzała na mnie, jakby ustaliła ważny dowód. Moja mina wyrażała tylko chęć pomocy. Jean musiała prowadzić mnie za rękę ku oczywistemu ośrodkowi jej cierpienia. Tak długo obracała to w myślach, że ledwo zdołała powstrzymać rozdrażnienie w głosie, gdy musiała zapytać:

– Jak daleko jest stąd do Londynu?

– Dziewięćdziesiąt kilometrów.

– A do Chilterns?

– Około trzydziestu.

– Czy z Oksfordu do Londynu jechałby pan przez Chilterns?

– Cóż, autostrada je przecina.

– Ale czy jechałby pan do Londynu przez Watlington i wszystkie okoliczne dróżki?

– Nie.

Jean Logan wpatrzyła się w wytarty perski dywan u jej stóp, zatopiona w swoim problemie, w rozpacz, której nigdy nie będzie mogła dać upustu w rozmowie z mężem. Usłyszałem kroki w pokoju na górze i głos, kobiecy czy dziecięcy. Minęły dwie lub trzy minuty.

– Tego dnia miał być w Londynie? – odezwałem się. Mocno zacisnęła powieki i skinęła potakująco.

– Na konferencji – wyszeptała. – Konferencji medycznej. Odchrząknąłem lekko.

– Prawdopodobnie istnieje absolutnie niewinne wytłumaczenie.

Oczy miała nadal zamknięte, a głos ścichł i stał się monotony, jakby pod hipnozą mówiła o dniu, o którym nie da się opowiedzieć.

– Samochód przyprowadził sierżant policji z miejscowego posterunku. Przywiozła go pomoc drogowa, bo nie mogli znaleźć

kluczyków. Powinny być w samochodzie albo w kieszeni Johna. Dlatego zajrzałam do środka. Potem zapytałam sierżanta, czy przeszukali samochód. Zdjęli odciski palców? Ale powiedział, że nie oglądali samochodu od środka ani nie zdjęli odcisków palców. A wie pan dlaczego? Bo nie było przestępstwa...

Otworzyła oczy, by się przekonać, czy pojąłem znaczenie tego zdarzenia, czy jego absurdalność wstrząsnęła mną do głębi. Raczej nie. Rozchyliłem wargi, by powtórzyć to słowo, ale wypowiedziała je pierwsza, artykułując głośno.

– Przestępstwo! Nie było przestępstwa!

Nagle poderwała się na nogi, przeszła przez pokój i z rogu, gdzie książki piętrzyły się po pas, podniosła plastikową torbę. Gdy wróciła, rzuciła nią we mnie.

– Niech pan popatrzy. No, proszę. Niech pan powie, co tam jest.

Była to ciężka biała torba z niezdarnym rysunkiem dzieci tańczących wokół nazwy supermarketu. Cokolwiek tam było, ciężko opadało na dno. Gdy tylko wziąłem ją do ręki, poczułem zapach tego, co znajdowało się na dnie – bijącą w nozdrza, charakterystyczną woń gnijącego mięsa.

– Niech pan zajrzy. Nic panu nie będzie. Wstrzymałem oddech, rozchyliłem brzegi torby i przez chwilę nie bardzo rozumiałem, o co w tym wszystkim chodzi. Ujrzałem szarawą pastę opakowaną w plastikową folię, krążek cynfolii, jakąś brązową mieszaninę w kartonie. Potem dostrzegłem coś czerwonego w zakrzywionym szkłe, po większej części zasłoniętego papierem. Była to butelka wina – dlatego torba wydawała się taka ciężka. I nagle wszystko się wyjaśniło. Zobaczyłem dwa jabłka.

– Jedzenie na piknik – stwierdziłem. Chwyciły mnie mdłości, lecz nie wywołał ich wyłącznie smród.

– To było na podłodze koło siedzenia pasażera. Miał zamiar spędzić z nią parę godzin. Gdzieś w lesie.

– Z nią? – Wiem, że byłem zbyt drobiazgowy, ale nadal opierałem się przemożnej sile jej chimerycznych pomysłów.

Wyciągała coś z kieszeni spódnicy. Zabrała torbę i włożyła mi do ręki małą jedwabną apaszkę w szaro-czarne fantazyjne pasy.

– Niech pan to powącha – zakomenderowała, ostrożnie odstawiając torbę do rogu.

Apaszka miała słony zapach, łez, smarków albo potu zaciśniętej dłoni Jean.

– Niech pan powącha mocniej – rzekła. Stała nade mną, stanowczo i żarliwie domagając się mojego współudziału.

Przyłożyłem skrawek jedwabiu do twarzy i mocno pociągnąłem nosem.

– Niestety – powiedziałem. – Nie pachnie niczym specjalnym.

– To woda różana. Nie czuje pan?

Zabrała mi apaszkę. Nie zasługiwałem, by ją dłużej trzymać.

– Nigdy w życiu nie używałam wody różanej. Znalazłam to na fotelu pasażera.

Usiadła i najwyraźniej czekała, żebym coś powiedział. Czy uważała, że jako mężczyzna jestem w pewnym sensie współwinny grzesznego postępu jej męża, że w jego zastępstwie powinienem oczyścić się z zarzutów i wszystko wyznać? Ponieważ się nie odzywałem, rzekła:

– Jeżeli pan coś zobaczył, niech się panu nie wydaje, że powinien mnie osłaniać. Muszę wiedzieć.

– Pani Logan, nie widziałem nikogo z pani mężem.

– Poprosiłam ich, żeby poszukali odcisków palców w samochodzie. Wytropię tę kobietę...

– Pod warunkiem, że była notowana. Nie słyszała mnie.

– Muszę wiedzieć, jak długo to trwało i co oznaczało. Chyba pan rozumie, prawda?

Skinałem potakująco i pomyślałem, że owszem, rozumiem. Musi pojąć rozmiary swej straty i dowiedzieć się, jak ma obchodzić żałobę. Powinna poznać wszystkie fakty i przecierpieć je, zanim osiągnie względny spokój. Inaczej przez całe życie będzie się dręczyć domysłami i podejrzeniami, strzelać w ciemno, wyobrażać sobie najgorsze.

– Przykro mi – zacząłem, ale mi przerwała:

– Po prostu muszę ją znaleźć. Muszę z nią porozmawiać. Powinna ogarnąć całość tej sprawy. Potem ucieknie. Zbolała, oszalała. Kto wie?

– Można przypuszczać, że będzie chciała nawiązać z panią kontakt. Zapragnie się z panią zobaczyć i nie zdoła się oprzeć tej chęci.

– Jeśli zbliży się do tego domu – odparła po prostu Jean Logan, gdy drzwi za nami się otworzyły i dwoje dzieci weszło do pokoju – zabije ją. Tak mi dopomóż Bóg, zabije.

Z nutką smutku Clarissa mówiła mi czasami, że byłby ze mnie wspaniały ojciec. Twierdziła, że mam świetne podejście do dzieci, łatwo nawiązuję z nimi kontakt bez śladu protekcjonalności. Nigdy przez dłuższy czas nie zajmowałem się dzieckiem, toteż nie zdażyłem się przekonać, ile tak naprawdę kosztowało mnie wyrzeczenie się prawdziwie ojcowskich uczuć, ale chyba wiem, jak rozmawiać z dziećmi, i umiem ich słuchać. Znam wszystkich siedmioro chrzestnych Clarissy. Zapraszaliśmy ich na weekendy, kilkoro zabraliśmy na zagraniczne wakacje, przez tydzień troskliwie opiekowaliśmy się dwiema dziewczynkami – Felicity i Grace, które moczyły się do łóżka – podczas gdy ich rodzice skakali sobie do gardeł w trakcie postępowania rozwodowego. Przydałem się nieco najstarszemu chrześniakowi Clarissy, piętnastolatkowi o burzliwym życiu wewnętrznym, oszołomionemu popkulturą i głupkowatymi kodeksami obowiązującymi wśród rządzących ulicą osiłków. Zabrałem go na drinka i przekonałem, żeby nie rzucał szkoły. Cztery lata później studiował medycynę w Edynburgu i świetnie sobie radził.

Niemniej jednak, gdy spotykam dziecko, muszę ukryć skrepowanie. Widzę siebie jego oczyma i przypominam sobie, jaki miałem stosunek do dorosłych, gdy sam byłem mały. Wydawali mi się nieciekawą zbieraniną, zbyt lubili zasiadać, by prowadzić rozmówki o niczym, i niczego się już w przyszłości nie spodziewali. Moi rodzice, ich przyjaciele, wujowie i ciotki naginali swe życie do wartości wyznawanych przez innych, ważniejszych ludzi. Dla dziecka była to, oczywiście, sprawa lokalnych hierarchii. Potem u niektórych dorosłych odkryłem godność i fantazję, a jeszcze później te wartości, a przynajmniej pierwsza z nich, ujawniły się u moich rodziców i większości ludzi z ich kręgu. Lecz gdy byłem energicznym, zarozumiałym dziesięcioletkiem i znalazłem się w pokoju pełnym dorosłych, miałem poczucie winy i chcąc być, jak mi się wydawało, uprzejmym, starałem się ukryć silne przekonanie, że gdzie indziej przyjemniej spędziłbym czas. Gdy

zbliżała się do mnie postać w podeszłym wieku – a wszyscy byli w podeszłym wieku – martwiłem się, że z mojej twarzy bije litość.

Toteż gdy odwróciłem się na krześle, by napotkać spojrzenie dzieci Logana, wiedziałem, jak wyglądam w ich oczach: jeszcze jeden obcy nudziarz z szeregu, który ostatnio przesuwiał się przez ich dom, potężny mężczyzna w pogniecionym lnianym ubraniu, z kółeczkiem łysiny widocznym z miejsca, w którym stały. Przybył tu w jakimś niezrozumiałym celu, którego i tak nie dojdą. Nade wszystko to kolejny przybysz, który nie jest ich ojcem. Dziewczynka miała chyba z dziesięć lat, chłopiec musiał być ze dwa lata młodszy. Z tyłu, tuż za progiem, stała niania, pogodna młoda kobieta w dresie. Dzieci popatrzyły na mnie, a ja odwzajemniłem ich spojrzenie, akurat gdy matka wypowiadała swą groźbę. Oboje mieli na sobie dżinsy, sportowe buty i swetry z postaciami z Disneya. Wyglądali nieporządnie, ale robiło to sympatyczne wrażenie i jak na moje oko nie wydawali się pogrążeni w bólu.

– Nie wolno zabijać ludzi – powiedział chłopiec, nie zdejmując ze mnie wzroku.

Siostra uśmiechnęła się pobłaźliwie, a ponieważ Jean Logan wydawała teraz polecenia niani, odezwałem się do chłopca:

– Te słowa tak naprawdę nic nie znaczą. Mówi się tak, kiedy się kogoś bardzo nie lubi.

– Nie należy tego robić. Ten, kto tak mówi, zachowuje się bardzo źle.

– A nie słyszałeś, jak ktoś się odgraża: „Jestem taki głodny, że zjadłbym konia z kopytami”?

Rozwagał to przez chwilę.

– Sam tak mówiłem – przyznał.

– Czy źle jest zjadać konie?

– Tutaj tak – rzekła dziewczynka. – Ale nie we Francji. Tam je ciągle jedzą.



– To prawda – odparłem. – Ale jeśli coś jest złe, po przekroczeniu kanału nie staje się dobre.

Dzieci podeszły bliżej, nadal ręka w rękę. Po tym, co działo się wcześniej, dyskusja o relatywizmie moralnym stanowiła czystą ulgę.

– Ludzie w różnych krajach mają rozmaite zwyczaje – odezwała się dziewczynka. – W Chinach uprzejmie jest beknać po posiłku.

– To prawda – odparłem. – Gdy byłem w Maroku powiedziano mi, że nie należy poklepywać dzieci po głowie.

– Nienawidzę ludzi, którzy to robią – powiedziała dziewczynka, a brat krzyknął w podnieceniu:

– Mój tata widział, jak w Indiach obcinają kozom łby!

– A do tego robili to kapłani – dodała dziewczynka. Wzmianka o ojcu nie wywołała zmian na ich buziach, nie poczuli żalu. Nadal był dla nich żywą istotą.

– A więc – rzekłem – nie ma żadnych reguł, na które mógłby przystać cały świat?

– Zabijanie ludzi – rzekł chłopczyk z triumfującą miną. Popatrzyłem na dziewczynkę, która przytaknęła, a na dźwięk zamykanych drzwi wszyscy się odwróciliśmy, by spojrzeć na matkę, która właśnie skończyła rozmowę z nianią.

– To są Rachael i Leo. A to pan...

– Joe – rzekłem.

Leo podszedł do matki i usiadł jej na kolanach. Mocno objęła go rękami w pasie. Rachael zbliżyła się do okna i wyjrzała na ogród.

– Ten namiot – rzekła cicho do siebie.

– Muszę ją odnaleźć. – Jean Logan podjęła wątek rzeczowym tonem. – Wielka szkoda, że jej pan nie widział. Ale może mimo wszystko będzie pan mógł mi pomóc. Policja jest kompletnie

bezużyteczna. Niewykluczone, że ktoś inny coś zobaczył. Ja sama nie mogę z nimi porozmawiać, ale gdyby pan zechciał...

– O czym ty mówisz, mamó? – spytała Rachael spod okna. Pochwyciłem niespokojny, opiekuńczy ton jej wahającego się głosu i posłyszałem w nim udrękę. Zapewne doszło do scen, których powtórki dziewczynka się obawiała i chciała uciąć je w zarodku.

– O niczym, kochanie. To nie ma z tobą nic wspólnego.

Nie wiedziałem, jak odmówić, choć Bóg mi świadkiem, że chciałem. Czy moje życie będzie całkowicie podporządkowane cudzym obsesjom?

– Mam numery telefonów robotników rolnych – powiedziała.  
– Nietrudno będzie znaleźć numer tego młodego człowieka. Mam jego adres. Nazywa się Parry. Proszę tylko o telefony do trzech ludzi.

Odmowa byłaby zadaniem zbyt skomplikowanym.

– Dobrze – powiedziałem. – Zadzwoń. – A wyrażając zgodę, uświadomiłem sobie, że będę mógł cenzurować informacje i być może oszczędzić rodzinie nieco zgryzot. Czyż Rachael i Leo nie zgodziliby się, że czasami należy skłamać?

Chłopiec zsunął się z kolan matki i podszedł do siostry. Jean Logan, uśmiechając się w podzięcie, wygładziła spódnice posuwistymi ruchami rąk, dając mi tym samym do zrozumienia, że przyszła pora, bym się pożegnał.

– Zapiszę panu numery telefonów. Skinąłem głową.

– Proszę posłuchać, pani Logan. Pani mąż był bardzo zdecydowanym i odważnym człowiekiem. Powinna pani o tym pamiętać – dodałem. Rachael i Leo wałęsali się koło okna, toteż musiałem podnieść głos. – Postanowił uratować chłopca i walczył o niego do końca. Przewody elektryczne były naprawdę niebezpieczne. Mały mógł zginąć. Pani mąż nie puszczał liny, zawstydzając resztę z nas.

– Reszta z was żyje – rzekła, po czym urwała i zmarszczyła brwi, gdy Leo zapiszczał za długą zasłoną przy szklanych drzwiach. Siostra łaskotała go przez materiał. Matka już miała im powiedzieć, by się uciszyli, lecz zmieniła zdanie. Podobnie jak ja, musiała mówić głośniej. – Niech się panu nie wydaje, że nie myślę o tym cały czas. John wspinał się, badał jaskinie, świetnie żeglował. Ale leczenie ludzi uważał za swoją misję. Brał udział w wyprawach ratowniczych i był bardzo, bardzo ostrożny. – Przy każdym „bardzo” mocniej zaciskała pięść. – Nigdy nie ryzykował na wariata. Koledzy naśmiewali się z niego podczas wspinaczek, gdyż zawsze brał pod uwagę możliwość załamania się pogody, zgubienia szlaku czy niebezpieczeństw, o których nikt inny by nie pomyślał. Był dyżurnym pesymistą. Uważano go nawet za strachajkę, ale nic sobie z tego nie robił. Nigdy nie podejmował niepotrzebnego ryzyka. Gdy urodziła się Rachael, przestał się wspinać w wysokich górach. I właśnie dlatego ta historia nie ma sensu. – Zrobiła półobrót, by odezwać się do dzieci, które hałasowały coraz głośniej, ale koniecznie chciała powiedzieć mi do końca to, co zaczęła, a czuła się swobodniejsza, gdy schowały się w swojej norze. Spojrzała na mnie. – To całe trzymanie się liny... Widzi pan, zastanawiałam się nad tym i wiem, co go zabiło.

W końcu znaleźliśmy się w samym środku tej opowieści. Miałem zostać oskarżony, toteż musiałem przerwać Jean. Najpierw chciałem przedstawić jej swoją wersję. Naszedł mnie, jako zachęta, obraz czegoś, kogoś, odpadającego na ułamek sekundy przedtem, zanim ja puściłem. Ale znałem też ostrzegawczą sentencję z czasów, gdy pracowałem w laboratorium: „Uwierzyć znaczy zobaczyć”.

– Pani Logan – rzekłem – sam nie wiem, mogła pani coś od kogoś usłyszeć. Ale uczciwie powiadam...

Mówiąc, potrząsała głową.

– Nie, nie. Musi mnie pan wysłuchać. Był pan tam, ale wiem o tym więcej niż pan. John miał jeszcze jedną cechę.

Zawsze musiał być najlepszy, ale nie był już tym wszechstronnym atletą co niegdyś. Skończył czterdzieści dwa lata. To mu się dawało we znaki. Nie mógł się z tym pogodzić. A kiedy mężczyźni zaczynają mieć takie odczucia... Nic nie wiem o tej kobiecie. Niczego nie podejrzewałam, nic mi nie zaświtało. Nie mam nawet pojęcia, czy była pierwsza, ale wiem jedno. Obserwowała go, a on o tym wiedział i musiał się przed nią pokazać, udowodnić jej, ile jest wart. Musiał się pojawić w centrum wydarzeń, pierwszy chwycił linę i ostatni ją puścił, zamiast zrobić to co zawsze – poczekać i zastanowić się, co da najlepszy rezultat. Tak by postąpił, gdyby jej nie było, i to jest właśnie takie żalosne. Popisywał się przed dziewczyną, panie Rose, i wszyscy teraz przez to cierpimy.

Była to teoria, opowieść, którą może zrodzić tylko smutek, oszołomienie bólem.

– Ale skąd takie posądzenia? – zaproponowałam. – Tak niewyraźną poszlakę musiała sobie pani sama dopowiedzieć. To tylko hipoteza. Nie należy w nią wierzyć.

Rzuciła mi spojrzenie pełne litości, po czym odwróciła się do dzieci.

– Za bardzo hałasujecie. Nie możemy rozmawiać. Podniosła się niecierpliwie. Leo zawinął się w zasłonę, tak że widać było tylko jego stopy. Rachael skakała wokół, zawodząc coś i poszturchując brata, a on wyśpiewywał jakieś zaklęcia w odpowiedzi. Odwróciła się, gdy matka zaczęła odwijać chłopca. Jean Logan nie strofowała synka, raczej delikatnie go napominała.

– Znowu zerwiesz zasłonę. Prosiłam cię już wczoraj, żebyś tego nie robił, a ty mi obiecałeś.

Leo wyłonił się, zarumieniony i szczęśliwy. Podchwycił wzrok siostry, a ona zachichotała. Potem przypomniał sobie o mnie i chcąc mi wyjaśnić, o co chodzi w tej zabawie, zaczął tłumaczyć matce:

– Ale to jest nasz pałac, ja jestem królem, ona królową, i wychodzę tylko wtedy, kiedy da znak!

Leo mówił coś jeszcze, a matka karciła go możliwie najłagodniej, lecz nic z tego już do mnie nie docierało. Miałem wrażenie, że delikatna koronka naprawia swą podartą materię wyłącznie siłą wrodzonej misterności. Wszystko to stało się w jednej chwili i niemożliwe, bym o czymkolwiek zapomniał. Pałacem był Buckingham, królem Jerzy V, kobieta przed pałacem to Francuzka, a rzecz działa się tuż po Wielkiej Wojnie. Ta kobieta wielokrotnie przyjeżdżała do Anglii i pragnęła tylko stać przed pałacowymi bramami, by choć zerknąć na króla, którego kochała. Nigdy się nie spotkali, lecz co rano, gdy się budziła, pierwszą myśl poświęcała jemu.

Podniosłem się. Rachael mówiła do mnie coś, czego nie słyszałem, ale i tak przytaknałem.

Ta kobieta była przekonana, że całe londyńskie towarzystwo rozprawia o jej romansie z królem, a jego to głęboko niepokoi. Gdy przybywszy z kolejną wizytą, nie mogła znaleźć miejsca w hotelu, uznała, że to monarcha użył swych wpływów, by uniemożliwić jej pobyt w Londynie. Była pewna tylko jednego: że król ją kocha. Ona również go kochała, lecz jednocześnie żywiła ku niemu gorzką niechęć. Odtrącił ją, a jednak nigdy nie przestawał podsycać w niej nadziei. Wysyłał sygnały, które ona jedna mogła odczytać, i dawał jej do zrozumienia, że chociaż ta miłość jest dlań tak niedogodna, ambarasująca i niestosowna, pokochał ją na zawsze. Wykorzystywał zasłony w oknach pałacu Buckingham, by się porozumiewać z ukochaną, która pędziła życie w więziennym mroku swoich złudzeń. Francuski psychiatra, który ją leczył, uznał tę beznadziejną i zgorzkniałą miłość za objaw choroby i nadał jej nazwę. De Clerambault.

Gdy Jean Logan ujrzała, że wstałem, wywnioskowała, że zamierzam wyjść. Podeszła do biurka, przy którym wypisała nazwiska i numery.

Dzieci znowu się do mnie zbliżyły.

– Wpadło mi do głowy jeszcze jedno – rzekła Rachael.

– Doprawdy? – Trudno się było na niej skupić.

– Nasz nauczyciel opowiadał, że w większości krajów świata nie używa się chusteczek i można wycierać nos o tak. – Ścisnęła mostek nosa między dwoma palcami, pozostałe odsunęła od nozdrzy i prychnęła na mnie pogardliwie. Jej brat zaskowyczał z radości.

Wziąłem zwinięty skrawek papieru od Jean Logan, po czym razem opuściliśmy pokój i brązowym holem doszliśmy do frontowych drzwi. Jeszcze zanim się tam znaleźliśmy, wróciłem myślą do Clerambaulta. Do syndromu Clerambaulta. Nazwisko to brzmiało jak fanfara, czysty dźwięk trąbki przywracający mnie do moich własnych obsesji. Będę teraz musiał przeprowadzić poszukiwania i wiem dokładnie, od czego zacząć. Syndrom to rama przepowiedni, co dawało pewną pociechę. Poczułem się niemal szczęśliwy, gdy pani Logan otworzyła mi frontowe drzwi i cała nasza czwórka wyszła na wyłożoną tłuczniem ścieżkę, by się pożegnać. Byłem w takim stanie ducha, jakby mój dawny profesor zaproponował mi u siebie stanowisko naukowe.

Jean Logan podziękowała mi za wizytę, a ja obiecałem, że zadzwonię, jak tylko załatwię wszystkie telefony. Teraz, gdy odjeżdżałem, dzieci trzymały się z dala. Znowu byłem obcy. Ścisnąłem nos i wykonałem bardziej uprzejmą wersję prychnięcia Rachael. Nagrodziły mnie wymuszonymi uśmiechami. Wyciągnąłem do nich rękę, tak że musiały nią potrząsnąć. Idąc ścieżką, nie mogłem oprzeć się uczuciu, że moje odejście przywraca ich do nieobecności ojca. Rodzina zebrała się przy frontowych drzwiach, matka opierała ręce na ramionach dzieci. Gdy podszedłem do samochodu i otworzyłem drzwi, odwróciłem się, by wydać ostatni, pożegnalny okrzyk, ale cała trójka weszła już do środka.

## 15

W drodze do domu skręciłem z autostrady na południe, ku wzgórzom Chilterns, i wjechałem na pole. Zaparkowałem dokładnie tam, gdzie zatrzymał się wówczas Logan, na łagodnym, porośniętym trawą wzniesieniu. Stojąc przy drzwiach od strony pasażera, doskonale widziałaby całą tragedię: od chwili, gdy balon włókł się przez pole, po zmagania z linami i upadek. Nie mogłaby zobaczyć miejsca, w którym wylądował. Wyobrażałem ją sobie, śliczną, nieco po dwudziestce, szalejącą z rozpaczy, jak biegnie z powrotem drogą do najbliższej wioski. Mogła też pomknąć w drugą stronę, ze wzgórza do Watlington. Stałem tam, gdzie przedtem znajdowała się ona, i wyobrażałem sobie tajemne telefony lub liściki poprzedzające ich piknik. Może się kochali. Czy jako szacowny ojciec rodziny cierpiał udręki winy i niezdecydowania? A jakaż to gwałtowna zmiana sytuacji dla niej: od spodziewanej idylli z uwielbianym mężczyzną po koszmar, moment, wokół którego obracać się będzie odtąd jej życie. A choć była tak przerażona, pamiętała, by zabrać z samochodu swoje rzeczy – pewnie płaszcz i torbę, ale zapomniała już o jedzeniu na piknik i apaszce – po czym ruszyła biegiem. Nie byłem zdziwiony, że się nie ujawniła. Siedziała w domu, czytała gazety i popłakiwała w łóżku.

Ruszyłem przez pole bez żadnego szczególnego celu. Wszystko wyglądało inaczej. W ciągu niespełna dwóch tygodni żywopłoty i okoliczne drzewa zrobiły się gęściej sze dzięki pierwszym wiosennym przyrostom, a trawa pod stopami zapowiadała późniejszy bujny rozkwit. Jakby biorąc udział w policyjnej rekonstrukcji wydarzeń, wszedłem na ścieżkę, którą wędrowaliśmy wraz z Clarissą aż do kępy drzew, gdzie schroniliśmy się przed wiatrem. Miałem wrażenie, że znalazłem się w miejscu na poły zapamiętanym z dzieciństwa. Byliśmy tak szczęśliwi z naszego spotkania, tak swobodnie czuliśmy się w swoim towarzystwie – a teraz nie potrafię sobie wyobrazić powrotu do owej niewinności.

Stamtąd wolnym krokiem poszedłem na środek pola, tym samym torem, którym wtedy biegłem, do punktu, gdzie złączyły się nasze losy, a potem wzdłuż trasy, którą prowadził nas wiatr, aż na skraj skarpy. Oto przecinająca pole ścieżka, która przywiodła Parry'ego do mojego życia. Cofając się do miejsca, w którym teraz stoi mój samochód, znajdziemy się w punkcie, gdzie Logan się zatrzymał. Tu, gdzie teraz jestem, staliśmy i patrzyliśmy, jak spada z nieba, wtedy to również Parry podchwycił moje spojrzenie i poraziło go uczucie, którego chorobliwy charakter jak najszybciej chciałbym wyjaśnić.

To były stacje mojej drogi krzyżowej. Zszedłem ze wzgórza i ruszyłem polami do następnego miejsca. Owce już opuściły pastwisko, a drobna dróżka za żywopłotem biegła bliżej, niż pamiętałem. Szukałem wgłębienia w ziemi, ale ujrzałem tam tylko kępki młodych pokrzyw, ciągnące się aż do bramy, po której wspiął się policjant. Tu Parry chciał się modlić i stąd właśnie odszedłem. I teraz odchodziłem, usiłując sobie wyobrazić, jakim sposobem z mojej postawy odczytał odrzucenie.

Tym razem wspinaczka na szczyt wzgórza kosztowała mnie więcej wysiłku niż poprzednio. Wówczas adrenalina dodała sił członkom i przyspieszyła każdą myśl. Teraz w mięśniach moich ud tkwiła głęboka niechęć i słyszałem, jak wali mi serce. Gdy przystanąłem na górze, by trochę odpocząć, rozejrzałem się wokół. Jakieś czterdzieści hektarów pól i jedno strome zbocze. Miałem wrażenie, jakbym nigdy nie opuścił tego miejsca; te zielono malowane równiny stanowiły obiekt mego zainteresowania i wcale bym się tak bardzo nie zdziwił, gdyby z różnych stron zaczęli się do mnie zbliżać Clarissa, John i Jean Loganowie, kobieta o nieznanym nazwisku, Parry i de Clerambault. Wyobrażając to sobie, widząc, jak przybywają, by przyprzeć mnie do krawędzi skarpy w kształcie końskiej podkowy, nie miałem wątpliwości, że nadciągną, by mnie wspólnie oskarżyć – ale o co? Gdybym wiedział od razu, nie tak łatwo poddałbym się oskarżeniu. Słabość natury, nieudane przejście do przestrzeni psychicznej, równie trudne do opisania jak pierwsze zetknięcie się z rachunkami. Clarissie przysłuchiwałbym się o każdej porze, choć obecnie nie



wierzimy naszym wzajemnym sądom. Lecz teraz fascynował mnie Francuz w dwurzędowym garniturze.

Zawróciłem przez pole ku swojemu samochodowi. W istocie myśl Clerambaulta była prosta, lecz człowiek, który miał teorię na temat patologicznej miłości i dał jej swe nazwisko niczym pan młody u ołtarza, bezsprzecznie musi odsłonić, nawet niechcący, naturę samej miłości. Jeśli bowiem istnieje patologia, nieodległe musi być też pojęcie zdrowia. Syndrom de Clerambaulta był ciemnym, zniekształcającym zwierciadłem, ukazującym w złośliwym świetle promienny świat kochanków, których wariackie zatopienie się w miłości nie jest szaleństwem. (Przyspieszyłem kroku. Samochód był ode mnie o jakieś czterysta metrów i teraz widziałem z całą pewnością, że przednie drzwi są szeroko otwarte, niczym skrzydła). Choroba i zdrowie. Innymi słowy, czego mogę dowiedzieć się o Parrym, co przywróciłoby mnie Clarissie?

Autostrada do Londynu była zatłoczona, toteż zaparkowałem przed swoją kamienicą niemal po dwóch godzinach. Rozmyślałem po drodze o tym indywiduum i spodziewałem się, że je tam zastanę, lecz gdy wysiadając z samochodu, ujrzałem, że na mnie czeka, serce fiknęło mi koziółka. Zatrzymałem się, nim przeszedłem przez ulicę. Drań zajął pozycję przy wejściu, żebym musiał go ominąć. Widać było, że się wystroił: czarny garnitur, biała koszula zapięta po szyję, czarne skórzane buty z białymi wstawkami. Wpatrywał się we mnie, lecz z jego twarzy niczego nie mogłem wyczytać. Podeszedłem ku niemu szybkim krokiem, w nadziei, że go ominę i wejdę do środka, ale stanął mi na drodze i musiałbym albo się zatrzymać, albo go odepchnąć. Był spięty, może nawet zły. W ręce trzymał kopertę.

– Przeszkadzasz mi przejść – powiedziałem.

– Dostałeś mój list?

Postanowiłem prześlizgnąć się obok niego, wpychając go na niski ligustrowy żywopłot porastający obie strony ścieżki, lecz zastawił sobą całą dróżkę, a nie chciałem go dotykać.

– Przepuść mnie, bo wezwę policję.

Ochoczo pokiwał głową, jakbym zapraszał go na drinka.

– Ale najpierw to przeczytaj – rzekł. – To bardzo ważne? Wziąłem od niego kopertę, mając nadzieję, że wtedy mnie przepuści. Ale to mu nie wystarczyło. Chciał mi jeszcze coś powiedzieć. Najpierw zerknął na istotę za swoim ramieniem. Gdy się odezwał, mówił na przydechu i słyszałem, jak wali mu serce. Na tę chwilę się przygotowywał.

– Opłaciłem archiwistę, który wyszukał dla mnie wszystkie twoje artykuły. Przeczytałem je zeszłej nocy, wszystkie trzydzieści pięć. Mam też twoje książki.

Spojrzałem na niego i czekałem. Coś się zmieniło w jego sposobie bycia. Wyczuwało się w nim tęsknotę, ale i surowość, inne też miał oczy – zrobiły się mniejsze.

– Wiem, co usiłujesz zrobić, ale nigdy ci się to nie uda. Nawet gdybyś napisał milion tekstów, a ja przeczytałbym je wszystkie, nie zniszczysz tego, co ja mam. Takich rzeczy nie można odebrać.

Wyraźnie się spodziewał, że mu zaprzeczę, lecz ja zaplotłem ręce na piersi i czekałem dalej, skupiając uwagę na czarnej rance tuż przy linii włosów – musiał zaciąć się przy goleniu. Potem mówił chyba, jak łatwo mu przyszło znaleźć archiwistę, ale nie jestem pewien. Starannie rozważyłem jego słowa i zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem mi nie groził. Ale w sumie nietrudno poczuć się zagrożonym, toteż nie bardzo wiedziałem, co o tym myśleć.

– Wiesz, że nieźle mi się powodzi – powiedział. – Bez kłopotu mogę wynająć sobie ludzi do roboty. Każdej. Zawsze ktoś potrzebuje pieniędzy. Aż dziw, jak tanio wychodzi płacenie ludziom za coś, czego samemu nigdy by się nie zrobiło? – Pseudopytanie zawisło w powietrzu, a on nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Mam telefon w samochodzie. Jeśli nadal będziesz tarasował mi drogę, dzwonię na policję.

Miałem to samo gorejące spojrzenie co przedtem. Surowość zniknęła z oczu Parry'ego, gdy z wdzięcznością przyjął uczucie, które wykrył w moim ostrzeżeniu.

– W porządku, Joe. Naprawdę. Dla mnie to też jest trudne. Rozumiem cię tak dobrze jak ty mnie. Możesz mówić ze mną otwarcie. Nie musisz ukrywać się za kodami, naprawdę.

– Nie ma żadnego kodu. Przyznaj lepiej, że potrzebujesz pomocy – powiedziałem, cofając się i odwracając do swego samochodu.

Jeszcze zanim skończyłem, roześmiał się, a raczej zapał, i klepnął się w udo w kowbojskim stylu. Musiał usłyszeć ode mnie okrzyk szydzący z miłości. Niemal wrzeszczał z uciechy.

– Zgadza się. Mam wszystko i wszystkich po swojej stronie. Będzie tak, jak ja chcę, Joe, i nic nie możesz na to poradzić!

Choć był niespełna rozumu, cofnął się jednak i pozwolił mi przejść. Czy to sobie wykalkulował? Nie mogłem nawet ufać jego szaleństwu i choćby tylko dlatego chętnie skończyłem rozmowę i wszedłem do środka. Policja naturalnie nic by mi nie pomogła. Nie odwróciłem się nawet, żeby spojrzeć, czy Parry zamierza wystawać w pobliżu. Nie chciałem, by wiedział, że jest dla mnie utrapieniem, co niewątpliwie sprawiłoby mu satysfakcję. Włożyłem kopertę do tylnej kieszeni i przeskakiwałem schody po dwa naraz. Odległość i wysokość, które stworzyłem między nami w ciągu piętnastu sekund, zadziałały jak środek przeciwbólowy. Roztrząsanie przypadku Parry'ego w odniesieniu do jego syndromu mogłem jeszcze znieść, a nawet się tym rozkoszować, lecz gdy jego samego znowu spotkałem na ulicy, zwłaszcza teraz, po przeczytaniu pierwszego listu, wystraszyłem się. Moja obawa da mu wielką władzę. Mogłoby nawet dojść do tego, że wolałbym nie wracać do domu. Gdy dotarłem do podestu przed naszym mieszkaniem, zastanawiałem się, czy w istocie mi groził. Skoro tak łatwo poszło mu z wynajęciem archiwisty, bez trudu też przekupi paru zbirów, by skatowali mnie do nieprzytomności. A może przesadzam.

Niejednoznaczność podsycała moje obawy – wszystkie groźby były znakomicie zawołowane.

Takimi torami biegły moje myśli, gdy otworzyłem drzwi i wszedłem do przedpokoju. Stałem tam przez chwilę, chwytając oddech, odczytując znaczenie ciszy, woń powietrza. A choć torba Clarissy nie leżała na podłodze przy drzwiach, a jej żakiet nie wisiał na oparciu krzesła, wyczułem przez skórę, że wróciła z pracy i że dzieje się coś niedobrego. Zawołałem japo imieniu i nie słysząc odpowiedzi, wszedłem do saloniku. Ma on kształt litery „L”, toteż musiałem przejść kilka kroków, by się upewnić, że tam jej nie znajdę. Wydawało mi się, że usłyszałem jakiś dźwięk w przedpokoju, z którego właśnie wyszedłem, toteż znowu krzyknąłem jej imię. Budynki mają własne archiwa trzasków i skrzypień, wywoływanych zazwyczaj drobnymi zmianami temperatury, nie zdziwiłem się zatem, że wróciwszy, nikogo nie zastałem, choć nadal byłem pewien, że Clarissa znajduje się gdzieś w mieszkaniu. Wszedłem do sypialni, myśląc, że może się zdrzemnęła. Buty, które wkładała do pracy, stały obok siebie, a na narzucie odcisnęło się wgłębienie w miejscu, gdzie leżała. Nic nie wskazywało na to, że korzystała z łazienki. Szybko przeszukałem inne pomieszczenia: kuchnię, jej gabinet, sypialnię dzieci, sprawdziłem też rygiel w drzwiach prowadzących na dach. Dopiero później spojrzałem na sprawę inaczej i nakreśliłem logiczny ciąg wydarzeń: wróciła do domu, zrzuciła buty, wyciągnęła się na chwilę na łóżku, włożyła inną parę butów i wyszła. Wzburzony spotkaniem z Parrym, zareagowałem zbyt nerwowo na panującą w domu ciszę.

Poszedłem do kuchni, by napełnić czajnik. Potem udałem się do gabinetu i tu ją znalazłem. Było to całkiem oczywiste, niemniej odczułem wstrząs. Popatrzyłem na nią, jakbym widział ją pierwszy raz. Była boso, spoczywała bezwładnie w moim obrotowym fotelu, plecami do biurka, a twarzą do drzwi. Po wszystkim, co wydarzyło się tego dnia, powinienem był się domyślić. Wchodząc do gabinetu, odwzajemniłem jej spojrzenie, po czym zapytałem:

– Dlaczego mi nie odpowiedziałaś?

– Myślałam, że najpierw zajrzesz tutaj – odparła. Gdy zmarszczyłem brwi, dodała: – Nie przypuszczałeś, że gdy wyjdiesz, przejrzę papiery na twoim biurku? Czyż nie tak się wobec siebie ostatnio zachowujemy?

Ze znużeniem usiadłem na tapczanie. Byłem tak dalece winien, że aż poczułem się wyzwolony. Nie miałem po co walczyć, szermowanie argumentami wydało mi się bezsensowne.

Była spokojna i bardzo zła.

– Siedzę tu od pół godziny, usiłując wzbudzić w sobie pokusę otwarcia jednej z tych szuflad i przejrzenia twoich listów. I czy uwierzysz, że nie mogę wykrzesać z siebie najmniejszej ciekawości? Czy to nie straszne? Nie obchodzą mnie twoje sekrety, a jeśli ich nie masz, też mnie to nie obchodzi. Gdybyś poprosił, bym pokazała ci moje listy, powiedziałabym: owszem, proszę bardzo. Nie mam przed tobą niczego do ukrycia. – Podniosła nieco głos, w którym usłyszałem drżenie. Jeszcze nigdy nie widziałem jej w takiej furii. – Zostawiłeś nawet otwartą szufladę, tak że zorientowałam się od razu. To stwierdzenie, przesłanie, od ciebie do mnie, to sygnał. Kłopot w tym, że nie wiem, co on oznacza. Może jestem strasznie głupia. Więc powiedz mi, o co chodzi, Joe. Co chcesz mi przekazać?

## 16

Kochany Joe! Student, którego zatrudniłem, zadzwonił do mojej bramy o czwartej po południu, a ja wyszedłem, by się z nim spotkać. Dałem mu pięćset funtów za pracę dla mnie w tym tygodniu, on zaś wręczył mi przez pręty kłęb papierów. Trzydzieści pięć fotokopii twoich artykułów. Odszedł szczęśliwy, ale co ze mną? Nie miałem pojęcia, jaka noc mnie czeka. Może będą to najgorsze godziny mojego życia. To była męka, Joe, stanąć tak twarzą w twarz z twoimi smutnymi, jałowymi myślami. I pomyśleć tylko o durniach, którzy ci za nie dobrze płacą, i Bogu ducha winnych czytelnikach, którym swoimi koncepcjami zatruwasz cały dzień!

Usiadłem w pokoju przez moją matkę nazywanym biblioteka, choć półki w nim są dość puste, i przeczytałem wszystko do ostatniej literki, słysząc w głowie każde słowo, jakbyś mówił wprost do mnie. Twoje artykuły odczytałem jak listy, które wysyłałeś w przeszłość wspólną dla nas obu. Cały czas się zastanawiałem, co usiłujesz mi wyrządzić. Zranić mnie? Obrazić? Poddać próbie? Nienawidziłem cię za to, ale cały czas pamiętałem również, że cię kocham, i dzięki temu dałem radę czytać dalej. Potrzebuje mojej pomocy – powtarzałem sobie, gdy tylko chciałem poniechać lektury – muszę go wyzwolić z tej klateczki rozumu. Chwilami się zastanawiałem, czy naprawdę pojmuję, czego Bóg chce ode mnie. Czy mam oddać w Jego ręce autora tych wstrętnych tekstów, skierowanych przeciw Niemu? Może byłem przeznaczony do czegoś prostszego i czystszeo. Wiedząc, że piszesz o nauce, nie zdziwiłbym się, gdybym poczuł się zbity z tropu albo znudzony, nie miałem jednak pojęcia, że powoduje tobą pogarda.

Pewnie zapomniałaś już o artykule, który napisałaś przed czterema laty dla „New Scientist”, o najnowszych pomocach technicznych biblistyki. A kogo obchodzi data powstania Całunu Turyńskiego ustalona metodą węglową?! Czy sądzisz, że ludzie zmieniają przekonania religijne, gdy się dowiedzą, że była to

średniowieczna mistyfikacja? Czy uważasz, że wiara zależy od rozmiarów gnijącego materiału? Ale inny fragment, o Panu Bogu, naprawdę wytrącił mnie z równowagi. Pewnie w zamyśle miał to być żart, co tylko pogarsza sprawę. Udajesz, że wiesz, kim czy też czym On jest – postacią fikcyjną, powiadasz, kimś w rodzaju bohatera powieści. Uważasz, że największe umysły w tej dziedzinie gotowe są zaryzykować „naukową hipotezę”, mówiącą, kto stworzył ideę Jahwe, i że dowody wskazują na kobietę żyjącą około roku 1000 p.n.e., Batszebę, Chetytkę, która spała z Dawidem. Powieściopisarka wymyśliła Boga! Najświetniejsze umysły raczej by się unicestwiły, niż założyły, że wiedzą tak wiele. Zajmujesz się osobą, której ani ty, ani żaden śmiertelnik nie może objąć myślą. Twierdzisz dalej, że Jezus Chrystus również był postacią fikcyjną, którą stworzył głównie święty Paweł i „ktokolwiek”, kto napisał ewangelię świętego Marka. Modliłem się za ciebie, modliłem się o siłę, bym mógł stanąć z tobą twarzą w twarz, bym kochał cię, nie będąc ściągany w otchłań. Jak można jednocześnie kochać Boga i ciebie? Tylko dzięki wierze, Joe. Nie dzięki faktom czy faktom udawanym ani intelektualnej arogancji, lecz wierząc w bożą mądrość i miłość jako żywą obecność w naszym życiu – obecność, którą nigdy nie zostanie obdarzona żadna ludzka istota, nie mówiąc już o postaci literackiej.

Byłem chyba naiwny, sądząc, że w owym pierwszym porywie uczucia, które do ciebie powziąłem, wszystko pójdzie gładko po prostu dlatego, że tak bardzo tego pragnąłem. Gdy nadszedł świt, miałem jeszcze dziesięć artykułów do przeczytania. Pojechałem taksówką pod twój dom. Spałeś, nie wiedząc, jak kruchą jesteś istotą, niepomny na ochronę czerpaną ze źródła, którego istnieniu zaprzeczasz. Życie było dla ciebie bardzo łaskawe i stojąc tam na chodniku, zacząłem chyba myśleć, że jesteś niewdzięczny. Pewnie nigdy nie przychodzi ci do głowy, by podziękować za łaski, które na ciebie spłynęły. Czy wszystko stało się dzięki ślepemu przypadkowi? Sam do wszystkiego doszedłeś? Martwię się o ciebie, Joe. Martwię się, że twoja arogancja sprowadzi na ciebie jakieś nieszczęścia. Przeszedłem przez ulicę i położyłem rękę na

żywopłocie. Tym razem nie otrzymałem żadnej wiadomości. Dlaczego miałbyś mówić do mnie, skoro nie musisz? Uważasz, że masz wszystko, że samodzielnie zaspokoisz wszystkie swoje potrzeby. Ale bez poczucia bożej miłości żyjesz na pustyni. Gdybyś zdołał tylko w pełni zrozumieć, co ci ofiarowuję! Obudź się!

Mógłbyś odnieść wrażenie, że nienawidzę nauki. W szkole nigdy nie szło mi dobrze z przedmiotów ścisłych, a i teraz niezbyt mnie interesują najnowsze osiągnięcia, ale wiem, że to cudowna rzecz. Badanie i obmierzanie natury to nic innego jak rozszerzona forma modlitwy, wysławianie chwały boskiego wszechświata. Im więcej dowiadujemy się o misternych zawiłościach Jego dzieła, tym bardziej uświadamiamy sobie naszą niewiedzę i małość. Dał nam umysły, obdarzył cudowną mądrością. Jakież to smutne i dziecinne, że ludzie wykorzystują ten dar, by przeczyć Jego istnieniu. Piszesz, że ostatnimi laty zgłębiliśmy chemię w wystarczającym stopniu, by dojść, jak powstało życie na Ziemi. Małe zbiorniki mineralne podgrzane słońcem, połączenia chemiczne, łańcuchy protein, aminokwasy, itd. Pierwotna zupa. Wypłoszyliśmy Boga z tej akurat opowieści, powiadasz, i teraz zapędziliśmy Go do ostatniej reduty, pośród cząstek i molekuł fizyków kwantowych. Ale nic z tego nie wychodzi, Joe. Opis przygotowania zupy nie wyjaśnia, dlaczego ją sporządzono ani kto jest szefem kuchni. To małostkowa tyrada przeciw nieskończonej mocy. Gdzieś pośród twych uroczyстых zapewnień na temat Boga kryje się błaganie, by wybawił cię z pułapek logiki, którą się posługujesz. Twoje artykuły to w sumie długi okrzyk samotności. Owo wypieranie się nie daje ci szczęścia. Na co ci to?

Wiem, że mnie nie posłuchasz – na razie. Zawzięłeś się, zgromadziłeś wszelkie argumenty na swoją obronę. Odpowiada ci myśl, że jestem szaleńcem; dzięki niej czujesz się bezpieczny. Ratunku! Przed domem stoi człowiek, który ofiarowuje mi miłość, i to miłość Boga! Wezwijcie policję, wezwijcie karetkę! Z Joem Rose'em nie dzieje się nic złego. Jego świat jest w porządku, wszystko do siebie pasuje, a wszelkie kłopoty powoduje ten cierpliwy idiota Jed Parry, który wystaje na ulicy jak żebrak, w



nadziei, że choć przelotnie ujrzy ukochanego i ofiaruje mu swoją miłość. Co mam zrobić, byś zaczął mnie słuchać? Tylko modlitwa daje odpowiedź na to pytanie i tylko przez miłość zdołam do ciebie dotrzeć. Ale moja miłość nie jest już miłością błagalną. Nie tkwię przy telefonie, czekając na łaskawe słowa od ciebie. Nie panujesz nade mną, decydując o mojej przyszłości, nie masz dość mocy, by mi rozkazywać, abym robił, co ci się podoba. Moja miłość do ciebie jest niezłomna, żarliwa i nie pogodzi się z odmową. Sunie powoli ku tobie, by zawładnąć twoją duszą i ocalić ją. Innymi słowy, moja miłość – będąca również miłością bożą – jest twoim losem.

Twoje wypierania się i odmowy, wszystkie książki i artykuły – to jak tupanie nóżką zmęczonego berbecia. Zrozumiesz to z czasem i będziesz wdzięczny, kiedy ten moment nadejdzie.

Widzisz? Czytając ciebie przez całą noc, wzmocniłem swe siły. Oto, co sprawia miłość Boga. Jeśli teraz poczujesz się skrepowany, to dlatego, że zaczynają zachodzić w tobie zmiany i pewnego dnia z radością powiesz: „Wybaw mnie od bezsensowności”. Nadejdzie czas, gdy z weselem będziemy wspominać nasze utarczki. Wiedząc już, dokąd nas doprowadziły, z uśmiechem pomyślimy, jak ostro musiałem napierać, a ty za wszelką cenę starałeś się mnie odtrącić. A zatem, niezależnie od obecnego stanu twoich uczuć, proszę, nie wyrzucaj tych listów.

Kiedy podjechałem dziś wcześniej rano, nienawidziłem cię za to, co napisałeś. Chciałem cię zranić, a może zrobić coś jeszcze gorszego. Pomyślałem, że Bóg mi wybaczy. Jadąc do ciebie taksówką, wyobrażałem sobie, jak mówisz mi w swój chłodny sposób, że Bóg i Jego Jedyne Syn są tylko fikcyjnymi postaciami, jak James Bond czy Hamlet. Albo że ty sam mógłbyś stworzyć życie w laboratoryjnej probówce, jeśli miałbyś do dyspozycji garść chemikaliów i parę milionów lat. Nie chodzi tylko o to, że zaprzeczasz istnieniu Boga – sam chcesz zająć Jego miejsce. Taka duma może cię zniszczyć. Niektórych tajemnic nie wolno nam tknąć, wszyscy musimy nauczyć się też pokory, a ja nienawidziłem cię, Joe, za twoją arogancję. W każdej sprawie

chcesz mieć ostatnie słowo. Wiem coś o tym po przeczytaniu trzydziestu pięciu twoich artykułów. Nie ma w nich miejsca na najmniejszą wątpliwość, wahanie, nigdy też nie przyznajesz się do niewiedzy. Znasz najnowsze prawdy na temat bakterii, cząsteczek, rolnictwa, owadów, pierścieni Saturna, harmonii muzycznej, teorii ryzyka i migracji ptaków... Mój mózg był jak pralka – pienił się i wirował, pełen twoich brudów. Czy możesz mieć do mnie żal, że nienawidzę cię za rzeczy, którymi wypełniasz swój umysł – satelity, nanotechnologie, inżynierię genetyczną, biokomputery, silniki na wodór. To wszystko jest na sprzedaż. Kupujesz jak leci i wzbudzasz w innych entuzjazm do danego towaru, niczym spec od reklamy, wynajęty, by zachwalać cudze wyroby. W ciągu czterech lat uprawiania dziennikarstwa ani słowem nie zająkałeś się o sprawach istotnych, takich jak miłość i wiara.

Może jestem zły dlatego, że chcę, byśmy jak najprędzej rozpoczęli nasze wspólne życie. Pamiętam, jak kiedyś w czasie wakacji wybrałem się z moją szkołą na pieszą wyprawę do Szwajcarii. Kiedyś przez cały ranek wspinaliśmy się nudną skalistą ścieżką. Wszyscy narzekaliśmy – było tak gorąco i nie widzieliśmy najmniejszego sensu tej wycieczki, ale nauczyciel kazał nam iść dalej. Około południa dotarliśmy na wysoko położoną alpejską łąkę – wielką słoneczną połąć kwiatów, traw, intensywnie zielonych mchów porastających brzegi strumyka. Było to cudowne miejsce. Normalnie stanowiliśmy rozkrzyczaną bandę dzieciaków, lecz nagle zaczęliśmy zachowywać się bardzo cicho. Ktoś szepnął, że czuje się, jakbyśmy przybyli do raj. Była to wielka chwila w moim życiu. Myślę, że gdy przezwyciężymy nasze trudności, gdy sprowadzisz się tu i będziemy razem, poczujemy się, jakbyśmy przybyli na tę łąkę. Dość wspinania się po skałach! Będziemy mieli spokój i bezmiar czasu.

I jeszcze ostatnia sprawa, o której chciałem ci powiedzieć. Wpadłem ni stąd, ni zowąd w twoje życie, podobnie jak ty w moje. Na pewno nie chciałeś, żeby do tego doszło. Twój żywot wywróci się teraz do góry nogami. Musisz powiedzieć Clarissie, trzeba będzie przenieść twoje rzeczy, a pewnie większości ich i tak zechcesz się pozbyć. Czekają cię rozmowy z wszystkimi twoimi

przyjaciółmi, spodziewającymi się nie tylko wyjaśnienia zmiany adresu, ale i rewolucji twoich przekonań. To ból i utrapienie, których wcale nie pragniesz. Czasami będziesz żałował, że zakłóciłem twoje uporządkowane i przyjemne życie. Nieraz zapragniesz, bym się w ogóle nie urodził. To zrozumiałe i nie powinienes dręczyć się z tego powodu poczuciem winy. W złości spróbujesz mnie przepędzić, bo uosabiam przewrót i zamieszanie. I tak właśnie musi być. To stroma, skalista ścieżka! Dla wszystkiego, co czujesz, musisz znaleźć wyraz. Przeklinaj mnie, ciskaj kamieniami w moją głowę, przyłóż mi – jeśli się ośmielisz. Ale na naszej wspólnej drodze ku łące jednego nie wolno ci robić: nie zwracać na mnie uwagi, udawać, że nic się nie dzieje, zaprzeczać trudnościom czy cierpieniom miłości. Nigdy nie mijaj mnie, jakbym nie istniał. Żadnego z nas nie da się oszukać. Nigdy nie zaprzeczaj rzeczywistości mego istnienia, gdyż w końcu wyprzesz się samego siebie. Rozpacz, którą czułem, ponieważ odrzuciłeś Boga, bierze się po części z tego, że odrzuciłeś mnie. Zaakceptuj moją osobę, a przekonasz się, że bez namysłu zaakceptowałeś Boga. A więc obiecaj mi to. Okaż swoją wściekłość czy gorycz. Nie będę miał nic przeciwko temu. Nigdy cię nie opuszczę. Ale nigdy, przenigdy nie udawaj przed sobą, że nie istnieje.

Nie mam pojęcia, jak do tego doszło, ale leżeliśmy w łóżku twarzami do siebie, jakby nic złego się nie działo. Mogło to wynikać ze zwykłego zmęczenia. Było już bardzo późno, dawno minęła północ. Cisza wydawała się tak nabrzmiała, jakby przyjęła widzialną postać iskry czy błyskotliwego połysku, miała też w sobie gęstość świeżej farby. Ta synestezja musiała być spowodowana moją dezorientacją, gdyż doznawałem znajomego uczucia, leżąc w zielonym polu wzroku Clarissy, w objęciach jej gładkich, szczupłych ramion. Było to też nieoczekiwane. Nie swarzyliśmy się, ale wszystko między nami zamarło. Zachowywaliśmy się jak dwie stojące naprzeciw siebie armie, które odgradza labirynt okopów. Zastygliśmy. Jedyne ruch tworzyły milczące oskarżenia, falujące nad naszymi głowami niczym szturmówki. W jej oczach byłem maniakiem, opanowanym perwersyjną obsesją, a co najgorsze – intruzem w jej prywatnej przestrzeni, niemal złodziejem. W moim mniemaniu to ona była nielojalna, nie udzielając mi wsparcia w momencie kryzysu, stała się też bezpodstawnie podejrzliwa.

Nie dochodziło między nami do awantur, ani nawet utarczek, jakbyśmy wyczuwali, że bezpośrednie starcie zniszczy nasz związek. Rozmawialiśmy ze sobą oględnie, gawędziliśmy o pracy i wymienialiśmy informacje na temat zakupów, gotowania i domowych napraw. Clarissa codziennie wyjeżdżała z domu, by prowadzić seminaria i wykłady oraz walczyć z kierownictwem. Ja spłodziłem długą i nudną recenzję pięciu książek o świadomości. Gdy zacząłem uprawiać popularyzację nauki, „świadomość” w znacznym stopniu była słowem wyklętym z rozpraw naukowych. Nie stanowiła chwytliwego tematu. Teraz znajduje się na poczesnym miejscu wraz z czarnymi dziurami i Darwinem, ma chyba nawet większe wzięcie niż dinozaury.

Nie zmieniliśmy naszego trybu życia, gdyż tylko to stanowiło dla nas punkt oparcia. Wiedzieliśmy, że nie mamy już do siebie serca, że je straciliśmy. Zabrakło nam miłości albo też

postradaliśmy umiejętność jej okazywania i nie potrafiliśmy o tym rozmawiać. Spaliśmy w tym samym łóżku, lecz nie w swoich ramionach. Korzystaliśmy z tej samej łazienki, lecz nigdy nie oglądaliśmy się nago. Bardzo się staraliśmy odnosić do siebie z sympatią, gdyż widzieliśmy jasno, że najmniejsze ochłodzenie stosunków, na przykład okazywanie sobie tylko poprawnej uprzejmości, odsłoni pustkę naszego pożycia i doprowadzi do konfliktu, którego pragnęliśmy uniknąć. To, co niegdyś było naturalne, jak akt miłosny, długie rozmowy czy milczące przebywanie w swoim towarzystwie, teraz wydawało się tak skomplikowane jak chronometr mechaniczny Harrisona, diabelnie trudny do skonstruowania i dziś już całkiem nie na czasie. Gdy patrzyłem na nią, jak szcztokuje włosy lub pochyla się, by podnieść książkę z podłogi, przypominałem sobie jej urodę niczym jakiś podręcznikowy fakt, którego wykułem się na pamięć – prawdziwy, lecz pozbawiony bezpośredniego znaczenia. I widzę też siebie w jej oczach: potężnego, prostackiego niezgułę, bysia kierującego się tylko popędami, olbrzymiego polipa banalnej logiki, z którym pochopnie się związała. Gdy do niej mówiłem, mój głos dźwięczał mi w czaszce bezbarwnie i monotonnie; nie tylko każde zdanie, ale wręcz i słowo zdawało się kłamliwe. Stłumiony gniew, kryjąca się w każdej drobince mego ciała odraza do samego siebie to były moje żywioły, mój koloryt. Gdy nasze oczy się spotykały, miałem wrażenie, że upiorne, gorsze części naszych jaźni unoszą ręce, przesłaniając twarze, by uniemożliwić szansę porozumienia. Ale rzadko wymienialiśmy spojrzenia, a gdy do tego dochodziło, stykaliśmy się wzrokiem najwyżej na kilka sekund, po czym nerwowo umykaliśmy gdzieś w bok. Nasze dawne, kochające się „ja” nigdy by nas nie zrozumiały ani by nam nie przebaczyły. I tak to trwało – nie przyznawaliśmy tego otwarcie, lecz głównym uczuciem panującym w naszym domu był wstyd.

Tak jest i teraz: między pół do drugiej a drugą w nocy leżymy w łóżku, wpatrując się w siebie przy słabym świetle jedynej lampy, ja nagi, ona w bawełnianej nocnej koszuli; stykamy się dłońmi i rękami całkiem neutralnie, bez najmniejszego zaangażowania. Wokół nas piętrzą się najrozmaitsze pytania, lecz

ani ona, ani ja nie ośmielamy się odezwać. Wystarcza, że zdołamy spoglądać sobie w oczy.

Jak już mówiłem, nadal rozmawialiśmy ze sobą o zwykłych sprawach, lecz jeden aspekt naszego życia tak dalece wrósł w naszą codzienność, że nie mogliśmy znieść dyskusji na ten temat. Często zauważamy, jak szybko rzeczy niezwykle stają się naszym chlebem powszednim. Dochodzę do takiego wniosku za każdym razem, gdy jadę w nocy autostradą albo lecę samolotem, który wznosi się ku słońcu przez pokrywę chmur. Szybko przystosowujemy się do warunków, w jakich przychodzi nam żyć. Rzeczy, które dają się przewidzieć, z definicji tworzą tło, dzięki czemu nic nie zakłóca naszej uwagi, byśmy tym lepiej radzili sobie z rzeczami przypadkowymi czy nieoczekiwanymi.

Parry przysyłał trzy, cztery listy tygodniowo. Zazwyczaj były długie, płomienne i w coraz większym stopniu skupione na czasie teraźniejszym. Często brał za temat proces pisania samego listu, pokój, w którym siedział, zmiany światła i pogody, swoje humory oraz radość płynącą stąd, że pisząc do mnie, potrafi wykreować moją obecność tuż u swego boku. Na zakończenie rozpisywał się o smutku, w jaki wprawia go nasze rozstanie. Jego odniesienia religijne mogłyby się wydawać pustymi formułkami, gdyby nie były tak żarliwe; jego miłość, cierpliwa i wszechogarniająca, przywodziła na myśl miłość Boga: to dzięki Parry'emu Bóg sprowadzi mnie do siebie. Zazwyczaj występował tam element oskarżenia, przewijający się jako główny motyw przez cały tekst albo skupiony w jednym bolesnym fragmencie: ja zacząłem ten romans, a zatem powinienem wziąć na siebie odpowiedzialność za Parry'ego. Igram z nim, bałamucą go, wysyłam zachęcające wieści, po czym odwracam się od niego. Złośliwiec ze mnie, kokiet, mistrz w zadawaniu powolnych cierpień, a także i geniusz, po mistrzowsku ukrywający przed światem swoje wyczyny. Nie przesyłam mu już wiadomości poprzez zasłonę czy ligustr. Teraz przemawiam do niego w marzeniach. Pojawiam się przed nim, promieniejąc niczym biblijny prorok, zapewniam go o swojej miłości i przepowiadam nadejście szczęśliwszych dni.

Nauczyłem się przerzucać wzrokiem te listy. Zatrzymywałem się tylko na oskarżeniach lub wyrazach zniechęcenia, zawsze szukając powtórzenia groźby, którą moim zdaniem rzucił przed domem. Listy te wrzały gniewem. W Parrym kryła się mroczność, lecz był zbyt sprytny, by pisać o niej wprost. Musiała nim jednak powodować, gdy pisał, że jestem źródłem całego jego bólu, kiedy dochodził do wniosku, że być może nigdy z nim nie zamieszkać, gdy dawał do zrozumienia, że cała ta sprawa „może przysporzyć nam tylko smutku i więcej łez, niż spodziewaliśmy się w najgorszych snach, Joe”. Pragnąłem czegoś więcej. Tęskniłem za tym. Daj mi broń do ręki, Jed. Jedna niewielka groźba wystarczy, by udać się z tą sprawą na policję, ale odmawiał mi tego, igrał ze mną i trzymał się na dystans, tak jak jego zdaniem czyniłem ja. Pragnąłem, by powtarzał swoją pogroźkę, gdyż musiałem być pewien, że jest dla mnie niebezpieczny, a skoro nie chciał mi dać tej satysfakcji, ciągle podejrzewałem, że prędzej czy później wyrządzi mi coś złego. Potwierdziły to moje badania. Dobrze ponad połowa pacjentów de Clerambaulta wedle jednej tylko analizy próbowała dokonać aktu przemocy wobec przedmiotów swojej obsesji.

Podobnie jak listy Parry'ego, tak i jego obecność przeszła w stały zwyczaj. Przychodził prawie codziennie i stawał po przeciwnej stronie ulicy. Najwyraźniej udało mu się uzyskać równowagę między wymogami czasu i zaspokojeniem swoich potrzeb. Jeśli nie zdołał mnie zobaczyć, sterczał przez godzinę, nim odszedł. Gdy widział, że wychodzę, szedł za mną kawałek, zawsze trzymając się swojej strony ulicy, potem skręcał w bok i odchodził, nie oglądając się. Wystarczało mu to, by podtrzymać swoją miłość, i – o ile zdołałem się zorientować – wracał wprost do domu do Hampstead, by zasiąść nad listem. Jeden z nich zaczynał się w ten sposób: „Zrozumiałem twoje spojrzenie dziś rano, Joe, ale uważam, że się mylisz...” Jednak nigdy nie wspomniał, że chciałby znowu ze mną porozmawiać, i nagle poczułem się bezradny, gdyż skoro nie chciał grozić mi listownie, miałem nadzieję, że może zdołam utrwalić jego słowa na taśmie. Nosilem mikroskopijny dyktafon w kieszeni, a mikrofon miałem

wpięty pod klapę. Wałęsałem się przy ligustrowym żywopłocie, przesuwalem po nim rękoma, by przekazać w ten sposób wiadomość, po czym odwracałem się ku Parry'emu i spoglądałem nań. Ale nie podszedł i nie nawiązał do tego wydarzenia w liście, który napisał wkrótce potem. Wzorzec jego miłości nie podlegał wpływom zewnętrznym, nawet jeśli pochodziły ode mnie. Jego świat kształtował się od wewnątrz pod naciskiem osobistych potrzeb, dzięki czemu pozostał nietknięty. Nie można było udowodnić mu winy, nie potrzebował też uzasadnień dla swych racji. Gdybym napisał doń list z wyznaniem namiętnej miłości, nie zrobiłoby to żadnej różnicy. Skulił się w celi własnego projektu, dzięki swej zmyślności wydobywając znaczenia, przesycając nieistniejące wymiany zdań dramatyzmem nadziei bądź rozczarowania. Zawsze badawczo przyglądał się fizycznemu światu, jego przypadkowemu położeniu, chaosowi dźwięków i barwom, odpowiednikom jego obecnego stanu emocjonalnego – i zawsze wprawiało go to w zadowolenie. Rozświeślał świat swymi uczuciami, a świat utwierdzał każdy zwrot jego emocji. Gdy pograżał się w większej rozpacz, to dlatego, że odczytywał mroczność w atmosferze albo odmianę ptasich treli, mówiącą mu o mojej pogardzie. Kiedy się radował, uzasadniał to jakąś z gruntu nieoczekiwaną przyczyną – miłą wieścią ode mnie przekazaną we śnie, przejawem „intuicji”, która „nawiedziła go” podczas modlitwy czy medytacji.

Skoncentrowany na sobie samym, zamknął się w miłosnym więzieniu, lecz niezależnie od tego, czy przeżywał radość czy rozpacz, nie mogłem go nakłonić, by mi zagroził albo choć ze mną porozmawiał. Trzykrotnie przeszedłem przez ulicę, zmierzając ku niemu z ukrytym, obracającym się magnetofonem, lecz nie chciał się zatrzymać.

– Więc się zabieraj! – krzyknąłem do jego oddalających się pleców. – Przestań się tu włóczyć. I nie nudź mnie więcej swymi głupimi listami. – Wracaj i porozmawiaj ze mną, o to mi naprawdę chodziło. Wróć stawić czoło beznadziejnej sprawie i wypowiedz swe otwarte groźby. Albo podaj mi je przez telefon. Zostaw na sekretarce.



Naturalnie to, co wykrzyczałem tego dnia, nie miało wpływu na ton listu, który otrzymałem nazajutrz. Tchnął szczęściem i nadzieją. Parry był niezachwiany w swym solipsyzmie, ja zaś dostawałem drgawek. Tok myślenia, który jednym susem mógł go zawieść od rozpaczki do nienawiści lub od miłości do zniszczenia, byłby procesem wewnętrznym, nieodgadnionym, i gdyby Parry mnie zaatakował, nie dałby żadnych znaków ostrzegawczych. Ze szczególną ostrożnością zamykałem wieczorem drzwi mieszkania. Gdy wychodziłem sam, zwłaszcza w nocy, zerkalem, kto idzie za mną. Częściej brałem taksówki i zawsze rozglądałem się wokół, gdy wysiadałem. Z pewnym trudem umówiłem się na spotkanie z inspektorem z miejscowego posterunku. Zacząłem się zastanawiać, jakiej broni mógłbym potrzebować dla obrony własnej. Maczugi? Kastetu? Noża? Zawsze wychodziłem zwycięsko z owych gwałtownych potyczek, które staczałem w wyobraźni, lecz w swym logicznym sercu – tym organie nudnego zdrowego rozsądku – wiedziałem, że Parry nigdy nie zaatakuje mnie wprost.

Przynajmniej Clarissa wyraźnie zniknęła z jego myśli. Nie wspominał już o niej w listach i nigdy nie usiłował z nią rozmawiać. W istocie starannie jej unikał. Wyglądałem z okna saloniku za każdym razem, gdy opuszczała mieszkanie. Gdy tylko widział przez oszkolony hol, jak schodzi ze schodów, brał nogi za pas, zanim jeszcze zdążyła przekroczyć próg. Gdy już jej nie było, wracał na swoje miejsce. Czy w swej prywatnej opowieści wierzył, że oszczędza jej uczucia? Czy wyobrażał sobie, że wszystko jej wytłumaczyłem i zasadniczo zesła już ze sceny, czy też on sam to jakoś załatwił? A może ta historia wcale nie musi układać się w logiczną całość?

Leżeliśmy w milczeniu już od dziesięciu minut. Ułożyła się na lewym boku i wydawało mi się, że słyszę w mojej poduszce zmienne jamby jej pulsu. A może był to mój własny rytm. Bił wolno, z pewnością coraz wolniej. W tej ciszy nie było napięcia. Patrzyliśmy sobie w oczy, miarowo przesuwając spojrzenia po naszych rysach, z oczu do ust, z powrotem do oczu. To było jak długie, powolne wspomnianie, a z każdą minutą milczenia nasza miłość powracała ze spotęgowaną mocą. Bezsprzecznie bierna siła

miłości, godziny, tygodnie i lata przeżyte w harmonii miały większą wagę niż teraźniejsze okoliczności. Czyż miłość nie stwarza własnych zasobów? Absolutnie, jak sądziłem, nie powinniśmy się teraz zniżać do wielogodzinnych wzajemnych tłumaczeń. W psychologii dla mas zbyt dużo się gędzi, a omawianie problemów niewiele daje. Konflikty, podobnie jak żywe organizmy, mają naturalną długość trwania. Rzecz w tym, by się zorientować, kiedy powinny obumrzeć. Słowa, wypowiedziane w niewłaściwym momencie, mogą podziałać niczym wstrząsy fibrylacyjne. Konflikt może gorączkowo powrócić do życia w postaci patogenetycznej, odrodzony pod wpływem interesującego nowego sformułowania lub też takiego czy innego chorobliwego „świeżego spojrzenia” na sprawę. Przesunąłem rękę i nieco mocniej ścisnąłem palcami ramię Clarissy. Rozchyliła zmysłowo usta, co podkreślił cichy, lecz gwałtowny wydech. Wystarczyło, że patrzyliśmy na siebie i wspominaliśmy. Seks i cała reszta przyjdzie sama. Wargi Clarissy ułożyły się w kształt mojego imienia, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk ani nawet tchnienie. Nie mogłem oderwać oczu od jej ust. Tak pełnych, tak połyskliwie nasyconych bogactwem własnego koloru. Szminkę wynaleziono tylko po to, by kobiety mogły się radować ubogą wersją takich warg.

– Joe... – powtórzyły wargi.

Nie poruszaliśmy w tej chwili głównego problemu również z tego powodu, że w przeciwnym razie musielibyśmy wpuścić Parry’ego do naszej sypialni, do naszego łóżka.

– Joe... – Tym razem wyszeptała moje imię przez na pół wydęte, piękne usta, po czym nachmurzyła się, zaczerpnęła oddechu i powiedziała niskim, głębokim tonem: – Joe, to już koniec. Najlepiej przyznajmy to od razu. Już nie jesteśmy parą, nie sądzisz?

Gdy to powiedziała, nie ujrzałem wszystkiego w innym świetle, łóżko się pode mną nie zapadło, choć niewątpliwie wzniosłem się na wysokość, z której mogłem obserwować te niezachodzące wydarzenia. Oczywiście trwałem w stanie

sprzeciwu. Nie czułem jednak zupełnie, absolutnie nic. Nie odezwałem się, nie dlatego, że odebrało mi mowę, lecz ponieważ niczego nie czułem. Natomiast moje chłodne myśli podskoczyły jak żaba ku Jean Logan, z którą Clarissa dzieliła teraz nerwową postawę; wedle mojej klasyfikacji należała więc do kategorii kobiet, które uważały się za skrzywdzone i czegoś ode mnie oczekiwały.

Staram się wypełniać swoje zobowiązania. Zasiadłem przy biurku ze skrawkiem papieru od pani Logan i zacząłem wydzwaniać. Najpierw połączyłem się z Tobym Greene'em w Russell's Water. Telefon odebrała energiczna starsza pani o skrzekliwym głosie, która musiała być jego matką. Zapytałem uprzejmie o złamaną w kostce nogę Toby'ego, ale z miejsca mi przerwała:

– A czego pan od niego chce?

– Chodzi o ten wypadek z balonem. Pragnę się tylko od niego dowiedzieć...

– Mieliśmy tu już istny najazd reporterów, więc proszę się odczepić.

Załatwiła mnie szybko i sprawnie. Dopiero po dwóch godzinach spróbowałem znowu i tym razem najpierw podałem nazwisko oraz wyjaśniłem, że jestem jednym z ludzi, którzy wraz z jej synem przytrzymywali liny. Gdy Toby Greene dokuśtykał wreszcie do telefonu, nie okazał się pomocny. Widział samochód Johna Logana na przeciwległym krańcu pola, lecz musiał włożyć sporo wysiłku w przesadzenie żywoplotu, a potem pędził ku balonowi i nie ma pojęcia, czy Logan był sam. Trudno zresztą było skupić uwagę Greene'a na tym właśnie temacie. Wolał mówić o swojej kostce albo zasiłku chorobowym, o który się starał.

– Byliśmy już trzy razy w zakładzie ubezpieczeń...

Dwadzieścia minut słuchałem opowieści o bałaganie administracyjnym i protekcyjnym traktowaniu patentów, póki

nie odwołała go matka, a on odszedł od telefonu, nawet się nie pożegnał.

Jego znajomy z Watlington, Joseph Lacey, miał wrócić dopiero następnego dnia, zadzwoniłem więc do Reading i poprosiłem Jamesa Gadda, właściciela balonu. Telefon odebrała jego żona. Głos miała łagodny i uprzejmy.

– Zrobię, co się da – odparła. – Ale on nie bardzo lubi o tym mówić.

Usłyszałem odgłosy dziennika telewizyjnego i przekrzykującego sprawozdawcę Gadda.

– Wszystko, co mam do powiedzenia, zeznam na przesłuchaniu u koronera!

Pani Gadd wróciła i przekazała mi wiadomość tonem zrezygowanym, z nutką lekkiego żalu, jakby niechęć małżonka do rozmowy jej również sprawiała przykrość.

Dopiero Lacey wykazał niejaki zainteresowanie.

– Czego chcą? Chyba nie potrzebują więcej świadków?

– Chodzi o wdowę. Uważa, że ktoś z nim był.

– Jeśli ten ktoś istnieje, muszą mieć dobre powody, żeby to wyciszyć. Lepiej nie budzić licha, ot co.

Jego postawa była aż nazbyt bezpośrednia i zdecydowana, toteż postanowiłem walić prosto z mostu:

– Ona uważa, że to była kobieta. Znalazła w samochodzie prowiant przygotowany na piknik i jedwabną apaszkę. Sądzi, że miał kochankę. To ją dręczy.

Lacey mlasnął językiem, po czym nastąpiła długa cisza.

– Jest pan tam, panie Lacey?

– Myślę o tym, co pan powiedział.

– Więc ją pan widział?

Znowu zapadło milczenie, po czy rzekł:

– To nie jest rozmowa na telefon. Niech pan przyjedzie do Watlington, to się zobaczy.

Dał mi adres i ustaliliśmy godzinę.

Gdy zapytałem Clarissę, odparła, że jej zdaniem w samochodzie Logana było otwarte dwoje drzwi, a może nawet troje, ale widziała tylko Logana. Pozostał mi jedynie Parry. O ile sobie przypominam, przybiegł ścieżką prowadzącą najbliżej samochodu. Czy mógłbym się z nim spotkać, mając ukryty magnetofon, wypytać o fakty, a potem sprowokować go, by zaczął mi grozić? To był absurdalny plan, a myśl, że otrzymam od niego ciąg bezpośrednich, podstawowych informacji, wydawała się niedorzeczna. Jego świat to uczucia, fantazjowanie i tęsknota. Ten człowiek był wcieleniem koszmaru – do tego stopnia, że trudno go sobie wyobrazić wykonującego przyziemne czynności, jak golenie się czy płacenie rachunków. Mogłoby się wydawać, że w ogóle nie istnieje.

Ponieważ się nie odezwałem – nie mogłem zmusić się do odpowiedzi – Clarissa ciągnęła dalej. Nadal wpatrywaliśmy się sobie w oczy.

– Zawsze o nim myślisz. Nigdy nie przestajesz. Właśnie przed chwilą myślałeś o nim, prawda? Przyznaj się uczciwie. No, powiedz.

– Owszem, tak.

– Nie wiem, co się z tobą dzieje, Joe. Tracę cię. To mnie przeraża. Potrzebujesz pomocy, ale ja nic nie mogę dla ciebie zrobić.

– W środę idę na policję. Może oni...

– Mówię o twoim umyśle. Usiadłem.

– Mój umysł działa prawidłowo. Mam całkiem dobrą głowę. Kochanie, Parry naprawdę nam zagraża, może być niebezpieczny.

Ona również usiłowała się podnieść.

– O Boże – rzekła. – Nic nie rozumiesz. – I zaczęła cichutko płakać.

– Posłuchaj, badam to bardzo dokładnie. – Położyłem rękę na jej ramieniu, ale straciła ją. Mimo to ciągnąłem dalej: – Z tego, co czytałem, wynika, że osoby z syndromem Clerambaulta dzielą się na dwie grupy...

– Myślisz, że lekturą da się wszystko załatwić. – Nagle wpadła w gniew i przestała płakać. – Nie zdajesz sobie sprawy, że masz kłopoty?

– Oczywiście, że tak – odparłem. – Ale posłuchaj tylko. Dobrze jest mieć wiedzę. Są chorzy, u których te objawy generalnie stanowią część zaburzeń psychicznych. Łatwo ich zidentyfikować. Inni zaś cierpią na tę dolegliwość w czystej formie, polegającej na obsesyjnym uczuciu wobec obiektu ich miłości, lecz w innych dziedzinach życia zachowują się absolutnie normalnie.

– Joe! – krzyknęła. – Mówisz, że jest przed domem, ale kiedy wychodzę, nikogo nie ma. Nikogo, Joe.

– Gdy widzi, jak schodzisz klatką, oddala się parę kroków w górę ulicy i ukrywa za drzewem. Nie pytaj, dlaczego.

– A listy, charakter pisma... – Spojrzała na mnie i opadła jej dolna warga. Zawahała się, jakby przetrawiając jakąś myśl.

– O co chodzi z tymi listami? – zapytałem.

Potrząsnęła głową. Wstała już z łóżka i zbierała ubrania, które będą jej potrzebne na jutro. Stała z nimi w drzwiach.

– Boję się – powiedziała.

– Ja też. Może się stać agresywny.

Nie patrzyła na mnie, lecz gdzieś w przestrzeń nad moją głową.

– Dziś będę spać w pokoju dzieciennym – powiedziała chrapliwym głosem.

– Clarisso, proszę, zostań.

Ale już sobie poszła, a następnego dnia przeniosła swoje rzeczy do tamtego pokoju i – jak to się zwykle dzieje w takich wypadkach – nagle decyzja przerodziła się w stały układ. Nadal żyliśmy obok siebie, ale wiedziałem, że jestem sam.

W środę przypadają urodziny Clarissy. Gdy dałem jej pocztówkę z życzeniami, pocałowała mnie namiętnie w usta. Teraz, skoro doszła do wniosku, że jestem niezrównoważony, i oznajmiła, że skończyliśmy ze sobą, wpadła w uniesienie i zachowywała się wspaniałomyślnie. Zaczynało się nowe życie, a okazując uprzejmość, niczego nie traciła. Parę dni wcześniej jej pogoda ducha wydałaby mi się podejrzana albo wzbudziłaby we mnie zazdrość, lecz teraz potwierdzała moje przypuszczenia: Clarissa ani nie przeprowadziła żadnych badań, ani niczego nie przemyślała. Stan Parry'ego nie mógł pozostać stabilny. Skoro nic nie wskazywało na to, że jego miłość w najbliższym czasie dozna spełnienia, będzie odczuwał obojętność albo nienawiść. Clarissa sądziła, że jej emocje dostarczą nam właściwych wskazówek i doprowadzą nas do prawdy, a tymczasem potrzebowaliśmy informacji, umiejętności przewidywania i winniśmy starannie wszystko przekalkulować. Zatem wydawało się naturalne, że uważa mnie za człowieka niespełna rozumu, choć nam obojgu groziło to katastrofą.

Gdy tylko wyszła do pracy, poszedłem do gabinetu i zawiązałem prezent. Chciałem go wręczyć w czasie lunchu, który zaplanowaliśmy na dziś z jej ojcem chrzestnym, profesorem Kale'em. Zebrałem na kupkę wszystkie listy od Parry'ego, uporządkowałem je chronologicznie i włożyłem do specjalnej teczki. Wyciągnąłem się na sofie i z wolna przeglądałem kolejne kartki. Wyszukiwałem fragmenty, które mogłyby mieć jakieś znaczenie, i od razu je zaznaczałem, a następnie przepisywałem, podając w nawiasie miejsce, skąd zostały zaczerpnięte. Pod koniec tej pracy miałem cztery wypełnione wyimkami arkusze, które trzykrotnie skopiowałem, a potem umieściłem w trzech foliowych kopertach. Te wymagające cierpliwości działania wprowadziły mnie w coś na kształt organizacyjnego transu, urzędniczego złudzenia, że cały smutek świata można poskromić za pomocą komputera, porządnej drukarki laserowej oraz pudełka spinaczy.



Próbowałem skompletować zestaw gróźb, a choć nie znalazłem ani jednego niepodważalnego przykładu, dopatrzyłem się aluzji, których zbiorczy efekt nie mógłby ujść czujności policjanta. Biegły krytyk literacki, taki jak Clarissa, potrafiłby doczytać się miłosnych wyznań między wierszami, ale wiedziałem, że ona mi nie pomoże. Mniej więcej po godzinie zorientowałem się, że popełniłem błąd, skupiając się na jawnych wyrazach zniechęcenia i rozczarowania – że to ja wszystko zacząłem, zwodziłem go, drażniąc pustymi obietnicami, wycofując się z przyrzeczeń, że z nim zamieszkam. Te twierdzenia niegdyś budziły we mnie obawy, lecz patrząc wstecz, wydawały się po prostu żalotne. Zacząłem dostrzegać, że prawdziwe niebezpieczeństwa kryją się gdzie indziej.

I tak na przykład Parry przerwał opis życia odludka, które pędził z dala ode mnie, by pograć się w rozmyślaniach o samotności. Wspominał, jak to w wieku czternastu lat wyjechał na wieś do wujka. Pożyczał wówczas strzelbę kalibru .22, by polować na króliki. Czołgając się bezszelestnie wzdłuż żywopłotów, miał napięte wszystkie zmysły i był całkowicie skupiony na swoim zadaniu – ten rodzaj samotności uwielbiał szczególnie. Opowieść ta byłaby całkowicie nieszkodliwa, gdyby nie poświęcał tyle energii rozkoszy zabijania – „mocy zadawania śmierci, która płynęła z moich palców, Joe, czułem swą potęgę na odległość. Mogę to zrobić! Mogę to zrobić! – myślałem sobie. Zmuszałem stworzenie do biegu, patrzyłem, jak skacze i fika koziołki, a potem opada na ziemię, wijąc się i podrygując. Kiedy nieruchomiało, podchodziłem do niego, czując się jak sam los, pełen miłości dla istotki, którą przed chwilą unicestwiłem. Moc życia i śmierci, Joe. Ma ją Bóg i my, którzyśmy zostali stworzeni na Jego podobieństwo, również ją posiadamy”.

Przepisałem trzy zdania z innego listu: „Chciałem cię zranić. A może nawet zrobić ci coś więcej. Przemysliwałem nad tym, niech mi Bóg przebaczy”. W innym niedawnym liście wspominał uwagę, którą uczynił mi w dniu mego powrotu z Oksfordu. „Zacząłeś to i już przed tym nie umkniesz. Potrafię skłonić ludzi, by wyświadczali mi usługi – dobrze już o tym wiesz. Nawet gdy

piszę ten list, paru facetów zmienia mi wystrój łazienki! Dawniej zrobiłbym to sam i wcale nie chodziłoby o pieniądze. Ale teraz uczę się korzystać z usług zawodowców”. Długo wpatrywałem się w to zdanie. Jaki jest związek między tym, że nie zdołałem uciec, p<jego umiejętnością najmowania fachowców? Czegoś tu brak. W ostatnim liście, bez nawiązania do czegokolwiek, napisał: „Wczoraj pojechałem do Mile End Road – wiesz, tam gdzie mieszkają prawdziwi menele. Szukam następnych remiechów!”

Gdzieniegdzie znajdowałem złowieszcze odwołania do mroczniejszej strony Boga. „Miłość boża – pisał – może przybrać formę gniewu bądź doświadczyć nas nieszczęściem. To trudna lekcja, uczyłem się jej przez całe życie”. I dalej: „Jego miłość nie zawsze jest łagodna. Jakże może taka być, skoro musi trwać i człowiek nigdy jej nie strząśnie? To ciepło, to żar, który może cię spalić, Joe, całkowicie pochłonać”.

Listy te zawierały niezwykle mało odniesień biblijnych. Jego religia była marzycielsko mglista w kwestiach doktrynalnych, nasuwało się też wrażenie, że nie jest przywiązany do żadnego konkretnego Kościoła. Sam doszedł do zasad swej wiary, generalnie równoznacznej z kulturą rozwoju osobistego i spełnieniem. Wiele mówił o przeznaczeniu, swej „ścieżce”, od której nic go nie odciągnie, i o losie – swoim i moim, splecionym w jedno. Często Bóg był terminem wymiennym z jaźnią. Miłość Boga do ludzkości stopniowo przechodziła w miłość Parry’ego do mnie. Bóg bezsprzecznie znajdował się raczej „wewnątrz” niż w swych niebiosach, a zatem wiara w Niego upoważniała do dawania posłuchu głosowi uczuć czy intuicji. Ta luźna struktura idealnie odpowiadała zaburzonemu umysłowi. Nie ograniczały jej teologiczne subtelności, rytuały religijne, sankcja społeczna ani wezwania kongregacji do zdawania rachunków ze swego postępowania, była też całkowicie pozbawiona owych ram moralnych, dzięki którym religie nadal istnieją, choć załamały się ich wizje wszechświata. Parry słuchał tylko wewnętrznego głosu swego prywatnego Boga.

Jego jedyne ustępstwo na rzecz zewnętrznego źródła to kilka odniesień do historii Hioba, lecz nawet tutaj nie było pewne, czy czytał oryginalny tekst. „Wyglądałeś na nieszczęśliwego – napisał kiedyś po tym, jak widział mnie na ulicy. – Można by nawet odnieść wrażenie, że cierpiałeś, ale nie powinieneś przez to wątpić w nas. Pamiętaj, jakiego bólu doznał Hiob, a przez cały czas Bóg go kochał”. I znowu mamy tu niezweryfikowane założenie, że Bóg i Parry to jedno i że między sobą ustalą kwestię naszych wspólnych losów. Z innej wzmianki nasuwał się wniosek, że to ja jestem Bogiem: „Obaj cierpimy, Joe, obaj jesteśmy dotknięci nieszczęściem. Pytanie: który z nas jest Hiobem?”

Gdy rankiem opuściłem mieszkanie, z brązową kopertą zawierającą wszystkie drobiazgowo udokumentowane wypisy oraz z prezentem dla Clarissy w kieszeni, Parry’ego nie było przed domem. Przystanąłem, by się rozejrzeć, oczekując niemal, że wychynie zza któregoś z drzew. Ta zmiana zachowania, do którego zdążyłem się już przyzwyczać, zaniepokoiła mnie. Nie widziałem Parry’ego od poprzedniego ranka. Teraz, gdy zapoznałem się z literaturą przedmiotu i wiedziałem, jaki może być ewentualny bieg wypadków, wołałbym, żeby znajdował się w miejscu, w którym mógłbym go zobaczyć. W drodze na posterunek obejrzałem się kilka razy, by sprawdzić, czy za mną nie idzie.

Była to spokojna pora dnia, ale musiałem siedzieć ponad godzinę w poczekalni. Gdy ludzka potrzeba porządku styka się z człowieczą skłonnością do przemocy, celowej lub bezmyślnej, gdy cywilizacja szybko i bez ceregieli występuje przeciw niezadowolonym z niej członkom, dochodzi do tarć oraz ogólnego zniszczenia i zużycia. Jego ślady kryły się w linoleum na progu każdego pokoju, wytartym tak, że aż widać było nitki, w węzowatym, pionowym pęknięciu matowego szkła za blatem w pokoju przyjęć interesantów i w gorącym, nieświeżym powietrzu, które zmuszało każdego petenta do zdjęcia marynarki, policjantów zaś do urzędowania w koszulach z krótkimi rękawami. Wyczuwałem je w oklapniętych postaciach dwóch smarkaczy w wydętych czarnych kurtkach, którzy wpatrywali się w swoje stopy, zbyt wściekli na siebie, by się odezwać, oraz w graffiti

wyrytym na poręczy krzesła, na którym siedziałem. „Chuje, chuje, chuje” – głosił napis, świadczący o jawnym wyzwaniu bądź narastającym niepokojem. Tę degrengoladę dostrzegłem też we fluoryzującej bladości dużego, krągłego oblicza inspektora dyżurnego Linleya, który znużonym gestem wprowadził mnie wreszcie do pokoju przesłuchań. Nie wyglądał na człowieka często przebywającego na świeżym powietrzu. Nie musiał, skoro wszelkie kłopoty zwały się tutaj.

Zaprzyjaźniony dziennikarz, który przez trzy lata prowadził kronikę kryminalną w popularnym piśmie, powiedział mi, że policję mogę choć trochę zainteresować moim przypadkiem jedynie wówczas, gdy złożę oficjalne zażalenie, krytykując sposób, w jaki go dotychczas traktowano. Dzięki temu zdołam ominąć kobietę w okularach, która strzeże biurka inspektora dyżurnego. Skarga przynajmniej zostanie rozpatrzona i będę mógł wyjaśnić swoją sprawę komuś stojącemu nieco wyżej w posterunkowej hierarchii. Ten sam przyjaciel przestrzegł mnie, bym za wiele się nie spodziewał. Człowiek, do którego zostanie skierowany, będzie chciał spokojnie doczekać emerytury. Jego linia postępowania polega na wsadzaniu spraw do biurka przy jednoczesnym sprawianiu pozorów, że się nimi zajmuje.

Linley gestem wskazał mi jedno z dwóch metalowych składanych krzesel. Usiedliśmy na przeciwnych końcach pokrytego laminatem stołu, upstrzonego krążkami po kubkach z kawą. Za popielniczkę służyło odcięte denko butelki po coca-coli. Obok leżała na łyżeczce zużyta torebka herbaty ekspresowej. Nędza tego pomieszczenia rzucała lakoniczne wyzwanie: komu mam o tym donieść?

Przedłożyłem swoją skargę, Linley w końcu do mnie zadzwonił, a ja opowiedziałem mu całą historię. W owym czasie nie mogłem się zdecydować, czy ma on nieco rozsądku, czy też jest strasznie głupi. Mówił owym zduszonym głosem, którego używają komicy, gdy naśladują biurokratów. Ton Linleya nasuwał na myśl imbecylizm. Z drugiej strony inspektor nie mówił wiele. Nawet teraz, gdy otworzył teczkę, nie wypowiedział żadnych słów

powitania, nie wydał z siebie ani jednego pomruku czy chrząknięcia. Tylko z włosów porastających mu wewnątrz nosa wydobył się elektroniczny gwizd oddechu. Wydawało się, że w takiej ciszy podejrzani i świadkowie prędzej mogą się z czymś niepotrzebnie wygadać, toteż również zachowałem milczenie, patrząc, jak Linley przewraca kilka stron swych notatek zapisanych kanciastym pismem.

Inspektor uniósł wzrok, lecz nie patrzył na mnie. Wbił spojrzenie w moją klatkę piersiową. Dopiero gdy zaczerpnął powietrza, by się odezwać, przebiegł po mojej twarzy małymi szarymi oczkami.

– Więc sprawa wygląda tak. Jest pan nękany przez tego osobnika, który wysuwa groźby pod pańskim adresem. Zgłosił pan to, bez żadnego rezultatu.

– Właśnie – odparłem.

– Nękanie polega na...

– Jak już mówiłem – odparłem, starając się odczytać jego odwrócone pismo. Czyżby mnie nie słuchał? – Przysyła trzy, cztery listy tygodniowo.

– Nieprzyzwoite?

– Nie.

– Lubieżne propozycje?

– Nie.

– Znieważanie?

– Właściwie nie.

– W takim razie chodzi o seks.

– Seks nie odgrywa tu roli. To obsesja. Ma kompletnego świra na moim punkcie. Nie myśli o niczym innym.

– Telefonuje do pana?

– Już nie. Tylko wysyła listy.

– Jest w panu zakochany.

– Cierpi na dolegliwość znaną jako syndrom Clerambaulta. To stan złudzeniowy. Myśli, że ja to zacząłem, jest przekonany, że zachęcam go tajemnymi sygnałami...

– Jest pan psychiatrą, panie Rose?

– Nie.

– Ale ma pan skłonności homoseksualne?

– Nie.

– Jak się poznaliście?

– Mówiłem już. W czasie wypadku z balonem. Poruszył kartkę ze swoimi notatkami.

– Nie mam z tego raportu.

Opowiedziałem mu pokrótce całą tę historię, on zaś oparł uderzająco symetryczną głowę na rękach, nadal nie zamierzając spisać mojej opowieści.

– Jak to się zaczęło? – spytał, gdy skończyłem.

– Zadzwoił do mnie wtedy późno w nocy.

– Powiedział, że pana kocha, a pan odłożył słuchawkę. Musiał być pan zdenerwowany.

– Wytracony z równowagi.

– A więc opowiedział pan to swojej żonie.

– Następnego ranka.

– Dlaczego nie od razu?

– Byliśmy bardzo zmęczeni i przygnębieni wypadkiem.

– A co ona na to wszystko?

– Jest przybita. Oboje żyjemy w stałym napięciu. Linley odwrócił wzrok i demonstracyjnie zacisnął usta.

– Czy rozgniewała się kiedyś na pana z powodu tej historii?  
Albo pan na nią?

– To wielkie obciążenie dla naszego związku. Przedtem byliśmy tacy szczęśliwi.

– Leczył się pan kiedyś psychiatrycznie, panie Rose?

– Nigdy.

– Praca w napięciu, takie rzeczy?

– Nic w tym rodzaju.

– Dziennikarstwo to ciężki zawód, prawda?

Przytaknąłem. Zaczynałem pogardzać Linleyem i jego dziwną, kulistą twarzą. Nastąpiła pauza, którą wykorzystałem, by wypowiedzieć swoją kwestię:

– Jestem prawie pewien, że ten facet może okazać się niebezpieczny. Przyszedłem na policję prosić o pomoc.

– Zupełnie słusznie – rzekł Linley. — Też bym tak zrobił. Podobne wykroczenia mają być karane znacznie surowiej. A więc staję przed domem i naprzykrza się panu, gdy pan wychodzi.

– Dotąd tak było. Teraz po prostu stoi. Jeśli zaczynam z nim rozmawiać, odchodzi.

– A więc w sumie nie... – urwał i spojrzał na notatki, a w każdym razie udawał, że je przegląda. – Więc na tym polega nękanie, hm... – mrucał do siebie. Potem rzekł do mnie rześkim tonem: – A jakie wysuwa groźby?

– Wypisałem parę fragmentów. Nie grozi mi wprost. Musi pan czytać uważnie.

Inspektor dyżurny Linley rozsiadł się wygodniej, by oddać się lekturze, a gdy zniżył wzrok, wpatrzyłem się w jego twarz. To nie bladeść była tak odpychająca, lecz nalana, nieludzka geometria jej krągłości. Niemal idealny okrąg miał środek na nosie jak guziczek i obejmował białą kopułę łysiny oraz łuk tłustego podbródka. A nakreślony był na powierzchni lekko zaledwie

zniekształconej kuli. Czoło się wydymało, policzki niczym twarde piłeczki wyskakiwały spod małych szarych ślepków, a wygięcie zarysowywało się znowu w niebieskawej, pozbawionej dołka wypukłości między nosem i górną wargą.

Opuścił moje zapiski na biurko, założył ręce za głowę i przez parę sekund wpatrywał się w sufit, po czym spojrzał na mnie z niejaką litością.

– Jak na podstępnego uwodziciela, panie Rose, jest łagodny jak kocię. Czego się pan po nas spodziewa? Że go aresztujemy?

– Musi pan zrozumieć, jak silnie wierzy w swoje złudzenia i jak przygnębiająco działa na innych. Powinien wiedzieć, że nic nie może zrobić...

– Nie zachodzi tu przypadek zagrożenia, znieważenia bądź obelżywego zachowania w rozumieniu paragrafu piątego Ustawy o porządku publicznym. – Linley mówił teraz szybciej. Chciał, żebym już sobie poszedł. – Nie podpada też pod Akt wykroczeń przeciw bezpieczeństwu osobistemu z roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego. Nie możemy nawet odbyć z nim rozmowy ostrzegawczej. Kocha swego Boga, kocha pana i z przykrością stwierdzam, że nie złamał prawa. – Podniósł kartki i znowu je opuścił. – Właściwie w czym dokładnie tkwi zagrożenie?

– Jeśli przeczyta pan to uważnie i pomyśli logicznie, dostrzeże pogróżki, że może kogoś znaleźć, kogoś wynająć, by mnie pobić.

– Za słabe podstawy. Niech pan sam spojrzy, co tu mamy. Dotychczas nie zniszczył panu samochodu, nie wymachiwał nożem przed nosem ani nie przewrócił kosza na śmieci na ścieżkę przed pańskim domem. Nawet pana nie skłął. Czy rozważaliście z żoną pomysł, żeby zaprosić go na herbatę i pogadać?

Miałem wrażenie, że udaje mi się zachować spokój.

– Panie inspektorze, ależ to klasyczny przypadek. Syndrom Clerambaulta, erotomania, włóczenie się za przedmiotem pożądania, niech pan to nazwie, jak pan chce. Zagłębiłem się



nieco w historię takich zachowań. Literatura wykazuje, że jeśli facet nie dostanie tego, czego chce, skłonny jest użyć przemocy. Mógłby pan chociaż wysłać do niego paru policjantów i powiedzieć mu, że ma go na oku.

Linley wstał, lecz ja uparcie siedziałem. Położył rękę na gałce u zamka. Jego demonstracyjna cierpliwość była formą szyderstwa.

– W społeczeństwie, które mamy, względnie które chcemy mieć, pomijając już naszą ograniczoną liczebność, nie możemy posyłać funkcjonariuszy do Obywatela A dlatego, że Obywatel B przeczytał kilka książek i doszedł do wniosku, iż grozi mu niebezpieczeństwo. Moi ludzie nie mogą też znajdować się w dwóch miejscach naraz, by obserwować jego i strzec pana.

Właśnie miałem odpowiedzieć, ale Linley otworzył drzwi i wyszedł. Odezwał się do mnie z korytarza:

– Ale powiem panu, co zrobię. Któregoś dnia w przyszłym tygodniu wyślę do państwa domu funkcjonariusza zajmującego się przemocą w rodzinie. Ma dziesięcioletnie doświadczenie w rozwiązywaniu problemów społecznych i na pewno udzieli panu kilku pożytecznych rad. – Potem sobie poszedł i słyszałem, jak głośno mówi w poczekalni, prawdopodobnie do chłopaków w wydętych kurtkach: – Skarga? Was dwóch? Ale kawał! Słuchajcie no. Spieprzajcie stąd z łaski swojej, a mnie może uda się zgubić te akta.

Byłem już spóźniony na obiad, toteż szybko poszedłem ulicą, oddalając się od posterunku i zerkając co chwila przez ramię, czy nie nadjeżdża taksówka. Powiniennem być zły albo zaniepokojony, ale dziwnym trafem nieco pogardliwa, zdawkowa odprawa, jakiej udzielił mi Linley, wyklarowała sytuację. Dwukrotnie próbowałem zainteresować policję. Więcej nie mam już się co wysilać. A może to prezent dla Clarissy, którego ciężar czułem w kieszeni, skierował moje myśli ku niej i całej naszej nieszczęsnej sytuacji. Nie mogłem całkiem serio potraktować jej oświadczenia, że z nami koniec. Zawsze wydawało mi się, że nasza miłość przetrwa

wszystko. Teraz, spiesząc Harrow Road, poganiany też zdaniem, jakiego użył inspektor Linley, przypomniałem sobie jej ostatnie urodziny, które świętowaliśmy, gdy w naszym życiu nie było jeszcze śladu komplikacji.

Chodziło o zwrot „w dwóch miejscach naraz”, a przypomniał mi on pewien ranek, kiedy Clarissa jeszcze spała, a ja zszedłem na dół, by zrobić herbatę. Prawdopodobnie zebrałem pocztę z podłogi w holu, oddzieliłem kartki z życzeniami urodzinowymi od reszty i wyłożyłem je na tacę. Gdy czekałem, aż woda się zagotuje, przejrzałem tekst pogadanki radiowej, którą miałem nagrać po południu. Dobrze ją pamiętam, gdyż później ten sam materiał wykorzystałem w pierwszym rozdziale książki. Czy wiara religijna może mieć podstawy genetyczne, czy też po prostu przyjemnie jest tak myśleć? Jeżeli wiara daje wybiórcze korzyści, może tego dokonywać wszelkimi sposobami i niczego nie da się udowodnić. Załóżmy, że religia obdarza statusem, zwłaszcza kastę kapłanów – płynące stąd dla niej liczne pożytki społeczne nie ulegają wątpliwości. Załóżmy, że daje też męstwo w obliczu przeciwności, niesie pociechę, umożliwia przeżycie katastrofy, która zniszczyłaby bezbożnika.

Może dlatego wierni tak żarliwie wyznają swe credo, swą brutalną siłę czerpiąc z przekonania, że ich poglądy są jedynie słuszne.

Być może daje to spójność grupom, a poszczególnym osobnikom poczucie tożsamości oraz przeświadczenie, że jednostki, a także ich towarzysze, postępują słusznie, nawet – a zwłaszcza – gdy są w błędzie. Bóg jest po naszej stronie. Podniesieni na duchu szaloną jednością, zbrojni straszliwą pewnością, spadają na sąsiednie plemię, biją je i gwałcą do utraty zmysłów, po czym uchodzą, płonąć prawością, pijani zwycięstwem, które obiecali im bogowie. Powtórzmy to pięćdziesiąt tysięcy razy przez tysiąclecia, a złożony zespół genów, zaszczepiających bezpodstawne przekonania, zostanie bardzo hojnie rozdzielony. Rozważyłem wszelkie za i przeciw tego

poglądu, a tymczasem woda się zagotowała i mogłem zrobić herbatę.

Zeszłej nocy Clarissa zaplotła włosy w warkocz, który przewiązała czarną aksamitką. Gdy wszedłem z herbatą, urodzinowymi kartkami na tacy i poranną gazetą, siedziała na łóżku, rozplatając włosy i potrząsając nimi. Miło jest być w łóżku z kochanką, lecz powrót do niej, gdy ma w sobie jeszcze ciepło nocy, to wspaniała rzecz. Herbatą wzniosłem toast za jej zdrowie, przeczytaliśmy kartki i rozpoczęliśmy urodzinowe pieszczoty. Clarissa waży trzydzieści pięć kilogramów mniej niż ja i czasami lubi zaczynać na górze. Zgarnęła wokół siebie pościel niczym ślubny tren, po czym sennie usiadła na mnie okrakiem. Tego ranka zabawiliśmy się w szczególną grę. Ja leżałem na plecach, udając, że czytam gazetę. Podczas gdy Clarissa wciągała mnie w siebie, wzdychała, wiła się i drżała, ja zachowywałem się, jakby jej w ogóle nie było, przewracałem strony i marszczyłem się z niezadowoleniem. Doznawała lekkiego masochistycznego podniecenia, czując, że jest ignorowana, że jej nie ma. Unicestwienie! Potem dyrygowała naszą rozkoszą, odwracając moją uwagę od gorączki publicznego życia i wciągając głęboko w świat, który był tylko nią. Teraz to mnie obrócono wniwecz, a wraz ze mną wszystko, co nie było Clarissa.

Tego ranka jednak nie w pełni jej się powiodło, na krótko bowiem osiągnąłem to, czego zdaniem Linleya jego policjanci nie zdołaliby dopiąć. Podnieciłem się pieszczotami Clarissy, ale w istocie pochłonęła mnie informacja z gazety. Otóż królowa wybierała się z wizytą do miasteczka o nazwie Yellowknife na odległych, północno-zachodnich terenach Kanady – obszarze wielkości Europy, zamieszkanym przez pięćdziesiąt siedem tysięcy ludzi, których większość, najwidoczniej, to pijacy i wyrzutki społeczne. Gdy Clarissa wiła się na mnie, moją uwagę zwrócił akapit dotyczący straszliwej pogody w tym regionie oraz te dwa zdania, niezwiązane z resztą tekstu: „Niedawno zadymka śnieżna rozpętała się nad leżącym na północ od Yellowknife boiskiem, na którym akurat rozgrywano mecz. Obie drużyny, nie zdoławszy znaleźć bezpiecznego miejsca, zamarzyły na śmierć”.

– Posłuchaj tego – powiedziałem do Clarissy. I tylko dotąd dobrnąłem. Odtąd należałem do niej.

Czynność czytania i rozumienia wymaga szeregu oddzielnych, choć zachodzących na siebie funkcji mózgu, tymczasem rejon zawiadujący reakcjami seksualnymi działa na niższym poziomie, dawniejszym w kategoriach ewolucyjnych i wspólnym dla niezliczonych organizmów – lecz wpływać na niego mogą też funkcje wyższego rzędu: pamięć, uczucia, fantazje. I jeśli tak dobrze zapamiętałem ów ranek w dzień urodzin Clarissy – kartki i podarte koperty rozrzucone na łóżku, natrętny promień słońca wpadający przez szparę w zasłonach – to dlatego, że akurat wtedy nasze małe igraszki po raz pierwszy pozwoliły mi w pełni i całkowicie przebywać w dwóch miejscach naraz. Podniecony przez Clarissę, byłem czuły na wszelkie bodźce i w pełni doceniałem jej starania, poruszyła mnie jednak tragedia ujęta jako dziennikarski smaczek: dwie drużyny, rozproszone w środku rozgrywki przez gwałtowne wichry, zginęły podczas kataklizmu na skraju niewidocznego w śnieżnej zadymce boiska. Wszelkie kopulujące ze sobą stworzenia podatne są na atak, lecz dobór dokonywany w drugim okresie wykazał, że największą rozrodczość osiągają te gatunki, które poświęcają jej niepodzielną uwagę. Lepiej, by przypadkowa para została zjedzona pośród namiętnych uniesień, niżby popęd rozrodczy miał być rozrzedzony choćby na jotę. Mimo to przez niezmierzone sekundy całkowicie i jednocześnie napawałem się dwoma ośrodkami życia, przeciwstawnymi sobie rozkoszami: czytaniem i pieprzeniem się.

– Nie uważasz – zapytałem później Clarissę w łazience – że jestem jakimś przodującym ogniwem w łańcuchu ewolucyjnym?

Clarissa, znawczyni Keatsa, przycupnęła nago na pokrytym korkiem stołku, malując paznokcie u nóg – gest na cześć jej urodzinowych obchodów.

– Nie – odparła. – Po prostu się starzejesz. A w każdym razie – i tu naśladowała przemądrzały ton radiowych ekspertów – zmiana ewolucyjna, powstawanie gatunków to wydarzenie, które można rozpoznać jedynie w retrospekcji.

Teraz w duszy gratulowałem jej wychwycenia właściwego sposobu ujęcia tego problemu i gdy pod dom podjechała wezwana przeze mnie taksówka, uświadomiłem sobie, jak bardzo mi brakuje naszego dawnego życia. Zastanawiałem się, jak powrócimy do takiej miłości, radości i intymnych stosunków, dostępnych tak łatwo i prosto. Clarissa myśli, że oszalałem, policja uważa, że jestem głupcem, i jedno było jasne: tylko ja mogę sprawić, byśmy oboje wrócili do punktu wyjścia.

## 19

Spóźniłem się dwadzieścia minut. W restauracji panował ruch, jak zwykle w czasie południowego posiłku – gwar rozmów był ogłuszający, a wchodząc z ulicy, wpadało się tu jak do młyna. Wydawało się, że wszyscy mówią o jednym – i godzinę później rzeczywiście tak będzie. Profesor zdążył już zasiąść, lecz Clarissa wciąż była na nogach i nawet z drugiego krańca sali widziałem, że nadal trwa w uniesieniu. Robiła wokół siebie trochę szumu. Kelner klęczał przed nią w modlitewnej pozie, wciskając się w stołową nogę, drugi przynosił jej inne krzesło. Kiedy zobaczyła, że się zbliżam, przyskoczyła do mnie, nie zważając na cały ten harmider, i ująwszy moją rękę, poprowadziła do stolika, jakbym był niewidomy. Tę filuterność przypisałem odświętnemu nastrojowi, gdyż mieliśmy powody do toastów nie tylko z racji urodzin. Profesor Jocelyn Kale, ojciec chrzestny Clarissy, objął honorowe stanowisko kierownika Zespołu Badań nad Ludzkim Genomem.

Zanim usiadłem, pocałowałem ją. Ostatnimi czasy nie dotykaliśmy się językami, lecz tym razem się nam udało. Jocelyn uniósł się z krzesła i potrząsnął moją dłonią. W tej samej chwili przyniesiono szampana w kubelku z lodem i zaczęliśmy mówić donośniej, by słyszeć swoje głosy w ogólnym hałasie. Kubelek z lodem stał na rombie słonecznego światła, które padało na biały obrus, wysokie szyby restauracji ukazywały między budynkami prostokąty błękitnego nieba. Od pocałunku dostałem erekcji. Z tamtego dnia pamiętam tylko sukces, jasność, gwar. Przypominam sobie, że potrawy, które nam z początku przynoszono, miały czerwoną barwę: bresaola – specjalność lombardzka, suszone i solone mięso młodego wołu, tłuste ozory pieczonej papryki na kozim serze, czerwona cykoria, biała porcelanowa micha krążków rzodkiewki. Gdy wspominałem potem, jak pochylaliśmy się ku sobie i pokrzykiwaliśmy, mam wrażenie, że obserwowałem scenę dziejącą się pod wodą.

Jocelyn wyjął z kieszeni paczuszkę owiniętą w niebieską bibułę. Ściągnęliśmy na nasz stolik urojoną ciszę, gdy Clarissa rozpakowywała prezent. Może właśnie wtedy zerknąłem w lewo, na stolik obok nas. Mężczyznę, którego imię i nazwisko poznałem później, był Colin Tapp; towarzyszyli mu córka i ojciec. A może zauważyłem ich w innej chwili. Niewykluczone też, że zerknąłem na samotnego gościa, który siedział sześć metrów dalej, odwrócony do nas plecami, lecz nie zostawił ani śladu w mojej pamięci. W bibułę zawinięte było czarne puzderko, a w nim, w kłębie waty, znajdowała się złota broszka. Nadal nie odzywając się słowem, Clarissa położyła ją sobie na dłoni i uważnie się jej przyjrzała.

Dwie złote wstęgi związane były w podwójną spiralę. Pomiedzy nimi biegły maleńkie srebrne szprychy, połączone po trzy, które symbolizowały podstawowe pary. To alfabet składający się z czterech liter, który kodował wszystko, co żyje, w przemieniające się trójki. Na spiralnych wstęgach wryto kuliste wzory przywodzące na myśl dwadzieścia aminokwasów, na owych wzorach zaś zaznaczono trzyliterowe ciągi następujących po sobie nukleotydów, stanowiących część kodu genetycznego. W pełnym świetle, padającym z wiszącej nad stolikiem lampy, klejnocik w dłoni Clarissy przedstawiał coś więcej niż symbol – może sam kod genetyczny, gotów do utworzenia ciągów aminokwasów, które miałyby zostać wtopione w cząsteczki protein. Kod mógłby się podzielić w jej ręce, tworząc jeszcze jeden prezent. Gdy Clarissa z westchnieniem wymówiła imię Jocelyna, znowu napłynął do nas restauracyjny gwar.

– O Boże, ależ to piękne! – wykrzyknęła i pocałowała go. Jego słabe żółtoniebieskie oczy zwilgotniały.

– Wiesz, należała do Gillian. Na pewno bardzo by pragnęła, żebyś ją dostała.

Z niecierpliwością czekałem, żeby wręczyć własny prezent, lecz ciągle byliśmy pod urokiem podarunku Jocelyna. Clarissa przypięła broszkę do swej szarej jedwabnej bluzki.

Czy zapamiętałbym toczącą się wówczas rozmowę, gdybym nie wiedział, co ją poprzedzało?

Zaczęliśmy od żartów, że Zespół Genomu dziesiątkami rozdaje taką biżuterię. Potem Jocelyn mówił o odkryciu DNA. Być może wówczas odwróciłem się na krześle, by poprosić kelnera, żeby przyniósł nam wody, i zauważyłem dziewczynkę w towarzystwie dwóch mężczyzn. Wypiliśmy szampana, sprzątnięto też przystawki. Nie przypominam sobie, jakie potrawy potem zamówiliśmy. Jocelyn zaczął nam opowiadać o Johannie Miescherze, szwajcarskim chemiku, który w 1868 roku odkrył DNA. Była to jedna z wielkich, niespełnionych szans w historii nauki. Miescher zamówił sobie stałą dostawę przesiąkniętych ropą bandaży z miejscowego szpitala. (Bogatyh w białe ciążka krwi – dodał Jocelyn na użytek Clarissy). Mieschera interesowała chemia jądra komórki. W jądrach znalazł fosfor – nieprawdopodobną substancję, która nie pasowała do współczesnych idei. Było to niezwykle odkrycie, lecz do druku jego artykułu nie dopuścił nauczyciel Mieschera, który przez dwa lata powtarzał i potwierdzał wyniki badań swego studenta.

Przestałem słuchać opowieści o Miescherze nie dlatego, bym był nią znudzony, choć już ją znałem. Powodował mną niepokój, niecierpliwość płynąca z poczucia ulgi po rozmowie. Pragnąłem opowiedzieć o swoim spotkaniu z inspektorem Linleyem, dodać jej nieco pieprzyku i wydobyć jakiś element humorystyczny, lecz wiedziałem, że jeśli to zrobię, wrócę prostą drogą do podziałów między mną i Clarissą. Przy stoliku obok ojciec pomagał dziewczynce odczytać kartę dań. Podobnie jak ja w tym wieku, musiał zsunąć okulary na nos, by dostrzec druk. Dziewczynka z zadowoloną miną opierała się o jego ramię. Tymczasem Jocelyn, ciesząc się potrójnym przywilejem wieku, dostojności i darczyńcy, dokończył swoją opowieść. Miescher napierał. Zgromadził zespół i zaczął wypracowywać działanie kwasu nukleinowego, tak bowiem go nazwał. Potem znalazł substancje tworzące czteroliterowy alfabet, w którego języku zapisane jest całe życie – adeninę i cytozynę, guaninę i tyminę. Nie oznaczało to nic. Co budzi zdziwienie, zwłaszcza z perspektywy czasu. Prace



Mendla dotyczące praw dziedziczności zostały ogólnie przyjęte, odkryto chromosomy w jądrze komórki i podejrzewano, że stanowią źródło informacji genetycznej. Wiadomo było, że DNA znajduje się w chromosomach, a jego budowę opisał Miescher. W liście do wuja w 1892 roku wysunął przypuszczenie, że DNA może być kodem życia, podobnie jak alfabet koduje języki i pojęcia.

– Mieli to przed nosem – rzekł Jocelyn. – Ale nie potrafili, nie chcieli dojrzeć. Kłopoty oczywiście stwarzali chemicy...

Trudno było przekrzyczeć restauracyjny gwar. Sięgnął więc po szklanę, by napić się wody. Tę opowieść snuł z myślą o Clarissie, aby upiększyć obecną chwilę. Gdy Jocelyn dawał odpocząć głosowi, za mną wszczął się ruch i musiałem wsunąć krzesło, by przepuścić dziewczynkę. Zmierzała w kierunku toalety. Gdy ponownie zdałem sobie sprawę z jej obecności, siedziała z powrotem na krześle.

– Chemicy, rozumiecie. Potężni, cieszący się wielkim mirem. Wiek dziewiętnasty był dla nich bardzo pomyślny. Zyskali autorytet, lecz nie byli podatni na nowe idee. Weźmy na przykład Phobusa Levine'a z Instytutu Rockefellera. Był absolutnie przekonany, że DNA to nudna, pozbawiona znaczenia cząsteczka, zawierająca czteroliterowe ciągi, ACGT. Zlekceważył ją, a potem, w ów szczególnie ludzki sposób, stało się to dla niego sprawą wiary, i to głębokiej. To, co wiedział, wiedział na pewno, a cząsteczka nie odgrywała w tym wielkiej roli. Nikt z młodszych naukowców nawet nie śmiał się do niego zbliżyć. Trzeba było czekać, póki w latach dwudziestych nie opublikowano wyników badań Griffitha na temat bakterii. Badania podjął Oswald Avery w Waszyngtonie – o Levine już zapomniano – i prowadził je strasznie długo, aż do lat czterdziestych. Potem Alexander Todd zgłębiał w Londynie zagadnienie wiązań fosforanów cukrowych, w pięćdziesiątym drugim i trzecim roku wzięli się za to Maurice Wilkins i Rosalind Franklin, a potem Crick i Watson. Wiecie, co powiedziała nieszczęsna Rosalind, gdy pokazali jej model cząsteczki DNA? Westchnęła, że po prostu jest zbyt piękny, by nie był prawdziwy.

Jocelyn dosiadł swego konika: piękno w nauce. Przywoływane przezeń coraz szybciej nazwiska sprawiły, że zatopił się w niemych wspomnieniach. Gmerał przy papierowej serwetce. Miał osiemdziesiąt dwa lata. Jako student czy kolega znał ich wszystkich. A Gillian pracowała z Crickiem po wielkim przełomie, który się dokonał za sprawą cząsteczek adaptorowych. Gillian, jak sama Franklin, zmarła na białaczkę.

Wyjąłem swój prezent z parominutową zwłoką, lecz monolog Jocelyna nasunął mi wspaniałą odżywkę. Sięgnąłem do kieszeni marynarki, cytując ten oklepany wers z Keatsa: „Prawda jest pięknem, piękno prawdą...” Clarissa uśmiechnęła się. Już pewnie od dawna przypuszczała, że dostanie coś związanego z Keatsem, lecz nie mogła marzyć o czymś, co owinięte w zwykły brązowy papier znajdowało się w jej dłoniach. Jeszcze zanim odpakowała podarunek, rozpoznała go i pisnęła. Dziewczynka siedząca przy stole obok odwróciła się i wlepiła w nią oczy, aż dopiero ojciec poklepał ją po ręce. Papier drukarski formatu ósemki, w tandetnej oprawie z czarną naklejką. W złym stanie, ubożuchny, pokryty rudymi plamami, nieco uszkodzony przez wilgoć. Pierwsze wydanie jego pierwszego zbioru, *Wiersze z 1817 roku*.

— Ależ to prezent! – powiedziała Clarissa. Wstała i objęła mnie ramionami za szyję. – Musiał cię kosztować tysiące... – Potem przyłożyła wargi do moich uszu. – Niegrzeczny chłopiec. Żeby wydawać tyle pieniędzy! Będziesz się za to pieprzył ze mną przez całe popołudnie.

Na pewno nie mówiła poważnie, ale dostroilem się do jej tonu i odparłem:

– Niech będzie, jeśli ma ci to poprawić samopoczucie.

Powodowały nią oczywiście szampan i zwykła wdzięczność, ale i tak było mi miło.

Parę dni później kusilo mnie, by wynaleźć czy też upiększyć szczegóły dotyczące gości, którzy siedzieli przy stoliku obok, zmusić pamięć, by ukazała to, czego nigdy nie pochwyciła. Ale z pewnością widziałem, jak mężczyzna, Colin Tapp, mówiąc, kładzie

rękę na ramieniu ojca, by go uspokoić. Tapp był dwa lata starszy ode mnie, jego córka miała czternaście lat, a ojciec siedemdziesiąt trzy. Nie interesowałem się specjalnie ich wiekiem – teraz moja uwaga nie błądziła, rozmowa przy naszym stoliku pochłaniała mnie całkowicie, świetnie się bawiliśmy – ale musiałem snuć daleko idące przypuszczenia co do stosunków między naszymi sąsiadami i czyniłem to półświadomie, kątem oka, bez słowa, w owym prewerbalnym języku błyskawicznej myśli, który lingwiści nazywają językiem mentalnym. Dziewczynkę zapamiętałem dobrze, choć zerknąłem na nią tylko przelotnie. Siedziała wyprostowana, spokojna i pewna siebie, w pozie, jaką niektóre nastolatki przybierają, by zademonstrować światowość, rozbrajająco tymczasem zdradzając coś wręcz przeciwnego. Miała ciemną karnację, czarne włosy ostrzyżone na pazia, a bledszy odcień skóry na szyi zdradzał, że musiała skrócić je niedawno. Czy też te szczegóły zauważyłem później, wśród chaosu, który się rozpełtał, a może gdy już minał? Inny przykład zamieszania, jakie spóźniony refleks może wywołać w pamięci: do wspomnień z tej sceny włączyłem obraz człowieka, który siedział i jadł samotnie, odwrócony od nas. Nie widziałem go wówczas, aż do samego końca, lecz nie mogę go wykluczyć z późniejszych rekonstrukcji zdarzenia.

Clarissa z powrotem usiadła i przy naszym stoliku potoczyła się rozmowa o młodzieńcach, których uciskają – tłumiąc ich talenty lub w jakikolwiek inny sposób nie pozwalając im rozwinąć skrzydeł – starsi mężczyźni: ojcowie, bracia, nauczyciele, przewodnicy życiowi czy mistrzowie. Zaczęliśmy od Johanna Mieschera i jego nauczyciela, Hoppego-Seylera, który wstrzymał publikację artykułu swego studenta o odkryciu przezeń fosforu w jądrze komórki. Seyler był też redaktorem pisma, w którym Miescher składał prace. Następnie – a miałem czas, by prześledzić naszą rozmowę wstecz – od Mieschera i Hoppego-Seylera przeszliśmy do Keatsa i Wordswortha.

Clarissa była teraz naszym źródłem informacji, choć Jocelyn, prócz wiedzy z własnej dziedziny, miał niejaki pojęcie prawie o wszystkim, a z biografii Gittingsa znał słynną historię wizyty

młodego Keatsa u poety, który był dlań mistrzem. Ja również ją znałem, gdyż opowiadała mi o tym Clarissa. Pod koniec 1817 roku Keats zatrzymał się w gospodzie Pod Lisem i Ogarami na North Downs, gdzie kończył swój długi poemat *Endymion*. Przebywał tam przez tydzień i spacerował po wyżynach, rozgorączkowany twórczym podnieceniem. Miał dwadzieścia jeden lat, napisał długi, poważny, piękny poemat o miłości i gdy wrócił do Londynu, czuł się wspaniale. Nie posiadał się z radości na wieść, że w mieście przebywa uwielbiany przezeń poeta, William Wordsworth. Keats przesłał mu zbiór swoich wierszy z dedykacją: „W. Wordsworthowi od autora z wyrazami najwyższego szacunku”. (Ten właśnie egzemplarz należałoby dać Clarissie. Znajdował się w bibliotece uniwersytetu Princeton i wedle niej miał wiele nierozciętych stronic). Keats wychował się na poezji Wordswortha. Jego poemat *Wycieczka* nazwał „jedną z trzech rzeczy godnych radości w tym stuleciu”. Od Wordswortha zaczerpnął ideę poezji jako świętego powołania, najszlachetniejszego przedsięwzięcia. Teraz namówił swego przyjaciela, malarza Haydona, na wspólne spotkanie z mistrzem, po czym z atelier przy Lisson Grove udali się na Queen Anne Street, by odwiedzić sławnego geniusza. W swym dzienniku Haydon zanotował, że Keats oczekiwał tej wizyty „z największą, najczystsza i niczym niezmaconą przyjemnością”.

W tym okresie życia – miał wówczas czterdzieści siedem lat – Wordsworth był znanym zrzęda, lecz do Keatsa odniósł się przyjaźnie i po krótkiej pogawędce zapytał, nad czym obecnie pracuje. Tu wtrącił się Haydon i odpowiedział za Keatsa, błagając go, by powtórzył odę do Pana z *Endymiona*. I tak Keats chodził tam i z powrotem przed wielkim mężem, recytując „ze zwykłym u niego zaśpiewem (niezwykle wzruszającym).”

W tym momencie Clarissie udało się przewyciężyć panujący w restauracji gwar i zacytowała:

*Zechciej być zawsze niezgłębionym źródłem*

*Dla samotników; wiedź ich ze spokojem,  
Niech w źródle niebios kąpią sięjedynek,  
Potem ich zostaw bezradnych...<sup>2</sup>*

A gdy rozpalony młodzieniec skończył, Wordsworth, najwyraźniej nie mogąc znieść już dłużej tego uwielbienia, wygłosił w ciszy zaskakujący, pełen lekceważenia werdykt. Stwierdził sucho: „Piękny przykład pogaństwa”, co – wedle Haydona – było „nieczule i niegodne jego wielkiego geniuszu wobec takiego wielbiciela jak Keats – a Keats głęboko to odczuł i nigdy mu nie wybaczył”.

– Ale czy mamy wierzyć w tę opowieść? – zapytał Jocelyn. – Przecież czytałem u Gittingsa, że to nieprawda.

– Owszem. – Clarissa zaczęła przytaczać fakty podważające wiarygodność tej anegdotki.

Gdybym podniósł się, kiedy mówiła, i odwrócił ku wejściu, za połacią gadających głów zobaczyłbym dwie postaci, które podeszły do kierownika sali i wdały się z nim w rozmowę. Jeden z mężczyzn był wysoki, choć wówczas chyba tego nie zauważyłem. Dowiedziałem się o tym później, ale pamięć splątała mi figła, przywołując taki obraz, jaki bym ujrzał, gdybym wtedy wstał: zatłoczona sala, wysoki mężczyzna, kierownik, który kiwał głową i robił nieokreślone gesty w naszym kierunku. Lecz w tamtej chwili, nawet w wyobraźni, w jaki sposób mógłbym namówić Clarissę, Jocelyna oraz obcych gości przy sąsiednim stoliku, by zostawili swoje potrawy i wbiegli ze mną na górę po schodach, gdzie znajdują wewnętrzne drzwi prowadzące na ulicę? Przez kilkanaście bezsennych nocy wracałem tam błagać ich, żeby wyszli. Słuchajcie – mówiłem do naszych sąsiadów – nie znacie mnie, ale wiem, co tu się zaraz stanie. Jestem ze skażonej przyszłości. To był błąd i wcale nie musi się zdarzyć. Możemy wybrać inną opcję.

---

<sup>2</sup> Przeł. Jan Kasprowicz.

Odlóżcie noże i widelce i biegnijcie za mną, ale już! Błagam, uwierzcie mi. Po prostu mi uwierzcie. Chodźmy!

Ale ani mnie nie słyszeli, ani nie widzieli. Jedli i rozmawiali. Podobnie jak ja.

– Ale ta historia żyje – odezwałem się. – Słynny kubek zimnej wody.

– Owszem – potwierdził ochoczo Jocelyn. – Jest nieprawdziwa, ale potrzebujemy jej. To rodzaj mitu.

Popatrzyliśmy na Clarissę. Zazwyczaj powściągliwie mówiła o sprawach, na których znała się naprawdę dobrze. Przed laty, podczas przyjęcia, opadłem na pijane kolana, by namówić ją do recytacji z pamięci *La belle dame sans merci*. Ale dziś mamy święto i staramy się zapomnieć, by zaś to osiągnąć, najlepiej rozmawiać.

– Jest nieprawdziwa, ale mówi prawdę. Wordsworth zachowywał się tak arogancko wobec innych pisarzy, że wręcz budził odrazę. Gittings obrazowo opisuje, jak poeta był nieznośny w tamtym okresie życia. Gdy dobiegł pięćdziesiątki, uspokoił się, wypogodził i jego otoczenie mogło odetchnąć. Ale wtedy Keats już nie żył. Jest zawsze coś smakowitego w pogardzie, z jaką wielcy tego świata odrzucają młodych geniuszy. Jak człowiek z wytwórni Decca, który odrzucił Beatlesów. Wiemy, że Bóg w postaci historii zemści się...

Dwaj mężczyźni wówczas już pewnie przeciskali się między stolikami w naszym kierunku. Nie jestem pewien. Odkopałem te ostatnie pół minuty i dwie rzeczy są bezsporne. Po pierwsze, kelner przyniósł nam sorbety. Po drugie, zapadłem w sen na jawie. Często mi się to zdarza. Niemal z definicji sny na jawie nie pozostawiają śladu, są niezgłębionym myślą zdrojem, prowadzą do źródła niebios, po czym pozostawiają człowieka bezradnym, tylko z nagim umysłem. Ale zdarzało mi się to już nieraz, a wróciłem do siebie, gdy przypomniałem sobie, co wywołało stan niebytu – słowa Clarissy: „Ale wtedy Keats już nie żył”.

Słowa *memento mori* sprawiły, że zacząłem bujać w obłokach. Nie było mnie przez chwilę. Ujrzałem ich razem – Wordswortha, Haydona, Keatsa w pokoju w Monkton’s House na Queen Anne Street – i wyobraziłem sobie ogół ich pojedynczych doznań i myśli, wszystkie znajdujące się tam rzeczy, materię ubrań w dotyku, trzask krzeseł i desek podłogowych, drganie głosów w piersiach trzech mężczyzn, lekkie uniesienie spowodowane sławą wielkiego poety, ułożenie palców nóg w butach, drobiazgi, które trzymali w kieszeniach, przypuszczenia poszczególnych osób co do niedawnej przeszłości rozmówców oraz ich planów na przyszłość, coraz bardziej chwiejny obraz ich miejsca w teraźniejszości. Było to tak jaskrawo oczywiste jak ta pełna stukotu sztućców i zastawy, zgiełkliwa restauracja – i wszystko przeminęło, podobnie jak Logan, gdy siedział na trawie.

To, czego opis zabiera minutę, przeżywa się w ciągu dwóch sekund. Powróciłem i wynagrodziłem Clarissie i Jocelynowi swoją nieobecność, opowiadając im własną historyjkę o odtraconym geniuszu. Emerytowany wydawca, mąż znajomej fizyczki, zwierzył mi się, że w latach pięćdziesiątych odrzucił powieść zatytułowaną *Strangers from Within*. (W tym momencie goście musieli być jakieś trzy metry od nas, tuż za naszym stolikiem. Chyba nawet nas nie widzieli). Swą pomyłkę odkrył trzydzieści lat później, gdy odnaleziono starą teczkę w wydawnictwie, w którym niegdyś pracował. Nie pamiętał nazwiska na maszynopisie – czytał co miesiąc po kilkanaście propozycji; nie przeczytał też książki, gdy się wreszcie ukazała. A przynajmniej nie od razu. Autor, William Golding, zmienił tytuł na *Władca much* i wyrzucił długi, nużący pierwszy rozdział, który zniechęcił mojego znajomego.

Właśnie miałem zamiar wyciągnąć szumny wniosek – że czas chroni nas przed najgorszymi pomyłkami – lecz Clarissa i Jocelyn nie słuchali. Ja również zacząłem zdawać sobie sprawę z ruchu po jednej stronie. Poszedłem za ich spojrzeniami i odwróciłem się. Dwaj mężczyźni, którzy przystanęli przy stoliku obok, doznali chyba ciężkich poparzeń twarzy. Ich skóra miała martwą, sztuczną barwę, przywodzącą na myśl lalki lub plastry medyczne; w naturze taki kolor skóry po prostu nie istnieje. Pozbawione

wyrazu oblicza nadawały im wygląd robotów. Dopiero później dowiedzieliśmy się o maskach lateksowych, lecz wówczas obaj mężczyźni stanowili wstrząsający widok, nawet zanim zaczęli działać. Przybycie kelnera z naszymi deserami w nierdzewnych stalowych pucharkach na chwilę nas uspokoiło. Nieznajomi mieli na sobie czarne płaszcze, w których przypominali księży. Zachowywali uroczyście milczenie. Mój sorbet pachniał limonką, zielonym mięszem tuż przy białej skórce. Ująłem już łyżeczkę, ale nie tknąłem nią deseru. We trójkę bezwstydnie gapiliśmy się na przybyszy.

Intruzi po prostu stali i wpatrywali się w naszych sąsiadów, którzy z kolei odwrócili się, zdumieni, i czekali. Dziewczynka przenosiła wzrok z ojca na mężczyzn. Starszy pan odwrócił widelec i najwyraźniej chciał coś powiedzieć, ale się nie odezwał. Błyskawicznie rozwinął się przede mną szereg możliwości: studencki wygląd, uliczni przekupnie; ten facet, Colin Tapp, był lekarzem czy prawnikiem i oto zjawili się jego pacjenci czy klienci; a może to nowa forma usług pocztowych albo szaleni członkowie rodziny, którzy przyszli narobić mu wstydu. Gwar południowych rozmów, który wokół nas nieco przycichł, znowu wrócił do normalnego poziomu. Gdy wyższy mężczyzna wyciągnął z płaszcza czarną laskę, różdżkę, uznałem, że ktoś w tej oryginalnej formie chce przesłać Tappowi całuski. Ale kim był drugi obcy, który teraz z wolna się obracał, lustrując salę? Pomiął nasz stolik, gdyż był zbyt blisko. Jego oczy, prosiakowate w sztucznej skórce, ani razu nie napotkały mojego wzroku. Wysoki mężczyzna, gotów rzucić urok, wymierzył różdżkę w Colina Tappa.

A sam Tapp nagle wyprzedził nas wszystkich o sekundę. Jego twarz ukazała nam to, czego nie rozpoznaliśmy w tej niezwyklej chwili. Zdziwienie starszego pana, zakrzepłe w strachu, nie mogło nam pisnąć ani słówka, bo nie było na to czasu. Kula bezdźwięcznie przeszła białą koszulę przy ramieniu, uniosła ofiarę z krzesła i cisnęła nią o ścianę. Uderzenie spowodowało silny rozprysk, krwawą mgłę, która w drobnych kawałeczkach padła na nasz obrus, desery, ręce, oczy. Mój pierwszy impuls był prosty i wywołany chęcią samoobrony: nie wierzyłem, że oglądam



taką scenę. Banały powielają prawdziwe stwierdzenia: nie wierzyłem własnym oczom. Tapp padł na stolik. Jego ojciec się nie ruszył, w twarzy nie drgnął mu ani jeden mięsień. Córka zemdląca, niczego innego nie mogła zrobić, jej umysł odgrodził się od tej potworności. Osunęła się na bok krzesła w stronę Jocelyna, który w odruchu starego sportowca wyciągnął rękę i choć nie mógł utrzymać dziewczynki na krześle, przynajmniej chwycił ją za ramię, chroniąc głowę przed uderzeniem.

Nawet gdy się już zsuwała, mężczyzna znowu podniósł broń, mierząc w czubek głowy Tappa. Z pewnością byłby go zabił. Ale wtedy właśnie gość, który jadł samotnie, skoczył z okrzykiem, jakimś psim skowytym, i akurat zdażył dobiec na tyle blisko, by wyciągniętym ramieniem podbić lufę, tak że druga kula wbiła się wysoko w ścianę. A choć miał ostrzyżone włosy, jakże mogłem nie rozpoznać Parry'ego?

My, przy naszym stoliku, nie byliśmy w stanie się poruszyć ani odezwać. Dwaj mężczyźni spieszenie skierowali się ku wyjściu. Wysoki po drodze schował broń i tłumik do płaszcza. Nie widziałem, by Parry wychodził, lecz musiał udać się w inną stronę i wydostać przez drzwi zapasowe. Tylko przy dwóch stolikach zauważono cały incydent. Ktoś musiał krzyknąć, po czym na całe sekundy zapanował bezruch. W dalszej odległości od nas nikt niczego nie słyszał. Pogawędki, brzęk sztućców o talerze rozbrzmiewały jak gdyby nigdy nic.

Spojrzałem na Clarissę. Twarz miała zaróżowioną po jednej stronie. Już zamierzałem się do niej odezwać, gdy pojąłem, w czym rzecz, zrozumiałem to całkowicie, doszło do mnie bez najmniejszego wysiłku, w tym samym nerwowym przebłysku prewerbalnej myśli, która jednocześnie obejmuje związek i strukturę, która zna powiązania między rzeczami lepiej niż same rzeczy. Niewyobrażalne! Nasze dwa stoliki – ich układ, liczba gości, płęć, odpowiednie relacje wiekowe. Skąd Parry to wiedział?

Popełniono błąd. Ci bandyci osobiście do nikogo nic nie mieli. Zawarto umowę, której realizację spartolono. To miałem być ja.

Ale niczego nie czułem, nawet śladu usprawiedliwienia. W tym czasie jeszcze nie wynaleziono uczuć, podzielności myślenia, paniki, poczucia winy ani żadnych wyborów. A zatem siedzieliśmy bez ruchu, pogrążeni w beznadziei wstrząsu, podczas gdy wokół nas gwar południowego posiłku powoli zanikał, w miarę jak zrozumienie, biorące się z naszego milczenia, zataczało coraz szersze kręgi. Dwaj kelnerzy pospieszyli ku nam, otworzywszy usta ze zdziwienia, i dopiero gdy do nas dotarli, zrozumiałem, że nasza historia będzie miała ciąg dalszy.

Po raz drugi tego popołudnia i po raz drugi w życiu siedziałem na posterunku policji – obecnie na Bow Street – czekając na przesłuchanie. Statystycy nazywają taki ciąg zdarzeń przypadkową zbieżnością, elegancko pozbawiając go znaczenia. Prócz Clarissy i Jocelyna w pomieszczeniu znajdowało się jeszcze siedmiu innych świadków — czterech gości restauracyjnych z pobliskich stolików, dwóch kelnerów oraz kierownik sali. Pan Tapp leżał w szpitalu, lecz czuł się dość dobrze i następnego dnia mógł złożyć zeznania. Dziewczynka i staruszek byli jeszcze zbyt wstrząśnięci, by rozmawiać na ten temat.

Upłynęło dopiero kilka godzin, a już donosiły o nas nagłówki wieczornej gazety. Wyszedł po nią jeden z kelnerów, a gdy wrócił, zebraliśmy się wokół niego, w dziwnym uniesieniu czytając o naszym przeżyciu, potraktowanym jako kolejna pozycja normalnego repertuaru, którą relacjonuje się pod tytułami w rodzaju „Tragedia w restauracji”, „Koszmar podczas lunchu” czy „Krwawa łaźnia”. Kierownik sali wskazał zdanie, które opisywało mnie jako „znanego popularyzatora nauki”, Jocelyna jako „wybitnego uczonego”, Clarissę zaś po prostu jako „piękność”. Kierownik sali skłonił ku nam głowę z zawodowym szacunkiem. Dowiedzieliśmy się z gazety, że Colin Tapp piastował urząd podsekretarza stanu w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Był człowiekiem interesu i posłem, który dopiero niedawno uzyskał poważną pozycję w sferach rządowych i rzekomo „miał rozległe stosunki oraz wielu wrogów na Bliskim Wschodzie”. Wysuwano przypuszczenia co do tożsamości „nieustraszonego gościa, który brawurowo, niczym zawodowy rewolwerowiec”, interweniował, ratując Tappowi życie, po czym tajemniczo zniknął. Dalej w numerze zamieszczono parę tekstów o Londynie jako „boisku fanatyków” i o dostępności broni palnej oraz komentarz, w którym ubolewano, że „dawne, niewinne, spokojne życie uchodzi w przeszłość”. Całe wydarzenie potraktowano w sposób typowy, przy czym dokonano tego błyskawicznie aż dziw. Można by odnieść

wrażenie, że temat opracowano już dawno, a wydarzenie, którego byliśmy świadkami, zainscenizowano, by uzasadnić publikację tego materiału.

Dwaj detektywi mieli zebrać zeznania świadków, lecz upłynęło trochę czasu, nim zdołali wziąć się do dzieła. Gdy opadło z nas podniecenie, wywołane dziennikarskim ujęciem wypadku, powróciliśmy na miejsca i w poczekalni zapadła martwa cisza. Słysząc było częste ziewnięcia, a znużone uśmiechy potwierdzały, jak zaraźliwy jest to dźwięk. Policjanci w końcu byli gotowi do przesłuchań, a Clarissa i Jocelyn poszli na pierwszy ogień. Clarissa wróciła po dwudziestu minutach i usiadła obok mnie, by poczekać na ojca chrzestnego. Wyjęła Keatsa z opakowania, otworzyła go i zaczęła wachać stronice. Potem wzięła mnie za rękę, ścisnęła ją i przyłożyła mi usta do ucha.

– To cudowny prezent. – A potem: – Joe, powiedz im po prostu, co widziałeś, dobrze? Nie opowiadaj tej swojej historii.

Z jej wcześniejszych słów wywnioskowałem, że nie rozpoznała Parry'ego. Nie miałem zamiaru teraz się z nią kłócić. Jestem samodzielny. Skinąłem tylko głową i zapytałem:

– Odwieszisz Jocelyna?

– Tak. Zaczekam na ciebie w domu.

Gdy wyszedł, uścisnęliśmy sobie ręce, po czym oboje odjechali. Rozsiadłem się wygodnie i czekając na swoją kolej, zastanawiałem się, co powinienem zeznać. Wyszedł kierownik sali, wszedł jeden z gości, a potem któryś z kelnerów. Zostałem wezwany przedostatni, a do pokoju, gdzie odbywały się przesłuchania, wprowadził mnie uprzejmy młodzieniec, który przedstawił się jako detektyw Wallace.

Zanim usiadłem, wygłosiłem swoją kwestię.

– Mogę panom od razu powiedzieć, że wiem, co się stało. Kula, która trafiła pana Tappa, była przeznaczona dla mnie. Człowiek, który jadł samotnie i zainterweniował, to ktoś, kto mnie prześladowuje. Nazywa się Parry. Parę godzin wcześniej złożyłem na

niego skargę na komisariacie. Proszę, panowie, byście skontaktowali się z inspektorem Linleyem z posterunku na Harrow Road. Powiedziałem mu nawet, że moim zdaniem Parry może kogoś wynająć, by wyrządzić mi coś złego.

Gdy mówiłem to wszystko, Wal lace wpatrywał się we mnie, choć, jak skonstatowałem, bez wielkiego zdziwienia. Gdy skończyłem, wskazał mi krzesło.

– No dobrze. Zaczniemy od początku. – I przystąpił do spisywania moich danych, adresu, detali, które zapamiętałem od momentu wejścia do restauracji.

Procedura ta z konieczności była drobiazgowa, a Wallace również od czasu do czasu dopytywał się o szczegóły: chciał wiedzieć, o czym rozmawialiśmy przy stoliku, a w pewnym momencie poprosił, bym opisał nastroje moich współbiesiadników; ciekawiło go, czy smakowało nam jedzenie, zasięgał mojego zdania w kwestii obsługi. Dwukrotnie pytał, czy Parry albo mężczyźni w płaszczach coś krzyczeli. Gdy skończyliśmy, przeczytał mi moje zeznanie, wygłaszając każde zdanie takim tonem, jakby była to kolejna pozycja jakiegoś spisu. Natychmiast chciałem wyprzeć się tej prozy. Kiedy doszedł do punktu: „W pobliżu naszego stolika siedział samotny mężczyzna, w którym rozpoznałem...”, przerwałem mu:

– Chwileczkę. Tego nie powiedziałem.

– Nie zauważył go pan?

– Zauważyłem, ale z początku nie zdawałem sobie sprawy, kim jest.

Wallace skrzywił się, niezadowolony.

– Ależ widywał go pan bardzo często przed swoim domem i gdzie indziej.

– Obciął włosy i siedział tyłem do nas.

Wallace wprowadził poprawkę i przeczytał zeznanie do końca. Gdy podpisywałem, powiedział:

– Może zechce pan poczekać na komisariacie, panie Rose. Chciałbym jeszcze z panem porozmawiać.

– Mogę zaczekać tutaj – odparłem. – Gdzieś tam znajduje się człowiek, który chce mnie zabić.

Wallace skinął głową i uśmiechnął się, a raczej rozciągnął wargi, w ogóle ich nie rozchylając.

Wszyscy świadkowie przywiezieni z restauracji już wyszli, a ja znalazłem się w poczekalni wraz z grupą wściekłych amerykańskich turystów, których bagaż – jak podsłuchałem – skradziono podczas ładowania do autokaru przed hotelem. Osobno przycupnęła młoda kobieta, która potrząsała głową z milczącym niedowierzaniem i bez powodzenia usiłowała powstrzymać łzy.

Gdy siedziałem z Clarissą, postanowiłem nie naciskać policji zbyt mocno. Wystarczy sam tok wydarzeń. Moja wcześniejsza skarga została odnotowana, incydent w restauracji potwierdzał ją w sposób niepodważalny. Parry'ego należy oskarżyć o próbę morderstwa, a tymczasem potrzebuję ochrony. Teraz, kiedy z grona świadków pozostałem już tylko ja i podniecenie opadało, czułem, jak bardzo jestem osamotniony i bezbronny. Parry był wszędzie wokół mnie. Usiadłem naprzeciw drzwi, z dala od jedynego okna. Za każdym razem, gdy ktoś wchodził, czułem, jak zimna kropla wpada do mojego żołądka. Paranoja stworzyła mi jego obraz – Parry zajął pozycję na wprost komisariatu, a po obu jego bokach stali mężczyźni w płaszczach. Podszedłem do wyjścia i rozejrzałem się. Nie poczułem zdziwienia ani ulgi, gdy przekonałem się, że go tam nie ma. Taksówki i limuzyny przywoziły tłum widzów na wieczorny spektakl operowy. Było prawie piętnaście po siódmej. Czas zwiął się w sobie. Szczęśliwcy, którzy mijali mnie w drodze do domu, baru lub kawiarni, pobłogosławieni wolnością, której nie odczuwali, a której ja nie miałem, mogli cieszyć się swobodą – nikt nie chciał ich zabić.

Znajoma, której postawiono błędną diagnozę śmiertelnej choroby, opowiedziała mi kiedyś, jak bardzo poczuła się samotna, wychodząc z gabinetu lekarza. Współczucie przyjaciół wręcz wyróżniało ją jako osobę odmienną. Ona sama знаła ludzi, którzy zmarli, i doskonale wiedziała, że życie bez niej będzie toczyć się dalej. Wody zamkną się nad jej głową, przyjaciele się zasmucają, a potem dojdą do siebie, nieco mądrzejsi, i niezliczone dni pracy, przyjęcia i proszone kolacje nadal będą się odbywały. Tak i ja się czułem, gdy wróciłem do komisariatu. Nie litowałem się nad sobą, choć może coś w tym było, raczej kurczyłem się we własne jądro, na tyle głęboko, że wszystko inne – denerwujący turyści, zrozpaczona dziewczyna – jawiło mi się po drugiej stronie grubej szklanej tafli. Gdy snułem się po poczekalni, moje myśli płynęły na chybił trafił we własnym małym akwarium. Nikt nie miał tego co ja. Gdybym tylko mógł wymienić swoją sytuację na bilet do opery, albo nawet na zgubioną walizkę czy jakiegokolwiek nieszczęście, które dotknęło dziewczynę!

Niemal wpadłem na Wallace'a, który mnie szukał. Był nieco mniej uprzejmy i bardziej ożywiony niż przedtem.

– Tędy – powiedział, prowadząc mnie z powrotem korytarzem do pokoju przesłuchań.

Gdy usiadłem, z przyjemnością zauważyłem na biurku kilka przefaksowanych stron z notatek inspektora Linleya.

Wallace spojrzał na mnie z nowym zainteresowaniem. Nie był to już typowy zapis zeznań świadka wedle norm policyjnych.

– No cóż. Pogadałem sobie z inspektorem Linleyem.

– To dobrze. Więc ma pan obraz całości. Uśmiechnął się. Zachowywał się niemal zuchwale.

– Tak nam się wydaje. Pewnie nie będzie pan zadowolony. Ale chciałbym, żeby mi pan opowiedział to jeszcze raz.

– Mam jeszcze raz zeznawać? A niby dlaczego?

– Możemy zacząć od początku? Pan pojawił się jako ostatni z gości. Proszę mi opowiedzieć wszystko, co pan robił, dajmy na to, od dziewiątej rano.

Może wolno dojrzywałem, bo byłem już dobrze po czterdziestce, nim zorientowałem się, że nie muszę spełniać każdej prośby tylko dlatego, że jest rozsądna bądź rozsądnie sformułowana. Wiek pozwala człowiekowi na niejedno. Można być sobą i odmówić. Splotłem ramiona i uśmiechnąłem się fałszywie. Moja odmowa była przyjazna.

– Strasznie mi przykro. Nie mam nic więcej do dodania. Chciałbym wiedzieć, co zamierza pan zrobić.

– Panna Mellon poszła do pracy około wpół do dziewiątej? O dziewiątej?

– Czy wysłał pan samochód do Frognał Lane?

– Jeśli łaska, nie zmieniamy tematu. Co pan potem robił? Wykonał parę telefonów? Napisał artykuł...?

Wiele mnie kosztowało, by nie podnieść głosu.

– Mam wrażenie, że pan nie rozumie. To niebezpieczny człowiek.

Wallace przeglądał leżące przed nim papiery, zapiski Linleya i własne, mruczając przy tym:

– Gdzieś tu musi być ta notka...

– Nie poprzestanie na tej jednej próbie. Miałem nadzieję, że usiłuje pan zdziałać coś więcej niż zapisać zeznanie, które pan już słyszał.

– No, jest! – powiedział radośnie Wallace, wyciągając przedartę na pół arkusz papieru.

– Chyba nie zamierza mi pan wmówić – ciągnąłem opanowanym głosem – że człowiek, na którego w południe złożyłem skargę na policji, absolutnie przypadkiem usiadł parę metrów ode mnie, podczas gdy...



– Keats i Wordsworth? – zapytał Wallace.

Na chwilę mną rzuciło. W jego ustach ich nazwiska brzmiały, jakby byli podejrzanymi, złoczyńcami, kumplami od kufelka w miejscowej piwiarni.

– Rozmawialiście o nich podczas obiadu.

– Tak.

– Jeden z nich dał po nosie drugiemu, zgadza się? Który któremu?

– Wordsworth przy ganił Keatsowi. Przynajmniej tak głosi legenda.

– A to nieprawda?

Nie mogłem się powstrzymać. Ten typ wyprowadził mnie na manowce.

– Jedyne relacje, jaką dysponujemy na ten temat, jest niewiarygodna. – Na skrawku papieru leżącym przed Wallace'em dostrzegłem teraz ponumerowaną listę.

– To dosyć dziwne – powiedział.

– Co takiego?

– Przecież tacy wykształceni ludzie jak pan, pisarze i w ogóle, prowadzą dzienniki, robią zapiski. To właśnie oni potrafia najwierniej odtworzyć wydarzenie.

Nie odezwałem się. Wyraźnie wodził mnie za nos. Nie wiem, dokąd zmierzał, ale postanowiłem dać się tam zawieść bez oporu. Wallace zerknął na swoją listę.

– Niech pan posłucha tego – rzekł. – Całkiem interesujące. Punkt numer jeden: pan Tapp z rodziną zjawili się pół godziny później niż państwo... – Uniósł palec, by uprzedzić mój sprzeciw. – Tak twierdzi pański profesor Kale. Punkt drugi, również z zeznań profesora: do toalety poszedł pan Tapp, nie jego córka. Punkt trzeci: profesor Kale utrzymuje, że w pobliżu waszego stolika nie siedział żaden samotny gość. A pańska Clarissa Mellon zeznała,

że nieopodal tkwił jakiś pojedynczy gość, ale nigdy go przedtem nie widziała. Wypowiedziała się na ten temat bardzo zdecydowanie. Punkt czwarty: panna Mellon oświadczyła, że broń było widać, nim ci dwaj podeszli do stolika Tappów. Co do punktu piątego: wszyscy świadkowie z wyjątkiem pana stwierdzili, że jeden z mężczyzn powiedział coś w obcym języku. Trzech sądzi, że po arabsku, jeden – że po francusku, reszta nie jest pewna. Żaden z tych trzech nie mówi po arabsku. Ten, który powiada, że to był francuski, sam nie zna francuskiego ani żadnego obcego języka. Punkt szósty...

Nie przytoczył jednak punktu szóstego. Zwinął karteczkę i włożył ją do górnej kieszonki marynarki. Z łokciami na stole wychylił się do przodu i rzekł konfidencjonalnym tonem, w którym dawało się słyszeć zaledwie cień litości:

– Powiem panu coś w zaufaniu. Półtora roku temu próbowano dokonać zamachu na życie pana Tappa w recepcji hotelu w Addis Abebie.

Zapadła cisza. Pomyślałem sobie, że to złośliwość losu, by mężczyznę, którego dziś postrzelono przez pomyłkę, niegdyś postrzelono naprawdę. W takim momencie nic nieznaczący zbieg okoliczności to prawdziwe przekleństwo.

Wal lace lekko odchrząknął.

– Nie musimy śledzić całej sprawy do końca. Pomówmy o lodach. Kelner powiada, że podczas strzelaniny właśnie przyniósł je do pańskiego stolika.

– Nie tak to zapamiętałem. Zaczęliśmy jeść, a potem zostały zbryzgane krwią.

– Kelner powiada, że krew trysnęła aż na niego. Lody zostały zachlapanie, gdy je postawił na stoliku.

– Ale pamiętam, że zjadłem parę łyżeczek – rzekłem. Poczulem znajome rozczarowanie. Nie można ustalić jednolitej wersji. Widzimy świat jak przez mgłę, każdy z nas na swój sposób. Na ludzkich spostrzeżeniach nie można polegać, albowiem

przechodzą one przez pryzmat wiary i pragnień, który zniekształca naszą wrażliwość, naginając też wspomnienia. Patrzymy i zapamiętujemy jak nam wygodnie, a przy okazji niejedno sobie wmawiamy. Bezlitosny obiektywizm, zwłaszcza w odniesieniu do nas, to postawa z góry skazana na klęskę społeczną. Pochodzimy od wzburzonych, namiętnych opowiadaczy półprawd, którzy, by przekonać innych, jednocześnie przekonywali siebie. Przez wieki powodzenie oddzieliło wśród nas ziarno od plewy, a wraz z powodzeniem ujawniła się nasza wada, wyryta głęboko w genach niczym wyżłobienia w kołach wiejskiego wozu – bywa, że sami nie chcemy jednoznacznie określić, co mamy przed oczyma. Uwierzyć znaczy zobaczyć. Dlatego dochodzi do rozwodów, sporów granicznych i wojen i dlatego posąg Najświętszej Panny płacze krwawymi łzami i napojami mlecznymi. Dlatego też metafizyka i nauki ścisłe były tak odważnymi przedsięwzięciami, tak zadziwiającymi wynalazkami, większymi niż koło, większymi niż rolnictwo; były ludzkimi wytworami przeciwstawionymi istocie ludzkiej natury. Bezinteresowna prawda. Lecz i ona nie zdoła nas ocalić od samych siebie, wyżłobienia są zbyt głębokie. W obiektywizmie nie ma prywatnego odkupienia.

Ale właściwie dlaczego w moim interesie miałby leżeć dokładny opis obiadu w restauracji?

Wallace cierpliwie powtarzał pytanie.

– O jakim smaku były lody?

– Jabłkowym. Jeżeli facet twierdzi coś innego, mówimy o dwóch różnych kelnerach.

– Pański przyjaciel profesor twierdzi, że waniliowym.

– Proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie – rzekłem. – Dlaczego nie przesłuchuje pan Parry’ego?

Po szczęście Wallace’a przebiegło drżenie, a jego nozdrza odrobinę się rozděły. Thumił ziewanie.

– Jest na naszej liście. Dojdziemy do niego. Przede wszystkim usiłujemy dopaść tych uzbrojonych mężczyzn. Ale, jeśli

łaska, panie Rose, zatrzymajmy się przy tych lodach. Jabłkowe czy waniliowe?

– I to pomoże wam znaleźć tych bandziorów?

– Chcielibyśmy mieć pewność, że nasi świadkowie starają się, jak mogą. Pomoże nam znajomość szczegółów.

– W takim razie jabłkowe.

– Który z mężczyzn był wyższy?

– Ten z bronią.

– Wyglądał na szczuplejszego?

– Powiedziałbym, że obaj byli średniej budowy.

– Pamięta pan jakieś znaki szczególne na ich rękach?

Nie pamiętałem, lecz udawałem, że usiłuję sobie przypomnieć: marszczyłem brwi, kręciłem głową, przymykałem oczy. Neurolodzy dowodzą, że podczas badania skanerem rezonansu magnetycznego osoby poproszone o przypomnienie sobie określonej sceny wykazują znaczną aktywność ośrodka wzrokowego kory mózgowej, lecz jakże żalosnego obrazu dostarcza nam pamięć – jakiś cień ledwo widoczny, echo szeptu. Nie ma tam co szukać świeżych informacji. Pamięć zwija się, gdy usiłujemy w niej pogrzebać. Ujrzałem rękawy drugich czarnych płaszczy, niewyraźne jak na wyblakłych dagerotypach, a na końcu rękawów – nic. A raczej wszystko. Ręce, rękawiczki, szpony, kopyta.

– Nie przypominam sobie, jak wyglądały ich ręce – odparłem.

– Niech pan się jeszcze zastanowi. Bardzo mi na tym zależy. Może zapamiętał pan pierścionek?

Wyobraziłem sobie rękę bardzo podobną do mojej i obdarzyłem ją pierścieniem, który niegdyś podarowała mi Clarissa: splot złota i srebra, celowo skromny, by nie uchybić wymogom dobrego smaku, umyślnie nieco zbyt wąski. Posmarowała mi masłem kłykieć, by go wsunąć. Kiedyś nam obojgu sprawiało przyjemność, że nie dawał się łatwo zdjąć.

– Niczego sobie nie przypominam – rzekłem. – Chyba już pójdę – dodałem, podnosząc się.

Wallace również wstał.

– Chciałbym, żeby pan został i pomógł nam.

– Chciałbym, żeby pan mnie pomógł. Obszedł biurko.

– Niech mi pan wierzy, że Parry za tym nie stoi. Choć nie twierdzę, że nie potrzebuje pan pomocy. – Cały czas szukał czegoś w kieszeni marynarki. Wyciągnął opakowanie tabletek w srebrzystej folii i pomachał nim tuż przed moim nosem. – Wie pan, co to jest? Ja biorę dwie przed śniadaniem. Czterdzieści miligramów. Podwójna dawka, panie Rose.

Gdy spieszyłem korytarzem, znowu doznałem owego uczucia osamotnienia, zapragnąłem skurczyć się w sobie. A może jednak tylko rozczulam się nad swoim losem – szalenciec usiłował mnie zabić, a wszystko, co może mi zaproponować prawo, to prozac.

Było już ciemno, gdy wysiadłem z taksówki na końcu naszej ulicy i poszedłem w stronę domu, kryjąc się w cieniu platanów. Nie dostrzegłem go w zwykłym miejscu, ani dalej, gdzie czasami się chował, gdy wychodziła Clarissa. Nie było go też z tyłu, w żadnej z bocznych uliczek, za ligustrowym żywopłotem ani z boku budynku. Wszedłem do środka i stanąłem w holu, nasłuchując. Z któregoś mieszkania na niższym piętrze dochodziły stłumione dźwięki symfonii w punkcie kulminacyjnym, banalne i przesadzone, być może to Bruckner, a gdzieś nad moją głową, pod sufitem, szumiała woda w rurach. Z wolna wchodziłem po schodach, trzymając się ich zewnętrznej strony. Prawdę mówiąc, nie sądziłem, by zdołał dostać się do wnętrza, ale rytuały bezpieczeństwa dodawały mi otuchy. Wszedłem do mieszkania i zarygłowałem frontowe drzwi. Po panującej w domu ciszy od razu się zorientowałem, że Clarissa śpi w pokoju dzieciennym, i jak zwykle znalazłem jej karteczkę na kuchennym stole. „Jestem padnięta. Porozmawiamy rano. Całuski, Clarissa”. Spojrzałem na

„całuski”, usiłując wydobyć znaczenie bądź nadzieję z zawijaska w „c”. Sprawdziłem zamki w świetlikach i obszedłem wszystkie pokoje, zapalając światła i zamykając okna. Potem nalałem sobie dużą szklanicę grappy i zaszyłem się w swoim gabinecie.

Zawsze miałem dwie książki adresowe. Kieszonkowego notatnika w twardej oprawie używam na co dzień, zabieram go też w podróż. W ciągu ostatnich dwudziestu lat dwa czy trzy razy zostawiałem go w hotelach, a raz w budce telefonicznej w Hamburgu, i musiałem sporządzać nowy. Drugi notatnik to wystrzępiona księga formatu A3, którą mam, odkąd skończyłem dwadzieścia parę lat, i której nigdy nie wynoszę z gabinetu. Naturalnie służy mi jako informator źródłowy albo rezerwa na wypadek, gdybym zgubił małą książeczkę, lecz przez lata urosła do rangi kroniki mego życia, osobistego i towarzyskiego. Pozwala prześledzić narastającą złożoność samych numerów telefonicznych: trzyliterowe kody londyńskie z najwcześniejszych zapisów mają oryginalny rys okresu edwardiańskiego. Wykreślone adresy świadczą o niespokojnych żywotach bądź karierze wielu znajomych. Niektórych nazwisk nie ma sensu przepisywać – ludzie umierają, wynoszą się z mojego życia, popadają ze mną w konflikty albo w ogóle zacierają się w pamięci – dziesiątki nazwisk z tej księgi adresowej nic mi nie mówią.

Zapaliłem lampę koło szezlonga, usadowiłem się na nim z grappą i księgą adresową otwartą na pierwszej stronie, po czym zacząłem przewracać gęsto zapisane kartki, wpatrując się w palimpsesty w nadziei, że znajdę kogoś z kryminalną przeszłością. Może w sumie wiodłem niezbyt bujny żywot, gdyż nie znałem ani jednego złego człowieka, nikogo, kto świadomie łamałby prawo. Pod „H” znalazłem sprzedawcę zdezelowanych samochodów z drugiej ręki. Umarł na raka. Pod „K” figurował stary kolega z czasów szkolnych, ze skłonnością do depresji, który przez jakiś czas pracował w kasynie. Zniknął mi z oczu, gdy wstąpił w związek małżeński, wypełniony zawziętymi swarami. To właśnie żona, lekarz psychiatra, załatwiła mu kurację wstrząsami elektrycznymi. Potem osiedlili się w Belgii.

Dalej przeglądałem przyjaciół, pół- i ćwierćprzyjaciół oraz obcych, którzy przewinęli się przez moje życie. Większość ich była niezwykle sympatyczna. Może jeden lub dwóch kłamców, jakiś leniuch, chwalipełta, jeden żyjący w urojonym świecie, ale nikogo, kto otarłby się o przestępstwo, nikt nie działał nielegalnie. Pod „N” trafiłem na angielską różę, którą poznałem jesienią 1968 roku, gdy dzieliliśmy jeden śpiwór w Kabulu i Mazar-i Szarif. Gdy po paru latach wróciła do Anglii, systematycznie kradła towary w sklepach. Teraz jest kierowniczką szkoły w Cheltenham. Odpada. Również pod znakiem „N” urodzony był John Nolan, skazany dwadzieścia lat temu – za morderstwo. Podczas przyjęcia wyrzucił po pijanemu z balkonu drugiego piętra kota, który nadział się na szpikulce parkowego ogrodzenia. Skargę na niego złożyło Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt. Nolan zapłacił pięćdziesiąt funtów grzywny, lecz utrzymał posadę w urzędzie podatkowym.

Ta księga ludzkich przychodów, rozchodów i przelotnego opętania, którą rozszerzałem i zmieniałem przez ponad ćwierć wieku, opowiada historię współczesnego zła. Lista nazwisk jest zbyt mocno przesiana, za bardzo spleciona z odchyleniami i wybrykami charakteru, by wzbudzić zainteresowanie systemu odpowiedzialności karnej. Abecadłem mego kręgu społecznego można opisać ograniczony stopień porażki i sporą ilość powodzenia, zawierające się w wąskim przedziale wykształcenia i pieniędzy. Zazwyczaj nie wielkich majątków, lecz dochodów pozwalających na wygodne życie. Nie było po prostu potrzeby zabierania cudzych pieniędzy. Niewykluczone, że klasa średnia popełnia przestępstwa głównie w wyobraźni lub w łóżku czy wokół niego. Pobicia, napadu, uprowadzenia, gwałtu i morderstwa, gdy wydają się nam stosownym działaniem, dopuszczamy się jedynie w ponurych rojeniach. Powstrzymuje nas coś mniej niż moralność, raczej poczucie smaku, *politesse*. Clarissa powtórzyła mi uwagę Stendhala: *Le mauvais gout mene aux crimes*.

Z rosnącym rozczarowaniem przerzucałem swoją księgę rozchodów i przychodów, nie zważając na porywy ciekawości czy mgliste poczucie winy, jakie wywoływały we mnie pewne

nazwiska, póki nie wkroczyłem na porośniętą wyschłymi krzaczkami pustynię ostatnich poszukiwań, „U”, „V”, „X” i „Z”, jałowych kręgów otaczających oazę ostatniej szansy – „W”. Tu, wśród bukolicznych Woodsów, Wheatfieldów, Watersów i Warrenów, wpisane bladym, cienkim ołówkiem, nie przeze mnie, widniało nazwisko Johnny’ego B. Wella. Wedle mojej książki nie był kryminalistą, lecz dałbym głowę, że ma tyle kontaktów co komórka nerwowa połączeń.

Nazywał się John Well; B. zapożyczył sam, czy też ktoś zrobił to dla niego, od cudownego dziecka, Chucka Berry’ego, który grał na gitarze, jakby dźwięczał dzwonkiem. O ile pamiętam, nic z równą łatwością nie przychodziło Johnny’emu, który środkami transportu publicznego przemieszczał się po przedmieściach północnego i południowego Londynu, dostarczając marihuanę i haszysz do mieszkań klientów, którzy byli zbyt wymagający, by korzystać z usług ulicznych dilerów. Wedle wszelkich definicji można by go uznać za handlarza narkotykami, ale dla Johnny’ego B. było to określenie zbyt ostre, zbyt obelżywe, gdyż Johnny B. Well z natury bardziej przypominał zapobiegliwego sklepikarza, dostawcę wybornych win albo zabieganego właściciela delikatesów. Nie przesadzał z cenami, miał towar tylko najwyższej jakości i potrafił powiedzieć o nim wszystko, aż do znudzenia. W tym samym stopniu był uczciwy – drobiazgowy i dokładny, kiedy wyliczał piątki reszty, ostentacyjnie pedantyczny, gdy zwracał kasę za nieudaną transakcję. Ten nieszkodliwy i dyskretny człeczyna wszędzie mógł się pokazać. W czasie swoich niekończących się rund, których dokonywał w transie – przypalał bowiem, by przypieczętować transakcję z każdym nowym klientem albo zapoczątkować negocjacje – mógł wypić herbatkę z wybitnym okulistą, wziąć kąpiel w domu zaprzyjaźnionego adwokata, zjeść kolację z menażerem gwiazdy rocka i na noc wylądować w gniazdku pielęgniarek.

Miał też własne mieszkanie w Streatham – schowek na miotły, wyposażony w urządzenia wodno-kanalizacyjne. Pewnego wieczoru otworzył drzwi czterem uśmiechniętym maskom Jimmy’ego Cartera – było to aż tak dawno temu – a każda para



rak dzierżyła łom. Nie odezwali się słowem ani nie tknęli gospodarza. Odepchnęli go i zdemolowali mieszkancko – musiało im to zająć z pięć sekund – a potem wyszli. Zorganizowana przestępczość eliminowała hipisów.

Był to jeden z pierwszych przykładów racjonalnej organizacji rynku. Dotychczas import i rozprowadzanie były domeną ryzykanckich kapitalistów, samotnych włóczęgów wiernych własnym zasadom, stawiających wszystko na wypchany plecak, który rozsiewał podniecającą woń. Garnitury i łomy przyczyniły się do zmniejszenia nakładów, a także do demokratyzacji, ograniczając towar do trzeciorzędnego pakistańskiego haszu i wchodząc z nim do piwiarni, więzień i na trybuny boisk piłkarskich.

Przez parę miesięcy wyglądało na to, że Johnny B. Well będzie musiał znaleźć sobie inną pracę, ale wybawiła go z kłopotu ta sama liga dżentelmenów, która wcześniej zdemolowała mu mieszkanie. Niewielka pensja zasadnicza i prowizja od sprzedaży. W tym okresie musiał znacznie poszerzyć zasięg swych kontaktów i dlatego sądziłem, że teraz będzie w stanie mi pomóc. Jego pracodawcami zostali ambitni chłopaczkowie, którzy zajmowali *chambre separee* na tyłach The Dog w Tulse Hill. Mieli mnóstwo znajomych, którzy dawali Johnny'emu wiele zleceń. Bandziory uznały go za uczciwego sklepikarza, którym w istocie był, toteż krążył między nimi swobodnie, nikt się z niego nie nabijał ani nie robił mu nic złego. Zarazem zdołał utrzymać swą dawną klientelę, która domagała się odeń towaru w najwyższym gatunku – tutek ze zwiniętymi listkami z Nigerii, tkanych laseczek z Natalu i Tajlandii, nowych, beznasiennych odmian z Oranii, leciutkich jak piórko złotych arkusików z Libanu. W zmienionym systemie typowy, przeżyty w transie dzień wyglądał nieco inaczej. W porze obiadowej należało czasem eksperymentować przy piwie z klientami szukającymi nowinek, a po południu wypić herbatkę z wziętymi adwokatami, którzy zbywali je z lekceważeniem.

Był to żywot samotniczy i ciężki, znacznie cięższy niż poprzednia bieżanina. A Johnny B. Well nigdy się nie dorobił. Był

na to zbyt szczerzy, zbyt uczciwy, za bardzo naćpany. W ogóle nie brał taksówek. Jaki inny handlarz na świecie czekałby trzydzieści pięć minut na autobus, mając na nogach zdarte buty? Zawsze z pełnym przekonaniem, niepozbowionym racji, uważał się za filantropa, który wierzy, że zioło czy trawka, drobno roztarte, zapalone i wdychane, stopniowo wprowadzają ludzkość w dobry nastrój oraz że prywatne i publiczne walki ustaną, gdy zapanuje pogoda ducha, a wszystkie serca otworzą się na światło. Tymczasem, gdy lata osiemdziesiąte obracały się wniwecz, białe kołnierzyki i dresiarze, wespół z adwokatami, konsultantami i gwiazdami rocka, skupiali się na robieniu pieniędzy.

Krąg światła, w którym siedziałem w gabinecie, błysnął mocniej i skurczył się wokół mnie. Grappa się skończyła, choć nie przypominam sobie, bym wychylił ją do dna. Patrzyłem na cienkie, drżące imię i nazwisko Johnny'ego i towarzyszące im siedem cyfr. Któż lepiej mi pomoże? Dlaczego nie pomyślałem o nim wcześniej? Odpowiedź brzmi: ponieważ nie widziałem go od jedenastu lat.

Jak wielu przede mną z wolna zacząłem przyznawać, że w pełnym napięć wieku średnim, jeśli człowiekowi się powiodło, substancją najlepiej poprawiającą nastrój jest alkohol. Legalny, można go pić w towarzystwie, lekką skłonność do niego łatwo jest ukryć pośród powszechnego upodobania do trunków, a w swych nieskończonych, jakże zmyślnych przejawach ten tak barwny, tak smakowity napitek dierzony w dłoni triumfuje już dzięki samej swej formie, jego płynność dogadza każdemu na co dzień, podobna do mleka, herbaty, kawy, wody, a zatem do życia samego. Picie jest odruchem naturalnym, podczas gdy wdychanie tłącej się rośliny nie jest podobne do oddychania, tak samo jak połykanie pigułek różni się od jedzenia, a w naturze żadne przenikanie nie przypomina wkłuwania igłą, chyba że użądlenie owada. Szklanka źródlanej wody zaprawionej słodem, kieliszek schłodzonego chablis jedynie w niewielkim stopniu wpływają na nasze spojrzenie na świat i nie naruszają szklatego continuum jaźni. Oczywiście trzeba wziąć pod uwagę pijaństwo, jego prostactwo, torsje i towarzyszącą mu przemoc, a potem

nikczemny nałóg, fizyczne i umysłowe zapuszczenie oraz poniżająca, pełną udręk śmierć. Ale są to zwykle skutki nadużycia, które płyną, niczym bordo z butelki, z ludzkiej słabości, wady charakteru. Nie można winy za to składać na substancję. Są nawet ofiary czekoladowych ciastek, mam też starszawego znajomego, który wie, że spełnione, użyteczne życie, od trzydziestu lat zażywa czystą heroinę.

Stałem w półmroku przedpokoju i nasłuchiwałem – jedynie trzask i kliknięcia kurczącego się drewna i metalu, a w głębi rur kapanie spływającej wody. Z kuchni szmer lodówki, a za oknem kojące dudnienie nocnego życia wielkiego miasta. Wróciłem do gabinetu, gdzie rozsiadłem się z telefonem na kolanach, rozważając tę chwilę, ten punkt zwrotny. Zamierzałem wyjść poza oświetloną powłokę strachu i drobiazgowego snucia marzeń sennych na jawie i trafić do wyraźnie wytyczonego świata konsekwencji. Wiedziałem, że jeden czyn, jedno wydarzenie pociągnie za sobą następne, aż przestanę panować nad cyklem wypadków, i że jeśli mam jakiegokolwiek wątpliwości, w tym właśnie momencie powinienem się wycofać.

Johnny podniósł słuchawkę po czwartym dzwonku. Gdy się przedstawiłem, skojarzył sobie nazwisko z osobą w ułamku sekundy.

- Joe! Joe Rose. Jak ci leci?
- Przydałoby mi się trochę pomocy.
- Naprawdę? Mam kilka bardzo interesujących...
- Nie, Johnny. Nie o to chodzi. Potrzebuję twojej pomocy. Muszę mieć broń.

## 21

Następnego ranka zawiozłem Johnny'ego do pewnego domu w North Downs. W tylnej kieszeni miałem zwitek banknotów, w sumie siedemset pięćdziesiąt funtów, przeważnie w dwudziestkach. Pięćdziesiątek najwyraźniej nie przyjmowano.

Gdy pełnęliśmy przez dławiającą nudę Tooting, Johnny nadal gmerał przy elektrycznych regulatorach foteli i mamrotał do siebie, naciskając guziki mapy świetlnej i pokładowego komputera.

– Więc wszystko załatwiłeś? Tak, zawsze wiedziałem, że będziesz w porządku.

W niemal leżącej pozycji udzielił mi lekcji zasad obowiązujących w rozmowie o broni.

– To tak samo jak w bankach. Nigdy nie mówisz „pieniądze”. Tak jak w domach pogrzebowych nie mówi się „zmarły”. Podczas załatwiania spraw związanych z bronią nie używasz słowa „broń”. Tylko łachmyty oglądające telewizję powiadają „armata” lub „gnat”. Staraj się nie wymieniać żadnej nazwy. Jeśli musisz, mów „ta rzecz”, „sprzęt” albo „konieczność”.

– Dostarczają naboji?

– Tak, tak, ale to się nazywa „kulki”.

– I ktoś mi pokaże, jak to działa.

– Chryste, nie! Tak się nie robi. Możesz go zabrać do lasu i wykombinować, jak się z tym obchodzić. Wręczą ci to, a ty włożysz sobie do kieszeni. – Johnny uniósł się do pozycji siedzącej. – Na pewno musisz chodzić w bronią w kieszeni?

Nie odpowiedziałem. Dobrze płaciłem Johnny'emu za pomoc. Bezpieczniej dla nas obu będzie nie wprowadzać go w sprawę. Nadal tkwiliśmy w korku. W radiu, po jazzie, ci dranie nadawali program z muzyką atonalną, której hałaśliwa łomotanina działała mi na nerwy. Zgasilem to.

– Powiedz mi coś więcej o tych ludziach – poprosiłem. Wiedziałem już, że są byłymi hipisami, którzy zbili majątek na koksie. W połowie lat osiemdziesiątych zaczęli robić legalne interesy w handlu nieruchomościami. Teraz na rynku panował pewien zastój, toteż z radością sprzedadzą mi broń po zawyżonej cenie.

– Odpowiedni do sytuacji – odparł Johnny. – To intelektualisti.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Mają książki na wszystkich ścianach. Lubią dyskutować o różnych ważnych sprawach. Uważają, że są Bertrendem Russellem albo kimś w tym rodzaju. Pewnie nie będziesz w stanie ich znieść.

Już nienawidziłem moich kontrahentów.

Nim dojechaliśmy do autostrady, Johnny znowu wyciągnął się i usnął. Zazwyczaj nie wstawał przed południem. Ruch był umiarkowany, droga prosta, toteż miałem trochę czasu, by przyjrzeć się memu pasażerowi. Nadal nosił wąs jak amerykański żołnierz z pogranicza; włosy, posiwiałe na końcach, kręciły się nad górną wargą, niemal wchodząc mu w usta. Czy to niezłomność *macho*, której kobiety kosztowały, całując ten atrybut męskiej urody, czy też wczorajsza potrawa, która utraciła już pikantność? Trzydzieści pięć lat uśmiechów i mrużenia oczu w oparach dymku sprawiło, że kurze łapki sięgały mu aż do uszu. Od nozdrzy do ust rozczarowanie wyżłobiło mu głębokie zmarszczki mimiczne. Wiedziałem, że jeśli nie liczyć zmiennej klienteli i nowej dziewczyny, życie Johnny'ego biegło starymi torami. Ale taka egzystencja na marginesie nie była oryginalna, brak pożądanых dóbr nie świadczył już o niefrasobliwości. I oto widzimy uniwersalne przesłanie, które płynie z ciała i kości, bijąc z twarzy, wyglądając z lustra. Johnny nadal chodził w wydeptanych butach i żył jak student albo pracownik opieki społecznej, martwiąc się, że nowy, sprowadzany z Amsterdamu skun jest zbyt silny i szkodzi na serce.

Gdy zjeżdżaliśmy z autostrady, zmiana nawierzchni spowodowała też zmianę tonacji turkotu i Johnny się zbudził. Nadal leżąc płasko na plecach, wyciągnął z górnej kieszeni cienkiego skręta i zapalił. Zaciągnawszy się dwukrotnie, nacisnął regulator fotela i wynurzył się z warkotem, otoczony dymkiem, tak że znalazł się w moim polu widzenia. Nie dał mi pociągnąć. To była prywatna sprawa, pierwszy tego dnia, zawsze wypalany przy herbacie z grzanką.

Zaciągnął się i odezwał na wdechu, po staremu. Istny święty.

– Skręć w lewo. Jedź drogą na Abinger.

Niebawem mknęliśmy w dół obok powyginanych pni i gałęzi, przez ponure tunele zieleni, jednopasmową drogą biegnącą wysokim nasypem nadzeczynym. Włączyłem reflektory. Skręcaliśmy na pobocze, by ominąć nadjeżdżające pojazdy. My, właściciele samochodów, uśmiechaliśmy się ponuro, kiwaliśmy sobie głowami, udając, że nie dostrzegamy niedogodności wąskiej drogi. Byliśmy na głębokiej wsi, która sama w sobie wciniała się głęboko w przedmieście. Co kilkaset metrów mijaliśmy ceglana bramę z żelaznymi okuciami w stylu lat dwudziestych albo drewnianą, wzniesioną z pięciu palików, na których wisiały latarnie od powozów. Nagle w lesie pojawiła się polana, rozdroże, piwiarnia w połowie zbudowana z drewna, a przed nią ze sto zaparkowanych samochodów, spiekających sobie farbę w upale. Puste opakowanie po frytkach podskakiwało leniwie w słońcu, aż uderzyło w naszą szybę. Dwa owczarki alzackie wpatrywały się w ziemię. Potem znowu wjechaliśmy w tunel, a samochód wypełnił się dymem.

– Dobrze wy dostać się z miasta — powiedział Johnny. Opuściłem niżej szybę. Pomyślałem, że mogę się biernie ujarać. Zwitek banknotów wbijał mi się w pośladek i wszystko wydawało się mocniej podkreślone, jakby złożone niewidzialną wythuszczoną czcionką. Może to strach.

Po dziesięciu minutach skręciliśmy na wyżłobiony koleinami podjazd; przez pokruszony asfalt przebijały się chwasty.

– Zdumiewające, co życie potrafi! – rzekł Johnny. – Po prostu pcha się naprzód, na nic nie zważając.

Było to ważne stwierdzenie, na pewno miało stanowić próbę przed rozmową z towarzystwem, w którym zaraz przyjdzie nam się znaleźć. Chciałem coś odpowiedzieć, by uspokoić nerwy. Ale wtedy naszym oczom ukazał się brzydki, pseudotudorowski dom i słowa zamarły mi w krtani.

Kręty podjazd zaprowadził nas do podwójnego garażu, zbudowanego z pustaków i pomalowanego nierówno na wyblakły już fioletowopurpurowy kolor. Zardzewiałe podnoszone drzwi zamknięte były na kłódkę. Z przodu, pomiędzy wysokich traw i pokrzyw, wystawały szkielety i wnętrzości paru motocykli. Wyglądało mi to na miejsce, w którym bez obaw można popełnić zbrodnie. Od żelaznego krążka w ścianie garażu biegł długi łańcuch, lecz na jego końcu nie było psa. Tu właśnie zatrzymaliśmy się i wysiedliśmy. Pokrzywy podchodziły aż pod same georgiańskie drzwi frontowe. Z domu dobiegały dźwięki gitary basowej, niezdarnie powtarzany kawałek z trzech nut.

– Więc gdzie są ci intelektualiści?

Johnny zamrugał i wykonał ręką taki gest, jakby chciał wtłoczyć moje słowa do butelki. Gdy podchodziliśmy do drzwi, mówił prawie szeptem:

– Dam ci radę, za którą może będziesz mi wdzięczny. Nie nabijaj się z tych ludzi. Nie szło im w życiu tak jak tobie i, powiedzmy, są trochę niezrównoważeni.

– Powinieneś był mi to powiedzieć. Chodźmy stąd. – Pociągnąłem Johnny'ego za rękaw, lecz wolną dłonią naciskał już dzwonek.

– Nie pękaj – rzekł. – Tylko się pilnuj.

Zrobiłem krok do tyłu i zacząłem się odwracać, mając nadzieję, że może zejde z podjazdu, lecz wtedy drzwi otworzyły się gwałtownie. Zatrzymałem się, powodowany wrodzoną uprzejmością. Z wnętrza rozszedł się, a raczej buchnął, zapach

przypalonego jedzenia i amoniaku, ukazując po chwili zarys stojącej w drzwiach postaci.

– Johnny B. Well! – powiedział mężczyzna. Miał ogoloną głowę i mały wywoskowany wąsik ufarbowany henną. – Skąd się tu wzięłeś?

– Dzwoniłem wczoraj wieczorem, nie pamiętasz?

– Owszem, umówiliśmy się na sobotę.

– Dzisiaj jest sobota, Steve.

– Mhm, Johnny, jest piątek.

Obaj mężczyźni spojrzeli na mnie. Czytałem wcześniej doniesienia na temat ataku w restauracji i miałem gazety w samochodzie, porozrzucane po całym tylnym siedzeniu.

– W istocie jest niedziela.

Johnny potrząsnął głową. Wyglądał na zdradzonego. Steve wpatrywał się we mnie z obrzydzeniem. Domyśliłem się, że nie chodzi o to, iż stracił dwa dni, lecz o słowa „w istocie”. Miał rację, nie brzmiały dobrze w tym otoczeniu, lecz nawet nie mrugnąłem pod jego spojrzeniem. Plunął czymś białym w pokrzywy i powiedział:

– To ty chcesz kupić broń i parę kulek.

Johnny z zainteresowaniem obserwował jakiś przedmiot na niebie.

– Zapraszasz nas czy jak? – zapytał. Steve zawahał się.

– Jeśli to niedziela, mamy gości na obiedzie.

– Owszem. Nas.

– To było wczoraj, Johnny.

Roześmialiśmy się z trudem. Steve cofnął się, wpuszczając nas do cuchnącego przedpokoju.

Gdy zamknęły się drzwi frontowe, stanęliśmy praktycznie w ciemności.



– Robimy grzanki, a pies zapaskudził całą kuchnię – oznajmił Steve tytułem wyjaśnienia.

Podążyliśmy jego śladem w głąb domu. Wiadomość o psie jakoś sprawiła, że cena siedemset pięćdziesiąt wydała mi się wygórowana.

Weszliśmy do dużej kuchni. Błękitna warstwa dymu z przypalonego chleba sięgała na wysokość ramienia, rozjaśniona światłem wpadającym przez okno zajmujące całą przeciwległą ścianę. Mężczyzna w kombinezonie roboczym i gumiakach zmywał podłogę szczotką, zanurzając ją w nierozcieńczonym bielidle z cynowego kubła. Zawołał do Johnny'ego po imieniu i skinął mi głową. Nigdzie nie widziałem psa. Przy piecyku stała kobieta, mieszając coś w garnku. Miała włosy do pasa, zaczesane prosto. Podeszła do nas wolno i płynnie, a ja pomyślałem, że znam ten typ. W Anglii hipisostwo było głównie ruchem chłopięcym. Pewien rodzaj cichych dziewcząt siadywał po turecku w kącie, ćpał do nieprzytomności i przynosił herbatę. A potem, podobnie jak Wielka Wojna opustoszyła pańskie domostwa ze służących, tak w ciągu jednej nocy zniknęły i te dziewczęta, gdy tylko odezwała się pierwsza trąba feminizmu. Nagle nigdzie nie można było ich odnaleźć. Ale Daisy została. Podeszła do mnie i przedstawiła się. Znała naturalnie Johnny'ego i powitała go po imieniu, dotykając jego ramienia.

Przypuszczałem, że miała około pięćdziesiątki. Długie, proste włosy stanowiły ostatnie ogniwo łączące ją z młodością. U Johnny'ego porażka była wypisana w zmarszczkach twarzy, lecz o klęsce Daisy świadczyła bruzda wyżłobiona wzdłuż zakrzywionej linii ust. Ostatnio dostrzegłem takie usta u kilku kobiet w moim wieku. Twierdziły, że poświęcały się przez całe życie, nie otrzymując nic w zamian. Mężczyźni to sukinsyny, umowa społeczna jest niesprawiedliwa, a biologia jako taka przynosi tylko utrapienie. Ciężar wszystkich rozczarowań smutno wygiął ich wargi w dół, w kupidyński hak utraty. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na dezaprobatę, lecz usta snują znacznie

smutniejszą opowieść, choć ich właściciele zupełnie się nie domyślają, co mówi o nich oblicze.

Przedstawiłem się Daisy. Trzymała rękę na ramieniu Johnny'ego, lecz odezwała się do mnie.

– Jemy spóźnione śniadanie. Musimy zaczynać wszystko od początku.

Po paru minutach siedzieliśmy przy długim kuchennym stole, każdy z miską owsianki i pajdą zimnej grzanki. Akurat naprzeciw mnie usadowił się mężczyzna o imieniu Xan, który zmywał podłogę. Potężne ramiona miał bezwłose i mięsiste; zdawałem sobie sprawę, że patrzy na mnie z niechęcią.

Gdy Steve zajął naczelne miejsce przy stole, ścisnął dłonie, uniósł głowę i przymknął oczy. Jednocześnie głęboko wciągnął powietrze przez nos. Niegdyś, w odległej przeszłości, w jakiejś jamie nosowej wykształciły się ze śluzu fujarki grające dwunutową melodię, a my zmuszeni byliśmy ich słuchać. Wstrzymał oddech na wiele kłopotliwych sekund, po czym długo go wypuszczał. Panował nad nim, a może była to medytacja lub modlitwa dziękczynna.

Nie dało się nie patrzeć na jego wąs. Był zupełnie inny niż Johnny'ego. Ufarbował go sobie na promienną, dojrzałą w słońcu pomarańczę, sztywny jak wycior, wywoskowany niczym wąs pedantycznego pruskiego oficera. Przysłoniłem usta ręką, by ukryć uśmiech. Czułem się lekki jak piórko i cały drżałem. Wstrząs spowodowany wczorajszą strzelaniną, szalony plan zdobycia broni, strach, który nieustannie mnie dręczył – przez to wszystko odnosiłem wrażenie, że tak naprawdę wcale mnie tu nie ma, i lękałem się, że mogę zrobić lub powiedzieć coś głupiego. Żołądek skakał mi do gardła i gwałtownie opadał, ubranie mnie łaskotało, omal nie zacząłem chichotać nerwowo; z każdą chwilą utwierdzałem się w przekonaniu, że jestem uwięziony przy tym stole. Chyba wszystkiemu było winne to bierne palenie w samochodzie. Nie mogłem się powstrzymać przed snuciem porównań dotyczących wąsika Steve'a. Dwa zardzewiałe gwoździe

wbite w jego dziąsła. Strzeliste maszty krążownika, który zbudowałem w dzieciństwie. Można by na nich wieszać ściereczki do przykrywania czajnika z naciągającą herbata.

Nie nabijaj się z tych ludzi... Są trochę nie zrównoważeni. Gdy tylko przypomniałem sobie ostrzeżenia Johnny'ego, gdy zaświtało mi, że nie mogę się z nich śmiać, wiedziałem, że już po mnie. Przy pierwszym, niezbyt silnym prychnięciu przez nos udawałem, że to odwrotność wachania. Podniosłem łyżkę, by się za nią ukryć. Ale nikt jeszcze nie jadł. Nikt się nie odzywał. Czekaliśmy na Steve'a. Gdy nappełnił płuca powietrzem tak, że mało mu nie pękły, pochylił ogoloną głowę, a koniuszki wąsów drżały mu niczym złaknionemu szczurowi. Z mojego miejsca widziałem, jak ludzki wyraz opuszcza tonący okręt jego twarzy. Po spirali mojego niepokoju i wesołości krążył ciąg jeszcze bardziej nieproszonych obrazów z dzieciństwa. Usiłowałem nie zwracać na nie uwagi, lecz groteskowy wąsik miał tak potężną siłę komiczną, że przywołał wszystko: wiktoriańskiego atletę na wieczku puszek biskwitów, piorun uderzający w kark potwora Frankenstein, nowinkarski budzik z wymalowaną tarczą wskazujący za piętnaście trzecia, susła na herbacie u Szalonego Kapelusznika, Szczurka w szkolnym przedstawieniu *Ropuchy z Ropuszego Dworu*.

I to ten człowiek miał mi sprzedać broń!

Nic nie mogłem poradzić. Ponieważ łyżka drżała mi w ręce, odłożyłem ją ostrożnie i zacisnąłem szczęki, czując ukłucia kropelek potu na górnej wardze. Zacząłem się kiwać. Znajdowałem się akurat na wprost Xana, który podejrzliwie mi się przypatrywał. Skrzypienie wydobywało się z mojego krzesła, dochodziło ode mnie stłumione cmokanie. Tyle powietrza opuściło moje płuca, że wdech będzie hałaśliwy, ale do wyboru miałem teraz tylko zażenowanie lub śmierć. Czas zwolnił bieg, gdy poddałem się nieuniknionemu. Zakręciłem się na krześle, ukryłem twarz w dłoniach i skrzeczając, zaczerpnąłem powietrza. Gdy wypełniały mi się płuca, wiedziałem, że nastąpi kolejny atak śmiechu. Pokryłem go jodłującym, gromkim kichnięciem.

Poderwałem się na nogi, podobnie jak cała reszta. Czyjeś krzesło z trzaskiem przewróciło się na podłogę.

– To przez ten środek dezynfekujący – posłyszałem słowa Johnny’ego.

Oto prawdziwy przyjaciel. Miałem przygotowaną opowieść. Lecz nim, jakając się, wy dukam ją podczas całego tego zamieszania, muszę pokonać obraz wąsów Steve’a. Prychając i kaszłając, przeszedłem po omacku przez pokój, gdyż oślepiły mnie łyzy, aż dotarłem do wysokich, sięgających od podłogi do sufitu okien, które otworzyły się, niemal falując, gdy się zbliżałem. Potykając się, zszedłem po kilku drewnianych stopniach na trawnik porośnięty spaloną murawą i mleczem.

Czując na sobie wzrok ich wszystkich, odwróciłem się plecami do domu, splunąłem i odetchnąłem głęboko. Gdy wreszcie doszedłem do siebie, wyprostowałem się i tuż przed sobą ujrzałem psa, zapewne tego samego, który zapaskudził podłogę w kuchni. Przywiązany był przewodem elektrycznym do rdzewiejącej ramy od łóżka. Niezgrabnie stanął na czterech łapach, popatrzył na mnie, przekrzywiając łeb, i bardzo nieobowiazująco, jakby przeproszał, machnął ogonem. Jakież inne stworzenie, prócz nas i innych naczelnych, przez dłuższy okres przeżywałoby uczucie upadającego wstydu? Pies popatrzył na mnie, ja na psa, i odniosłem wrażenie, że zwierzę chce mnie wciągnąć w jakąś formę współudziału w międzygatunkowym przedsięwzięciu. Ale nie pójde na to. Odwróciłem się i pomaszerowałem w stronę domu, wykrzykując: „Najmocniej przeproszam! Amoniak! Alergia!” Pies zaś, pozbawiony gramatyki generatywnej oraz znajomości sposobów zwodzenia, które mnie dane było zgłębić, z powrotem opadł na skrawek gołej ziemi, oczekując przebaczenia.

Niebawem ponownie zasiedliśmy wokół kuchennego stołu. Okna i drzwi były szeroko otwarte, a tematem rozmowy stały się alergie. Xan nadawał swym opiniom ton fundamentalnej prawdy, ozdabiając je słowem „zasadniczo”.

– Zasadniczo – rzekł – pańska alergia jest formą braku równowagi.

Gdy odparłem, że jest to diagnoza niepodważalna, wydawał się zadowolony. Zaczynałem mieć nadzieję, że może jednak mną nie pogardza. Nastawiony był równie wrogo do swej owsianki, jak i do mnie. Przybierał taki wyraz twarzy nie wtedy, gdy chciał podeprzeć mimiką swe słowa, lecz gdy w istocie jego rysy nie miały odbijać żadnych konkretnych uczuć. Zwiodło mnie wygięcie jego górnej wargi, którą jakiś genetyczny rozziw spletał w opryskliwy grymas.

– Zasadniczo – ciągnął – alergia musi mieć przyczynę, badania zaś wykazują, że w ponad siedemdziesięciu procentach przypadków źródło stanowią niezaspokojone potrzeby we wczesnym dzieciństwie.

Już dawno nie słyszałem takiej blagi: procenty wzięte z sufitu, wyniki badań bez podania źródła, pomiary niemierzalnego. Brzmiało to dziwnie po chłopięcemu.

– Jestem w grupie poniżej trzydziestu procent – rzekłem.

Daisy podniosła się, by dolać jeszcze owsianki. Mówiła cichym głosem osoby, która zna prawdę, lecz nie da się zrobić w walce o nią.

– Istnieje przemożny aspekt planetarny ze szczególnym odniesieniem do znaków ziemskich i dziesiątego domu.

W tym momencie Johnny zadarł głowę. Był spięty od momentu, kiedy znowu zasiedliśmy – pewnie denerwował się, że swym zachowaniem urażę gospodarzy.

– To wszystko przez rewolucję przemysłową. Na przykład do końca osiemnastego wieku nikt nie miał alergii, nie słyszano nawet o katarze siennym. Dopiero kiedy zaczęliśmy wyrzucać ten cały chemiczny gnój w powietrze, a potem pakować w żywność i wodę, nasz system odpornościowy zaczął siadać. Nie mamy odpowiedniej budowy, by wchłonać te wszystkie świństwa...

Johnny zapalał się coraz bardziej, gdy przerwał mu Steve.

– Przepraszam, Johnny. Ale to wyjątkowy kawał gówna. Rewolucja przemysłowa uformowała nasz umysł i stąd biorą się nasze choroby. – Gwałtownie odwrócił się do mnie. – A co pan o tym sądzi?

Sądziłem, że ktoś powinien przynieść broń.

– Moim zdaniem absolutnie chodzi tu o stan umysłu. Gdy mam dobre samopoczucie, amoniak mi nie przeszkadza.

– Jest pan nieszczęśliwy – rzekła Daisy. Ściągnęła własną, nieszczęśliwą, wygiętą w dół wargę. – W pańskiej aurze widzę mnóstwo brudnej żółci. – Gdyby stół był węższy, mogłaby dotknąć mojej ręki.

– To prawda – rzekłem i podchwyciłem okazję, by ich zagadnąć. – Dlatego tu przyjechałem.

Popatrzyłem na Steve'a, on zaś odwrócił wzrok. Czekałem, a cisza gęstniała. Johnny wczuwał się w nią z tą swoją bezradną miną, a ja się zastanawiałem, czy nie popełnił błędu.

Cisza zapanowała dlatego, że nie wiadomo było, kto ma się pierwszy odezwać. Zdecydował się Xan.

– Zasadniczo nie jesteśmy ludźmi, którzy mieliby broń. Jego głos zawisł w powietrzu, ale pomogła mu Daisy.

– W ciągu ostatnich dwunastu lat mieliśmy ją, ale nikt z niej nie strzelał.

Zaraz odezwał się Steve, mówiąc jej to, co musiała już wiedzieć.

– Ale mimo wszystko jest naoliwiona i regularnie czyszczona. A Daisy, również ze względu na mnie, odparła:

– Owszem, ale nie spodziewaliśmy się, że ktoś z niej będzie strzelał.

Zapadła pełna zmieszania cisza. Nikt nie wiedział, na czym stoimy. Xan zaczął od początku.

– Rzecz w tym, że nie pochwalamy posiadania tej broni...

– Ani żadnej innej – dodała Daisy.

– To stoller kalibru trzydzieści dwa – wyjaśnił Steve – wyprodukowany, zanim Norwegowie z powrotem odsprzedali fabrykę koncernowi holendersko-niemieckiemu, który ją stworzył. Ma spust z węglika spiekanego o bliźniaczym działaniu, który...

– Steve – rzekł cierpliwie Xan. – Zasadniczo ta rzecz została naszą własnością w zupełnie innych czasach, gdy wszystko było szalone i kto wie, czy nie moglibyśmy jej potrzebować.

– W obronie własnej – rzekł Steve.

– Wiele razy rozmawialiśmy na ten temat, zanim się pojawiłeś – rzekła Daisy. – Nie chcemy, by ktoś ją tak po prostu wziął i wiesz...

Nie mogła skończyć, toteż zapytałam:

– Sprzedajecie ją czy nie?

Xan skrzyżował potężne ramiona.

– Nie w tym rzecz. I nie chodzi o pieniądze.

– Momencik – przerwał Steve. – To też nie jest prawda.

– Jezu! – Xan był nieco podenerwowany. Nie potrafił dobierać słów do myśli, było to trudne i ciągle ktoś mu przerywał, jego postawa odpowiadała wywiniętej wardze. – Niech pan posłucha – rzekł. – Kiedyś chodziło tylko o pieniądze. Wyłącznie o pieniądze. Można niemal uznać, że to proste. Nie mówię, że to było złe, ale niech pan spojrzy, co się stało. Nic nie przebiegło tak, jak ludzie chcieli. Nie może pan tego oceniać ze swego punktu widzenia. Niczego nie może pan oceniać ze swego punktu widzenia. Wszystko jest ze sobą powiązane, teraz o tym wiemy, zostało to udowodnione. Tak wygląda społeczeństwo. Jest zasadniczo całościowe.

Steve pochylił się ku Daisy.

– O co mu chodzi? – spytał teatralnym szeptem, zasłaniając usta ręką.

Daisy zwróciła się do mnie. Może nadal myślała o tym, jak bardzo jestem nieszczęśliwy.

– To proste. Nie mamy nic przeciwko sprzedaży, ale chcielibyśmy wiedzieć, do czego jest panu potrzebna ta broń.

– Wy dostajecie pieniądze, ja biorę broń – odparłem.

Johnny znowu się poruszył. Transakcja, w której pośredniczył, mogła wymknąć mu się z rąk.

– Słuchaj, Joe nie może puścić pary. Zarówno ze względu na nas, jak i na niego.

Nie podobało mi się to ciągle powtarzanie mojego imienia. A nuż zawiśnie w powietrzu tej kuchni na całe tygodnie, razem z innymi sprawami, i zostanie wykorzystane.

– Ale słuchaj... – Johnny dotknął mojego ramienia. – Powiedź coś, co by ich uspokoiło.

Wszyscy wpatrywali się we mnie. Przez otwarte wysokie okno dochodziło skomlenie kundla, zduszony dźwięk, jakby pies chciał go stłumić. Myślałem tylko o tym, żeby opuścić to miejsce – z bronią czy bez. Ostentacyjnie spojrzałem na zegarek.

– Powiem wam to w czterech słowach i tyle musi wam wystarczyć. Ktoś usiłuje mnie zabić.

W ciszy wszyscy, ze mną włącznie, liczyli wyrazy.

– A więc to w obronie własnej – rzekł Xan z nadzieją w głosie.

Wzruszyłem ramionami, niby potakując. Z ich twarzy wyczytałem, że byli roztrzęsieni. Chcieli pieniędzy, ale też i rozgrzeszenia. Ci handlarze koka, naciągacze w obrocie nieruchomościami, zubożali z powodu spadku wartości rynkowej posesji, mieli jakieś niejasne przekonania, które nagle przebudziły się w ich duszach, wywierając nacisk moralny. Chłopaki wyraźnie chciały, żebym wyratował ich z tej sytuacji. Zaczynałem czuć się lepiej. Więc to ja byłem czarnym charakterem. Nagle poczułem się wolny. Wyjąłem rulon banknotów i cisnąłem na stół. Nie ma co się targować.



– Może przeliczycie – zaproponowałem.

Z początku nikt się nie poruszył, potem ręka Steve'a mignęła tuż przed wyciągającą się dłonią Xana. Daisy wpatrywała się w rulon całą sobą. Zdaje się, że marnie im się powodziło. Może żyli na grzankach i owsiance.

Steve przeliczył banknoty sprawnie jak bankier, bardzo szybko, a gdy skończył, włożył je do kieszeni i rzekł:

– W porządku. A teraz możesz się odpieprzyć, Joe!

By zachować twarz, ja również wziąłem udział w powszechnym nerwowym śmiechu.

Potem zauważyłem, że Xan się nie śmieje. Siedział i czekał z założonymi ramionami, a z jego wykrzywionej wargi nie dawało się nic wyczytać. W prawym przedramieniu muskuł – jakiego sam nie miałem – drgał mu rytmicznie, zgodnie z niewidocznym ruchem ręki. Gdy śmiech umilkł, Xan się odezwał, lecz jego głos nie świadczył o dobrotliwym wpływie całościowego leczenia. Był wyższy i nieco ochrypliwy, a wyschły język uderzał o podniebienie. Xan zachowywał się spokojnie, lecz dostrzegałem podskórne podniecenie, puls bijący mu pod gardłem. Wówczas i moja krew zaczęła płynąć nieco szybciej.

– Steve, połóż pieniądze z powrotem na stole i przynieś broń.

Steve podniósł się, nie spuszczając oczu z Xana.

– Niech będzie – powiedział cicho i zaczął przemierzać kuchnię.

Xan wstał z krzesła.

– Te pieniądze nie idą do cynowej puszki.

Nie odwracając się, Steve odparł z równą pewnością siebie:

– Jesteście mi winni forszę. – I dalej szedł przez kuchnię. Najbliżej Xan miał pod ręką pustą miskę po owsiance.

Uchwycił ją dwoma palcami, po czym pokręcił nią mocno niczym frisbee i cisnął, wyciągając dla równowagi lewą rękę.

Miska przeleciała parę centymetrów od szyi Steve'a i roztrzaskała się o framugę drzwi.

– Nie! – krzyknęła Daisy. W jej głosie było coś z tonu znużonej, zniecierpliwionej matki. Następnie bez słowa wyszła z kuchni. Widzieliśmy, jak się oddala, z włosami rozbujanymi wokół talii. Za chwilę już jej nie było, słyszeliśmy tylko odgłos kroków na schodach.

Johnny spojrzał mi w oczy. Wiedziałem, o czym myśli. Teraz odpowiedzialność za tę utarczkę spada wyłącznie na nas. W istocie na mnie, gdyż Johnny usiadł, by skrócić sobie papierosa; potrząsał przy tym głową i wzdychał, patrząc na swe drżące palce.

Steve obrócił się i zaczął wracać do stołu. Xan podszedł doń, chwycił go za gors koszuli i usiłował popchnąć na ścianę.

– Nie zaczynaj – rzekł chrapliwie. – Połóż je na stole.

Ale Steve'a niełatwo było ruszyć. Ciało miał szczupłe, muskularne i wyglądał na okrutnika. Obaj mężczyźni naparli na siebie pośrodku kuchni. Mogłoby się wydawać, że największy trud sprawia im oddychanie. Znajdowali się tak blisko siebie, że ich twarze oświetlał płomień nienawiści, bijący od każdego z nich.

– Jesteście mi winni forszę, oboje – powiedział szybko Steve. – Zabierz tę pierdoloną łapę.

Ale nie czekał, aż przeciwnik usłucha. Lewą dłonią chwycił go za gardło i ścisnął. Xan odrzucił wolną rękę szerokim łukiem, po czym zdzielił Steve'a w twarz. Trzask uderzenia zabrzmiał niczym pęknięcie balonu, a siła ciosu odrzuciła mężczyznę od siebie. Na chwilę zastygli, po czym znowu ruszyli do przodu i zwarli się we wrogim uścisku. Czworonożna bestia kiwała się i sunęła bokiem przez kuchnię z powrotem ku stołowi. Słyszeliśmy z Johnnym tylko stłumione chrząknięcia. Ze spuszczonej głowami, zamkniętymi oczyma, zaciśniętymi zębami, rzucali się po omacku, gramolili się na siebie i wili wokół swych ciał jak kochankowie.

Ktoś musiał ustąpić. Xan wsadził rękę pod podbródek Steve'a i zaczął odpychać mu głowę do tyłu. Żaden byczy kark nie oparłby się potężne tego wstrętne, napierające ramienia, lecz mimo wszystko Xan drżał z wysiłku, gdyż Steve wcisnął mu kciuk w nozdrze i usiłował wymacać jego oczy, tamten zaś, zmuszony się odchylić, wyciągnął się na całą długość. Głowa Steve'a leciała coraz bardziej do tyłu, a Xan już ścisnął ją ramieniem, prawą ręką otaczając szyję przeciwnika, lewą zaś dotykając własnego przegubu, by wzmocnić uścisk. Ruszyłem ku nim. Steve z wolna opadał na kolana. Jęczał i bezładnie wymachiwał rękami, po czym zaczął słabo uderzać w nogi rywala.

Wierzchem dłoni poklepałem Xana po twarzy i przykucnąłem, by powiedzieć mu do ucha:

– Zabijesz go. O to ci chodzi?

– Trzymaj się od tego z daleka. Od dawna już się na to zanosilo.

Spróbowałem pociągnąć go za ucho, by się odwrócił i spojrzeć na mnie.

– Jeżeli umrze, będziesz siedział do końca życia.

– To, kurde, warto!

– Johnny! – krzyknąłem. – Musisz mi pomóc!

Ujrzałem, że Daisy wraca do pokoju. W obu rękach trzymała pudełko po butach, a na jej twarzy malował się wyraz znużenia. Opuszczone kąci warg prosiły, byśmy zrozumieli, co ona musi tu znieść – mężczyźni w jej życiu walczyli o przewagę siłową, która może doprowadzić do tego, że jeden drugiemu złamie kark.

– Bierz to – wyszeptala. – Bierz to, no już!

Podniosłem się i wziąłem od niej pudełko. Było ciężkie, musiałem oburącz podtrzymywać cienką tekturę. Steve znowu jęknął, a ja spojrzełem na Johnny'ego. Popatrzył na mnie prosząco i kiwnął głową w kierunku drzwi.

– Racja – rzekła stanowczo Daisy. – Zabierajcie się stąd.

Jej widoczne wyczerpanie kazało mi się zastanowić, czy nie jest to rodzaj domowego rytuału albo nazbyt częste preludium do skomplikowanego zespolenia seksualnego. Z drugiej strony pomyślałem sobie, że powinniśmy ocalić Steve'owi życie.

Johnny pociągnął mnie za rękaw. Przeszedłem z nim parę kroków przez kuchnię.

– Jeżeli cokolwiek się stanie, nie chciałbym być świadkiem – wymamrotał mi do ucha.

Zrozumiałem, o co mu chodzi, a zatem, skinąwszy Daisy i rzucając ostatnie spojrzenie na głowę Steve'a w drżącym uścisku ramienia Xana, pospieszyliśmy ciemnym korytarzem do drzwi.

Gdy tylko znaleźliśmy się w samochodzie, Johnny wyciągnął skręta i zapalił. Akurat wtedy za nic w świecie nie chciałem absolutnie niczego brać. Wolałbym się gdzieś zatrzymać, by dojść do siebie nad szklaneczką whisky.

– Wiesz, to zabawne – rzekł Johnny przez chmurkę dymu. – Wpadłem tu parę razy i naprawdę rozmawialiśmy na całkiem interesujące tematy.

Wjechałem na szosę i właśnie miałem mu odpowiedzieć, gdy zadzwieczał telefon. Podłączyłem go do gniazda zapalniczki. Dzwonił Parry.

– Joe, to ty?

– Tak.

– Jestem u ciebie w mieszkaniu, z Clarissą. Oddaję ci ją, dobrze? Jesteś tam, Joe? Jesteś tam?

## 22

Miałem wrażenie, że na parę sekund straciłem przytomność. Uświadomiłem sobie, że ryk, który słyszałem przez kilka chwil, dochodzi z silnika samochodu. Jechaliśmy z prędkością niemal setki na godzinę, a ja zapomniałem zmienić biegi. Wszedłem z drugiego na czwarty i trochę zwolniłem.

– Słucham – odezwałem się.

– Mam nadzieję, że uważnie – rzekł Parry. – Daję ci ją.

– Joe? – Natychmiast zorientowałem się, że jest przerażona. Mówiła wysokim głosem. Starła się panować nad sobą.

– Clarisso, nic ci nie jest?

– Musisz zaraz wrócić. O nic nie pytaj. Nie zawiadamiaj policji. – Monotonny głos miał mi dać znać, że mówi to pod przymusem.

– Jestem w Surrey – odparłem. – Powrót zabierze mi ze dwie godziny.

Słyszałem, że powtórzyła to Parry’emu, lecz nie pochwyciłem, co jej odpowiedział.

– Po prostu wróć – rzekła.

– Powiedz mi, co się stało. Nic ci nie jest? Mówiła jak zegar, który wybija godziny.

– Przyjedź od razu tutaj. Nikogo ze sobą nie przywoź. Będzie nas obserwował z okien.

– Zrobię dokładnie, jak każe, nic się nie martw. – Potem dodałem: – Kocham cię.

Słyszałem, jak słuchawka przechodzi w inne rękę.

– Wszystko zrozumiałeś? Nie zawiedziesz mnie teraz, co?

– Słuchaj, Parry. Zrobię, co chcesz. Będę tam za dwie godziny. Nikogo nie zawiadomię. Ale nie rób jej krzywdy. Proszę, nie rób jej niezłego.

– Wszystko zależy od ciebie, Joe – odrzekł i połączenie się przerwało.

Johnny patrzył na mnie.

– Kłopoty w domu – powiedział cicho, ze współczuciem.

Otworzyłem okno i kilka razy głęboko zaczerpnąłem świeżego powietrza. Minęliśmy piwiarnię i wjechaliśmy do lasu. Skreśliłem z szosy na trakt, po którym tłułem się jakieś półtora kilometra, póki nie wyostałem się na małą porębę obok zrujnowanego domu. Widziałem sprzęt budowlany: betoniarkę, deski do rusztowania i cegły, świadczące o trwającej budowie, ale wokół nie było żywej duszy. Zgasilem silnik i sięgnąłem po tekturowe pudełko, które stało na tylnym siedzeniu.

– Rzućmy okiem na te niezbędne przybory.

Uniosłem pokrywkę i zajrzeliśmy do środka. Nigdy przedtem nie strzelałem z broni palnej, ani nawet jej nie widziałem, ale przedmiot, częściowo ukryty pod fałdami podartej białej koszuli, znałem z filmów. Zdziwiłem się dopiero, gdy wziąłem go do ręki. Był lżejszy, niż się spodziewałem, i suchszy, cieplejszy w dotyku. Wyobrażałem sobie, że będzie naoliwiony, zimny i ciężki. Gdy podniosłem go i wycelowałem przez szybę, też nie promieniował mistyką śmiercionośnej mocy. Było to po prostu jeszcze jedno z owych bezwładnych urządzeń, które – po dokonaniu zakupu – rozpakowuje się w domu – jak telefon komórkowy, wideo, mikrofalówkę – i zastanawiałem się, czy trudno mi będzie pobudzić je do życia. Brak sześćdziesięciostronicowej instrukcji zapowiadał trudny początek. Obróciłem pistolet, zastanawiając się, któredy dostać się do środka. Johnny wyciągnął spomiędzy strzępów koszuli niewielkie pudełko z czerwonej tektury, które następnie otworzył.

– To dziesięciostrzałowiec – rzekł i odebrał mi broń, odsunął zapadkę u podstawy kolby i włożył magazynek. Zażółconym palcem pokazał mi bezpiecznik. – Naciągaj go, aż kliknie. – Spojrzał na celownik. – Ładna sztuka. Steve pieprzył. To browning kalibru dziewięć milimetrów. Podoba mi się ten uchwyt z poliamidu. Naprawdę lepszy niż z orzecha włoskiego.

Wysiedliśmy z samochodu i Johnny oddał mi broń.

– Nie wiedziałem, że umiesz się z tym obchodzić – odezwałem się. Minęliśmy dom bez dachu i skierowaliśmy się w stronę lasu.

– Robiłem w broni przez jakiś czas – rzekł rozmarzonym głosem. – Wtedy to był interes. Kiedy pojechałem do Stanów, poszedłem na kurs w Tennessee. Ranczo Kuguara. Niektórzy z tamtych ludzi to chyba byli hitlerowcy. Ale w każdym razie przestrzegali dwóch zasad taktycznych. Po pierwsze, zawsze wygrywaj; po drugie, zawsze oszukuj.

W innych okolicznościach mógłbym się pokusić o rozwinięcie skomplikowanej hipotezy ewolucyjnej, zapożyczonej z teorii gier, a głoszącej, że każde zwierzę stadne, które zawsze oszukuje, jest na najlepszej drodze do wyginięcia. Ale teraz było mi niedobrze. Kolana miałem miękkie, w kiszkiach mi bulgotało. Idąc po suchych, trzeszczących pod nogami liściach buczyny, cały czas z trudem panowałem nad zwieraczem odbytu. Wiedziałem, że nie wolno mi tracić czasu. Powinienem mknąć do Londynu. Ale musiałem się nauczyć obchodzenia z bronią.

– Tutaj może być – powiedziałem. Gdybym postąpił choć jeden krok, narobiłbym w portki.

– Używaj obu rąk – rzekł Johnny. – Odrzut wyda ci się potężny, skoro nie jesteś przyzwyczajony. Stój na rozstawionych nogach i równomiernie rozłóż ciężar ciała. Zrób wolny wydech, gdy naciskasz spust.

Postępowałem właśnie tak, gdy broń wypaliła i podskoczyła mi w dłoń. Podeszliśmy do buka i chwilę trwało, nim znaleźliśmy

śląd po kuli. Ledwo ją było widać, wbiła się na dwa centymetry w gładką korę.

Gdy wracaliśmy do samochodu, Johnny odezwał się:

– Drzewo to pestka, ale kiedy w kogoś celujesz, sprawa zaczyna być poważna. Praktycznie dajesz mu pozwolenie, by cię zabił.

Zostawiłem go w samochodzie na przednim siedzeniu, a sam wziąłem trochę papieru, wróciłem pomiędzy drzewa i obcasem wykopałem płytki rowek. Gdy kucałem nad nim ze spuszczonej spodniami, usiłowałem się uspokoić, rozgrzebując szeleszczące stare liście i zgarniając garstkę ziemi. Jedni ludzie odnajdują tajniki przyszłości w gwiazdach i galaktykach, ja wolę ziemską skalę biologiczną. Zbliżyłem dłoń do twarzy. W bogatej, czarnej, kruszącej się mierzwie dostrzegłem dwie czarne mrówki, skoczogona i ciemnoczerwone stworzenie przypominające robaka, obdarzone dwadzieściorgiem bladobrazowych nóżek. To grzmiący giganci podziemnego świata, tuż bowiem za progiem widzialności znajduje się kraina dżdżownicowatych glist – skaposzczetów i drapieżników, które się nimi żywią, a nawet one wydają się gigantami w porównaniu z mieszkańcami mikroskopijnego królestwa pasożytniczych grzybów i bakterii; w garści ziemi mogło ich żyć z dziesięć milionów. Ślepy mus pochłaniania i wydalania u tych organizmów sprawił, że ziemia jest tak żyzna, iż mogą na niej istnieć rośliny i drzewa, a także stworzenia, które między nimi żyją, tak jak niegdyś i my. Pomyślałem, że uspokoję się, gdy sobie przypomnę, że mimo wszelkich naszych trosk nadal jesteśmy częścią tej naturalnej zależności – albowiem zwierzęta, które zjadamy, odżywiają się roślinami, które, jak nasze warzywa i owoce, ciągną żywotny pokarm z gleby utworzonej przez te organizmy. Ale nawet gdy kucałem, by użyźnić leśne podłoże, nie mogłem uwierzyć w pierwotne znaczenie tych wielkich cykli. Tuż za drzewami wytwarzającymi tlen stał mój wydzielający truciznę pojazd, w którym leżała broń, a o sześćdziesiąt kilometrów jazdy zatłoczonymi drogami stąd rozciągało się ogromne miasto, na którego północnym krańcu było moje mieszkanie, gdzie czekał



szaleniec, niejaki de Clerambault, mój de Clerambault, i moje zagrożone kochanie. Co w tym opisie było niezbędne dla cyklu węglowego czy wiązania azotu? Nie jesteśmy już częścią wielkiego łańcucha. To nasza własna złożoność wypędziła nas z Edenu. Znaleźliśmy się w chaosie, który sami niszczycielsko zmaistrowaliśmy. Podniosłem się, zapiąłem pasek i ze skrupulatnością kota domowego zakopałem rowek.

Zagłębiony we własnych sprawach, ze zdziwieniem stwierdziłem, że Johnny znowu śpi. Obudziłem go i wytłumaczyłem, że muszę prędko wracać do domu. Jeśli chce, mogę go zawieźć na stację. Powiedział, że chętnie skorzysta.

– Ale słuchaj, Joe. Jeśli się z kimś zderzysz i wezwą policję, ja nie mam nic wspólnego z tym browniingiem, dobra?

Poklepałem prawą kieszeń marynarki i zapuściłem silnik.

Ze światłami włączonymi na pełną moc pomknąłem jednopasmową drogą i nie szedłem na żadną ugodę z nadjeżdżającymi samochodami. Kierowcy włączali wsteczny bieg tuż przede mną i stając na poboczu, rzucali mi spojrzenia spode łba. Gdy znaleźliśmy się na autostradzie, Johnny zapalił trzeciego w tym dniu skręta. Zachowywałem prędkość sto osiemdziesiąt, przez cały czas sprawdzając w lusterku wstecznym, czy nie jedzie za nami wóz patrolowy. Usiłowałem zadzwonić do domu, ale nikt nie podnosił słuchawki. Zastanawiałem się, czyby nie zawiadomić policji. Może i warto by było – jeśli znajdę kogoś, kto wyśle elitarny oddział, który spadnie zniecka na Parry’ego i obezwładni go, zanim zdąży zrobić coś złego. Ale dotrę najwyżej – jeśli będę miał szczęście i połączą mnie z taką szarżą – do Linleya lub Wallace’a albo innego znużonego biurokraty.

Zatrzymałem się na Streatham High Street, by oddać Johnny’emu należne pieniądze i tam go zostawić. Nachylił się do otwartych drzwi od strony pasażera, żeby się pożegnać.

– Kiedy broń nie będzie ci już potrzebna, nie trzymaj jej ani nie sprzedawaj. Ciśnij do rzeki.

– Dzięki za wszystko, Johnny.

– Martwię się o ciebie, Joe, ale cieszę się, że wysiadam. Popołudniowy ruch samochodowy w centrum Londynu był zadziwiająco spokojny, toteż dotarłem na swoją ulicę półtorej godziny po telefonie. Skręciłem przed kamienicą i zaparkowałem na jej tyłach, gdzie przy pojemnikach na śmieci znajdują się zamknięte drzwi ewakuacyjne, do których klucz mają tylko stali mieszkańcy. Otworzyłem je i cicho wszedłem na dach. Ostatnio byłem na nim nazajutrz po wypadku Logana, rankiem po pierwszym telefonie Parry’ego. Na stole widniała plama po kawie, którą piłem wtedy na śniadanie. Było tu bardzo jasno, toteż by cokolwiek zobaczyć przez świetlik, musiałem uklęknąć i otoczyć szkło rękami. Miałem widok na hol i kawałek kuchni. Widziałem torbę Clarissy, ale nic więcej.

Drugi świetlik pozwolił mi zajrzeć do holu z przeciwnej strony i sięgnąć wzrokiem aż do saloniku. Na szczęście drzwi były szeroko otwarte. Clarissa siedziała na sofie, zwrócona w moim kierunku, choć nie widziałem wyrazu jej twarzy. Parry usadowił się tuż przed nią na drewnianym stolku kuchennym. Domyśliłem się, że coś mówi. Dzielilo go ode mnie góra dziesięć metrów i wyobraziłem sobie z rozkoszą, że do niego strzelam, lecz ulokował się zbyt blisko Clarissy, a ja nie miałem zaufania do celności swego oka, nie znałem się też dość dobrze na broni, by ocenić, w jakim stopniu szkło świetlika może odchylić linię strzału.

Te rojenia miały niewiele wspólnego z konkretną bronią, która zaczęła ciążyć mi w kieszeni. Wróciłem do samochodu, zaparkowałem przed frontem i wysiadając, zatrąbiłem. Parry podszedł do okna i stanął, częściowo przysłonięty zasłoną. Spojrzał w dół i obrzuciliśmy się wzrokiem z odwrotnej niż dotychczas perspektywy. Idąc po schodach, namacałem broń, odnalazłem bezpiecznik i ćwicyłem zwalnianie. Zadzwoiłem do drzwi i wszedłem do środka. Słyszałem, jak pod koszulą wali mi serce, a gwałtownie przyspieszone tętno spowodowało pulsowanie pola widzenia. Gdy zawołałem Clarisę, zgrubiały język przykleił się do podniebienia między „c” i „l”.

– Tu jesteśmy – odparła, po czym dodała ostrożnie, na wznoszącej się nucie: – Joe... – ale przerwał jej uciszający szelest głosu Parry’ego.

Z wolna wszedłem do saloniku i zatrzymałem się w drzwiach. Obawiałem się, że spowoduję jakiś nagły ruch. Parry postawił kuchenny stół przy sofie i teraz siedział na niej tuż obok Clarissy, którą miał z lewej strony. Popatrzyłem na nią, a ona na ułamek sekundy przymknęła oczy, czym – jak zrozumiałem – dawała mi znać, że sytuacja jest zła, on jest zły, uważaj. Wyglądał młodo i niezgrabnie z podciętymi włosami. Ręce mu się trzęsły.

Gdy przed nimi stanąłem, zapadła kompletna cisza.

– Woląłem kucyk – rzekłem, by ją wypełnić.

Nim napotkał mój wzrok, zerknął w prawo ku niewidzialnej obecności na swym ramieniu.

– Wiesz, dlaczego tu jestem.

– No cóż... – zacząłem i zrobiłem parę kroków w głąb pokoju. Jego głos skrzeknął nieco wyższym tonem.

– Nie podchodź bliżej. Powiedziałem Clarissie, żeby się nie ruszała.

Przypatrywałem się jego ubraniu, zastanawiając się, gdzie trzyma broń. Musi ją mieć. Nie przyszedł zabić mnie gołymi rękami. Bez kłopotu mógł ją pożyczyć albo kupić od ludzi, których wynajął. Pod jego beżową bawełnianą marynarką nie zauważyłem znamiennego wybrzuszenia, lecz miała luźny krój i właściwie trudno było cokolwiek przesądzać. Krawędź czegoś czarnego, może grzebienia, wystawała mu z górnej kieszonki. Ubrany był w obcisłe džinsy i długie buty z szarej skóry, tak że cokolwiek miał, musiał to włożyć do kieszonki. Lewą nogą dotykał jej prawej łydki, niemal wciskając Clarissę w poręcz sofy. Siedziała absolutnie nieruchomo, ręce złożyła na kolanach, z jej ciała promieniowały obrzydzenie i strach, spowodowane jego dotykiem. Głowę zwróciła nieco ku niemu, zamierzając stawić czoło każdej niegodziwości, jaka przyjdzie mu na myśl. Siedziała nieruchomo, lecz drobne

napięcie mięśni i ścięgna karku świadczyło, że jest spięta, gotowa skurczyć się w każdej chwili.

– Skoro masz już tu mnie – powiedziałem – nie potrzebujesz Clarissy.

– Potrzebuję was obojga – odparł szybko.

Zaciskał drżące coraz mocniej dłonie. Krople potu wystąpiły mu na czoło i wydawało mi się, że czuję słodki zapach trawy. O cokolwiek mu chodzi, dopnie teraz swego. A nawet w tej chwili, gdy miałem go tuż przed sobą, pomyśl, że mógłbym wycelować do niego z broni, wydał mi się niedorzeczny. Poczulem się nagle tak zmęczony, że chciałem usiąść. Zapraгнаłem się gdzieś położyć i odpocząć. Zawiodła mnie adrenalina, która powinna przydać mi czujności. Nie mogłem się powstrzymać od ziewania, a on musiał pomyśleć, że to przejaw zimnej krwi.

– Włamałeś się tu – rzekłem.

– Kocham cię, Joe – powiedział po prostu – i to mi zrujnowało życie, – Zerknął na Clarissę, jakby przyznając, że się powtarza. – Nie chciałem tego, przecież wiesz, no nie? Ale nie zamierzałeś zostawić mnie w spokoju i pomyślałem sobie, że coś w tym musi być. Nie zachęcałeś bez powodu. Bóg cię zavezwał, a ty walczyłeś z tym i miałem wrażenie, że prosisz mnie o pomoc... – urwał, spoglądając przez ramię w poszukiwaniu następnej myśli.

Słuchałem go z wyteżoną uwagą, lecz nadal się niepokoiłem, że siedzi tak blisko Clarissy. Dlaczego nie pozwala jej się ruszyć? Przypomniałem sobie moment podczas wizyty u Loganów, gdy uświadomiłem sobie, czym byłaby dla mnie jej utrata. Czy powinienem zrobić coś w tej chwili? Przeszło mi też przez myśl ostrzeżenie Johnny'ego. Gdy tylko wyjmę broń, udzię Parry'emu pozwolenia, by mnie zabił. Może niebezpieczeństwo rozplynie się w rozmowie? Wiedziałem tylko, że w żadnym razie nie powinienem mu się sprzeciwić.

Głos Clarissy był bardzo cichy i cienki. Ryzykowała, usiłując go przekonać.

– Joe na pewno nie chciał wyrządzić panu najmniejszej krzywdy.

Pot spływał teraz strumyczkiem po twarzy Parry'ego. Ten człowiek do czegoś się szykował. Zaśmiał się z wysiłkiem.

– To kwestia dyskusji!

– W istocie bardzo się pana obawiał, wie pan, gdy wystawał pan pod domem, no i tych wszystkich listów. Nic o panu nie wiedział, a tu ni z tego, ni z owego pan się pojawia...

Pokręcił głową. Był to mimowolny skurcz, skutek nerwowego spoglądania na boki. Odniosłem wrażenie, że udało nam się pochwycić istotę jego choroby: musiał odrzucić wszelkie fakty, które nie pasowały do obrazu całości.

– Nie rozumie pani – rzekł. – Żadne z was tego nie rozumie, a pani w szczególności. – Odwrócił się ku niej.

Włożyłem prawą rękę do kieszeni marynarki i zacząłem szukać bezpiecznika, ale gmerałem zbyt mocno i nie mogłem na niego natrafić.

– Nie macie pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Bo i skąd? Ale nie przyszedłem tu, żeby o tym mówić. To już przeszłość. Nie warto o niej rozprawiać, prawda, Joe? Jesteśmy skończeni, wszyscy. – Przesunął palcem po spoconym czole i głośno westchnął. Czekaliśmy. Gdy uniósł głowę, patrzył na mnie. – Nie mam zamiaru się nad tym rozwodzić. Nie po to tu jestem. Przyszedłem o coś cię poprosić. Chyba wiesz, co to jest.

– Chyba tak – skłamałem.

Głęboko zaczerpnął powietrza. Dochodzimy do tego.

– Przebaczenia? – powiedział wznoszącym się, pytającym tonem. – Proszę, wybac mi, Joe, to, co zrobiłem wczoraj, co próbowałem zrobić.

Byłem tak zdumiony, że na chwilę zaniemówiłem.

– Usiłowałeś mnie zabić – rzekłem w końcu, wyjmując rękę z kieszeni. Chciałem usłyszeć, jak to mówi. Chciałem, żeby Clarissa usłyszała.

– Zaplanowałem to i opłaciłem. Pomyślałem, że jeśli nie chcesz odwzajemniać mojej miłości, lepiej, byś nie żył. To było szaleństwo, Joe. Chcę, żebyś mi wybaczył.

Miałem go znowu poprosić, by pozwolił Clarissie się odsunąć, lecz on odwrócił się do niej, włożył rękę do górnej kieszeni i wyciągnął krótki nóż, którym zatoczył łuk w powietrzu. Nie miałem czasu się poruszyć. Clarissa uniosła obie ręce do gardła, lecz nie w nią celował. Przystawił spiczasty czubek noża do nasady swego ucha i trzymał go tam. Ręka dzierżąca nóż drżała i mocno naciskała. Odwrócił się, by pokazać to Clarissie, a potem mnie.

Zawodził coraz głośniejszym głosem, tak że już nie można było znieść tego dźwięku.

– Nigdy niczego mi nie dałeś. Proszę, daj mi to jedno. I tak zrobię, co chcę. Chciałbym dostać od ciebie tylko to. Przebaczenie, Joe. Jeśli ty mi wybaczysz, wybaczy mi i Bóg.

Zgłupiałem ze zdziwienia i poczułem taką ulgę, że nie wiedziałem, jak zareagować. To niezwykle, taka odmiana sytuacji, nie chciał atakować Clarissy ani mnie, lecz fakt, że na naszych oczach zamierzał poderżnąć sobie gardło, docierał do nas z odrętwiającą powolnością.

– Rzuć ten nóż i pogadamy – zdołałem wykrztusić. Potrząsnął głową i przycisnął mocniej. Od koniuszka noża pobiegła krwawa linijka.

Clarissa również osłupiała. Wyciągnęła rękę ku jego przegubowi, jakby dotykiem palca mogła przywrócić go do rzeczywistości.

– Teraz – powiedział. – Joe, proszę. Teraz.

– Jak mogę ci przebaczyć, skoro jesteś szalony? Wycelowałem w jego prawy bok, z dala od Clarissy.

W zamkniętej przestrzeni wybuch wymazał wszystkie inne doznania, a pokój zaświecił niczym pusty ekran. Następnie ujrzałem nóż na podłodze; Parry osunął się do tyłu, z ręką na roztrzaskanym łokciu, twarz miał białą, a usta otwarte od nagłego wstrząsu.

W świecie, w którym logika jest motorem uczucia, w tym momencie Clarissa by się podniosła i zaczęlibyśmy zmierzać ku sobie, żeby brać się w ramiona, okrywać pocałunkami, oblewać łzami, szepcząc cicho pojednawcze zapewnienia o wzajemnej miłości i obopólnym przebaczeniu. Odwrócilibyśmy się od Parry'ego, którego myśli bez wątpienia skurczyły się do jaśniejszego punkcika bólu, do zmasakrowanej kości łokciowej i promieniowej (pół roku później znalazłem jej odłamek pod sofą), a kiedy przyjechaliby po niego policjanci i sanitariusze, gdy już byśmy się nagadali, obsypali piieszczotami i opróżnili dwa imbryki, moglibyśmy wrócić do sypialni, położyć się twarzami do siebie i dać się ponieść do czystej, znajomej przestrzeni. I od razu w tym momencie rozpoczęlibyśmy odbudowę naszego życia.

Ale takie rozumowanie byłoby nieludzkie. Z bezpośrednich i dalszych powodów punkt kulminacyjny tego popołudnia nie zawarł się w owym szczególnym szczęściu. Narracyjna zwięzłość opowieści, zwłaszcza w filmach, mami nas szczęśliwymi zakończeniami, byśmy zapomnieli, że długotrwałe napięcie zubaża uczucie. To wielki uśmierzacz. Owe radosne chwile uwalniania się od strachu nie przychodzą tak łatwo. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin byliśmy świadkami spartolonego morderstwa i próby samobójstwa. Clarissa spędziła popołudnie pod groźbą noża Parry'ego. Gdy rozmawiała ze mną przez telefon, przykładał ostrze do jej policzka. Co do mnie, prócz napięcia, nagromadzenie straszliwych pewników, zrodzonych w toku wydarzeń, nie przyniosło mi natychmiastowej ulgi, nie mogłem bowiem podać żadnego ich uzasadnienia. Czułem się tylko odrętwiały z powodu płaskiego, zawężonego poczucia krzywdy. A znieść czy wyrazić ten beznamiętny gniew było tym trudniej, że

intuicyjnie czułem, iż mając w tym przypadku rację, zostaje też skażony przez prawdę.

Ponadto nie istnieje tylko jeden system logiczny. Na przykład policja, jak zwykle, widziała wszystko w innym świetle. Cokolwiek mieli na Parry'ego, to gdy tylko weszli do mieszkania w dwadzieścia minut po strzelaninie, bardzo jasno postawili sprawę, jakie zarzuty wytoczą przeciw mojej osobie. Posiadanie broni bez zezwolenia, celowe użycie jej z zamiarem zadania ran. Parry udał się w swoją drogę na noszach, a tymczasem posterunkowy i sierżant formalnie, a nawet nieco przepraszająco, aresztowali mnie. Zrobiono odstępstwo od normalnej procedury i pozwolono mi zejść bez kajdanek. Po drodze minęliśmy fotografa policyjnego i specjalistę od medycyny sądowej, którzy szli na górę. Uzyskałem zapewnienie, że to rutynowe czynności, na wypadek gdyby któreś z nas zmieniło zeznania. Moja trzecia wizyta na posterunku w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, trzecia w życiu. Dalsze gromadzenie przypadkowych faktów. Poproszono, by Clarissa również się zgłosiła jako świadek. Inspektor Linley miał wolne, ale przyniesiono i przeczytano moją teczkę. Muszę przyznać, że zostałem potraktowany całkiem uprzejmie. Mimo wszystko przesiedziałem w areszcie całą noc, dzieląc celę z wrzeszczącym pijakiem, i następnego ranka, po długim przesłuchaniu, wypuszczono mnie za kaucją i kazano się zgłosić za półtora miesiąca. Jak się okazało, w wyniku listu Linleya do prokuratora generalnego nigdy nie wniesiono przeciw mnie aktu oskarżenia.

A zatem żadnych pieszczot tego wieczoru, rozmów przy kuchennym stole ani łóżka, które nas połączyło po śmierci Johna Logana. Jeszcze gorszy wszakże był obraz, który prześladował mnie podczas bezsennej nocy w celi i pozostał w mojej pamięci przez wiele dni. Widziałem nóż na podłodze, widziałem Parry'ego, który leżąc bezwładnie, ścisnął się za ramię – a potem ujrzałem wyraz twarzy Clarissy. Podniosła się i wpatrywała w broń, którą trzymałem w ręku, z takim obrzydzeniem i zdumieniem, aż się zląkłem, że nigdy nie przezwyciężymy tej chwili. Ostatnio moje najgorsze podejrzenia zaczęły się potwierdzać. Naprawiałem



wszystko w sposób, którego nie dało się zaakceptować. Zaliczyłem zatrważająco dużo punktów. Może naprawdę z nami już koniec.

## 23

Drogi Joe! Bardzo mi przykro z powodu naszej kłótni. Nie ironizuję, mówię poważnie, naprawdę strasznie żałuję. Zawsze byliśmy dumni z tego, że udawało nam się wieść zgodne życie bez owych sporadycznych awantur, które zdaniem innych par są konieczne i działają oczyszczająco. Zeszłego wieczoru czułam się bardzo nieszczęśliwa. Nieszczęśliwa dlatego, że byłam zła i przerażona twoim gniewem. Ale dalej jestem zła, nie da się tego cofnąć. Powtarzałeś raz po raz, iż winna ci jestem głębokie przeprosiny za to, że nie stanęłam z tobą „ramię przy ramieniu” przeciw Jedowi Parry’emu, za to, że zważyłam w jasność twojego umysłu, za brak wiary w moc twego rozumu, umiejętność wyciągania wniosków oraz w poświęcenie, z jakim badałeś jego przypadek. Wydaje mi się, że zeszłego wieczoru przeprosiłam cię za to kilkakrotnie, i ponownie cię za to przepraszam. Miałam wrażenie, że Parry to żalosny i nieszkodliwy świr. W najgorszym razie uważałam go za wytwór twojej wyobraźni. Nie przypuszczałam, że zachowa się tak gwałtownie. Myliłam się, za co bardzo cię przepraszam, naprawdę gorąco przepraszam.

Ale wczoraj wieczorem usiłowałam ci powiedzieć coś jeszcze: nie jestem całkiem pewna, czy postępowałeś słusznie. Ciągłe chodzi mi po głowie, że wynik tego wszystkiego mógłby być mniej przerażający, gdybyś się inaczej zachował. Pomijając to, nie ulega wątpliwości, że cała ta sprawa drogo nas kosztowała, niezależnie od tego, jak słuszne było twoje postępowanie. Ramię przy ramieniu? Przeprowadziłeś to po swojemu, Joe. Od początku, zanim dowiedziałeś się czegokolwiek o Parrym, reagowałeś na niego tak silnie, tak dziwnie, na samą myśl o nim robiłeś się strasznie spięty. Pamiętasz jego pierwszy telefon? Odczekałeś dwa dni, zanim mi o nim powiedziałeś. Dzień później rozpoczęła się stara śpiewka o powrocie do „prawdziwej nauki”, choć już zgodziliśmy się, że to nie ma sensu. Doprawdy twierdzisz, że to nie ma związku z Parrym? Tego samego wieczoru wypadłeś z mieszkania, trzaskając drzwiami. Nigdy przedtem nic podobnego między nami

nie zaszło. Stawałeś się coraz bardziej rozdrażniony i opętany jedną myślą. Nie chciałeś ze mną rozmawiać o niczym innym. Prawie przestaliśmy się ze sobą kochać. Nie chcę się nad tym rozwodzić, ale przetrząsanie mojego biurka odczułam jako straszliwą zdradę. Czy dałam ci jakiś powód do zazdrości? W miarę jak Parry zajmował coraz więcej miejsca w twoim życiu, patrzyłam, jak zagłębiasz się w siebie i oddalasz ode mnie. Zachowywałeś się jak szaleniec działający wyłącznie pod wpływem swej obsesji i byłeś bardzo samotny. Prowadziłeś sprawę, pełniłeś misję. Może miało ci to zastąpić upragnioną pracę naukową. Wykonałeś badania, wyciągnąłeś logiczne wnioski i wiele rzeczy zrobiłeś dobrze, ale po drodze zapomniałeś zabrać mnie ze sobą, zapomniałeś, jak można się zwierzać.

Jeszcze jedno chciałam ci powiedzieć zeszłego wieczoru, ale mnie zakrzyczałeś. Wówczas, po wypadku, z twoich słów aż bił niepokój, że to ty mogłeś pierwszy puścić linę. Naturalną kolejną rzeczą powinieneś był to przemyśleć – odrzucić lub przyjąć do wiadomości, cokolwiek wydałoby ci się słuszne. Myślałam, że znowu o tym porozmawiamy. Sądziłam, że zdołam ci pomóc. Moim zdaniem nie masz się czego wstydić. Przeciwnie, uważam, że tego dnia zachowałeś się bardzo odważnie. Ale po tamtej tragedii rzeczywiście to cię dręczyło. Czy nie jest możliwe, że Parry wskazał ci drogę ucieczki od poczucia winy? Przeniosłeś swe obawy na tę nową sytuację i uciekałeś przed swoimi lękami, zatykając uszy, zamiast odnieść do siebie owe umiejętności racjonalnej analizy, z których jesteś tak dumny.

Przyznaję, że szaleństwo Parry'ego przejawia się na takie sposoby, jakich bym się nie domyśliła. Mimo to rozumiem, skąd mu przyszło do głowy, że go zachęcasz. Wydobywał coś z ciebie. Od pierwszego dnia, gdy ujrzałeś w nim przeciwnika i postanowiłeś go pokonać, i ty, i ja płaciliśmy wysoką cenę. Może gdybyś więcej mi się zwierzał, nie popadłby w taki stan. Pamiętasz, jak ci proponowałam – w ten wieczór, gdy wściekły wyszedłeś z domu – byśmy go zaprosili i porozmawiali z nim? Wpatrywałeś się tylko we mnie z niedowierzaniem, lecz z pewnością w owym czasie Parry'emu nawet przez myśl nie

przeszło, że pewnego dnia zapragnie twojej śmierci. Może działając wspólnie, zepchnęlibyśmy go z toru, na który wkroczył.

Ty poszedłeś własną drogą, odmówiłeś mi wszystkiego, a to rozpało jego wyobraźnię, a w końcu nienawiść. Wczoraj wieczorem zapytałeś, czy zdaje sobie sprawę, że uratowałeś mi życie. W bezpośrednim znaczeniu oczywiście to prawda. Zawsze będę ci wdzięczna. Byłeś dzielny i pomysłowy. W istocie zachowałeś się wspaniale. Ale nie zgadzam się, że Parry nieuchronnie musiał wynajść morderców i że w końcu zagroziłby mi nożem. Moim zdaniem zawsze bardziej prawdopodobne było to, że robi krzywdę sobie. Jakże się myliłam i zarazem jak słusznie rozumowałam! Ocaliłeś mi życie, ale może i naraziłeś na niebezpieczeństwo – wciągając w swoją grę Parry'ego, reagując z nadmierną nerwowością, przewidując każdy jego następny ruch, jakbyś go do niego popychał.

W nasze życie wdarł się obcy i zaraz potem ty stałeś się obcy dla mnie. Wymyśliłeś, że Parry ma syndrom de Clerambaulta (jeśli rzeczywiście jest to choroba), i przypuszczałeś, że może stać się gwałtowny. Miałeś rację, postępowałeś w sposób zdecydowany i słusznie jesteś z tego dumny. Ale co z resztą? Dlaczego do tego doszło, jak to ciebie zmieniło, czy sprawy mogły przybrać odwrotny obrót, jakie to miało znaczenie dla nas? Teraz musimy tym się zająć i to przemyśleć.

Sądzę, że powinniśmy się rozstać na pewien czas. Ja przynajmniej muszę pobyć sama. Lukę zaproponował mi swoje stare mieszkanie na Camden Square, póki nie znajdzie nowych lokatorów. Nie wiem, dokąd to nas doprowadzi. Byliśmy razem tak szczęśliwi. Kochaliśmy się namiętnie i lojalnie. Zawsze myślałam, że nasza miłość będzie trwać nieprzerwanie. Może będzie. Po prostu nie wiem.

Clarissa

## 24

Dziesięć dni po strzelaninie pojechałem do Watlington na spotkanie z Josephem Laceyem. Następnego ranka spędziłem w swoim gabinecie, dokonując ustaleń przez telefon, a po południu poszedłem do naszego miejscowego sklepu z włoską żywnością kupić produkty na piknik. Były bardzo podobne do poprzednich: kulka mozzarelli, ciabatta, oliwki, pomidory, sardele, a dla dzieci pizza Margherita bez dodatków. Nazajutrz spakowałem jedzenie do plecaka, nie zapominając o dwóch butelkach chianti, wodzie mineralnej i sześciopakowi coli. Dzień był pochmurny i chłodny, ale od zachodu rozprzestrzenił się pasek błękitu, a prognoza pogody zapewniała, że nadchodzi fala upałów mająca trwać ponad tydzień. Jechałem do Camden Town po Clarisę. Gdy poprzedniego dnia zrelacjonowałem jej opowieść Lacey'a, koniecznie chciała wybrać się ze mną do Oksfordu. Dowodziła, że skoro razem doszliśmy do tego punktu historii, która wyrządziła nam tyle krzywd, to powinna być obecna także przy jej zakończeniu.

Musiała wypatrywać mojego samochodu, bo gdy tylko zaparkowałem, pojawiła się u szczytu schodów prowadzących do mieszkania jej brata. Wsiadłem i patrząc, jak się zbliża, zastanawiałem się, czy powitamy się po dawnemu. Nie widzieliśmy się od owego wieczoru, gdy nie chciałem jej pomóc w przenoszeniu walizek i ubrań do taksówki. Teraz, w promieniejącym powietrzu, oparty o otwarte drzwi samochodu, doznałem nagłego bólu – po części osamotnienia, po części paniki – widząc, jak moja druga połowa, tak znajoma, przekształca się w odrębną osobę. Perkalowa wzorzysta sukienka była nowa, podobnie jak zielone espadryle. Nawet jej skóra wydawała się inna, bledsza, bardziej gładka. Powiedzieliśmy „cześć” i niezgrabnie uścisnęliśmy sobie ręce – lepsze to niż pełne hipokryzji cmoknięcie w policzek. Znajomy zapach perfum nie dodał mi pewności siebie. Nowe akcenty wywierały przez to jeszcze bardziej dojmujące wrażenie.

Może i ona miała podobne odczucia, kiedy bowiem zapuściłem motor, odezwała się aż nazbyt radośnie:

– Podoba mi się twoja nowa marynarka.

Podziękowałem i powiedziałem coś miłego o jej sukience. Martwiłem się, jak też przebrniemy przez tę wspólną podróż. Nie chciałem kolejnego starcia, a nie mogłem przymknąć oczu na dzielące nas różnice. Ale okazało się, że w ciągu tygodnia, który przeżyliśmy oddzielnie, nagromadziło się sporo neutralnych tematów. Przede wszystkim moja rozmowa z Josephem Laceyem w jego ogrodzie, a potem dzisiejsze spotkania. Tak gawędząc, przejechaliśmy zachodnie przedmieścia. Następnie zgadało się o pracy. W poszukiwaniu ostatnich listów Keatsa pojawił się nowy wątek. Clarissa nawiązała kontakt z japońskim uczonym, który twierdził, że przed dwunastoma laty czytał w Bibliotece Brytyjskiej nieopublikowaną korespondencję dalekiego krewnego przyjaciela Keatsa, Severna. Odnośnik do listu adresowanego do Fanny, lecz nigdy nie wysłanego, mówił o „krzyku nieśmiertelnej miłości, nietkniętej rozpaczą”. W każdej wolnej chwili Clarissa usiłowała wytropić ślad Severna.

Przenosiny biblioteki na King's Cross komplikowały poszukiwania, a teraz zastanawiała się, czyby nie polecieć do Tokio i nie przeczytać notatek uczonego.

Ja natomiast odwiedziłem Birmingham, gdzie z myślą o artykule dla niedzielnego wydania gazety odbyłem próbną jazdę samochodem elektrycznym. Miałem wkrótce lecieć do Miami, by przygotować reportaż z konferencji omawiającej badania na Marsie. Kiedy z nieco komiczną przesadą opisałem przerażenie rzeczników prasowych na widok elektrycznego prototypu, który nie chciał ruszyć, Clarissa nie uśmiechnęła się. Może myślała o odśrodkowej geografii – Maida Vale i Camden Town, Miami i Tokio – która wirowała naszymi żywotami, oddzielając nas od siebie. Gdy zjeżdżaliśmy do Doliny Oksfordzkiej z Chilterns, zapadła cisza, toteż zacząłem mówić o kolonizacji Marsa. Najwyraźniej można tam zaszcześcić proste formy życia, jak mech, a później drzewa odporne na mróz, tak by przez tysiące lat mogła się

rozwinąć atmosfera oparta na tlenie. Temperatura się podniesie i z czasem może to być piękne miejsce. Clarissa obserwowała przez szybę wijącą się przed nami drogę, pola ciągnące się z lewa i prawa, pokryte coraz bujniejszymi uprawami, a także trybulę rosnącą wzdłuż żywopłotów.

– Po co? Tu też jest pięknie, a mimo to czujemy się nieszczęśliwi.

Nie zapytałem, kim są owi „my”. Na tak ograniczonej przestrzeni obawiałem się bardziej osobistej rozmowy. Nasza kłótnia była druga i przerażająca, a choć ani razu nie krzyknąłem, co dała do zrozumienia w liście, podniosłem głos – obojgu nam się to przytrafiło – i przemierzałem pokój jak w niespokojnym śnie. Oprócz krwawej plamy na dywanie to właśnie było spuścizną Parry’ego: orgia wzajemnych oskarżeń, autopsja, która o trzeciej nad ranem posłała nas, zmęczonych i zgorzkniałych, do osobnych łóżek. List Clarissy po prostu jeszcze bardziej nas rozdzielił. Przed piętnastu laty mogłem potraktować go poważnie, podejrzewając, że ucieleśnia mądrość i delikatność, której przez swoją męską gruboskórność nie potrafię pojąć. Niewykluczone, że przyjąłbym reprimendę z pokorą, uznał to za swój obowiązek, lekcję mojej szkoły uczuć. Ale upływ lat sprawił, że staliśmy się twardsi, a jej list po prostu wydał mi się nierozsądny. Nie podobała mi się jego zraniona, obłudna nutka, mazgajowata, kierująca się emocjami logika, przemądrzały ton, kryjący się za wysoce wybiórczą pamięcią. Szalenciec zapłacił za zabicie mnie w restauracji. W porównaniu z tym czymże jest „wspólne przeżywanie”? Że cierpiał na natręctwo myśli, był opętany, pozbawiony zadowalającego życia seksualnego? Chyba nic w tym osobliwego. Oto chora świadomość, krzykliwie domagająca się pasożytowania na mojej. Nie chciałem być sam. Ale nikt mnie nie chciał słuchać. Clarissa, wspomagana przez policję, narzuciła mi samotnicze życie.

Powiedziałem to wszystko przez telefon owego ranka, gdy przyszedł jej list, i oczywiście donikąd nas to nie doprowadziło. Teraz siedzieliśmy w pomieszczeniu o powierzchni trzech metrów kwadratowych, rzeczywiście ramię przy ramieniu, ale różnic

między nami nie dało się zatrzeć. Zerknąłem na nią i pomyślałem, że wygląda pięknie i smutno. Czy też cały smutek płynął ze mnie?

Przejeżdżając przez Headington i centrum Oksfordu, cały czas prowadziłem nieobowiązującą rozmowę. Zaparkowałem przed domem Loganów dokładnie w tym samym miejscu co przedtem. Drzewa, rosące po obu stronach cichej ulicy, tworzyły tunel jasnozielonego światła, przetykanego błyszczącymi punktami promieni słonecznych, a wysiadając, zastanawiałem się, jakie można tu prowadzić życie, nudne i pożyteczne. Wziąłem plecak i podeszliśmy wyłożoną tłuczniem dróżką do frontowych drzwi, niczym małżeństwo zaproszone na obiad. Clarissa mruknęła nawet coś pochlebnego o ogrodzie przed domem. Ten urok intensywnej zwyczajności prysł, gdy otworzyły się frontowe drzwi i stanął przed nami mały Leo, nagi, tylko od nosa przez pierś niezdarnie pomalowany w tygrysie pasy. Nie poznając mnie, oznajmił:

– Nie jestem tygrysem, jestem wilkiem.

– Jesteś wilkiem – odparłem. – A gdzie jest twoja mamusia? Wyłoniła się zza pleców Leo z mrocznych zakamarków kuchni i podeszła do nas. Czas niczego w niej nie uleczył. Ten sam cienki nos, ta sama surowość nad górną wargą. Może twarz była bardziej zacięta, może gniew przenikał ją do szpiku kości. W prawej ręce trzymała zwiniętą w kulkę chusteczkę, którą przełożyła do lewej, by uścisnąć dłoń Clarissy, a potem moją. Poprosiła, byśmy zechcieli poczekać w ogrodzie za domem, póki ona nie umyje i nie ubierze Leo. I tam właśnie znaleźliśmy Rachael. W szortach, leżąc na brzuchu, opalała się. Gdy nas usłyszała, przewróciła się brzuszkiem do góry, udając, że śpi albo jest w transie. Clarissa przyklękła i połaskotała ją pod brodą źdźbłem trawy.

Z oczami zamkniętymi przed słonecznym blaskiem, Rachael zaczęła wykrzykiwać coraz piskliwszym tonem:

– Wiem, kim jesteście, więc niech wam się nie wydaje, że zdołacie mnie rozśmieszyć! – A gdy już nie mogła wytrzymać, usiadła i stwierdziła, że spogląda w twarz Clarissy, nie moją.



– Nie wiesz, kim jestem, więc zdołam cię rozśmieszyć – rzekła Clarissa. – I nie przestanę, dopóki nie zgadniesz, jak mam na imię.

Łaskotała dalej, póki Rachael nie wykrzyknęła: „Łachotka!” i nie poprosiła o litość. Gdy się odwróciłem, by wejść do środka, wzięła Clarissę za rękę i zaczęła oprowadzać ją po ogrodzie. Zauważyłem, że zwalony namiot został wdeptany w trawnik.

Znalazłem Jean Logan klęczącą w holu, gdzie zapinała sandałki Leo.

– Jesteś na tyle duży, że możesz sam to zrobić – mówiła. On głaskał ją dłonią po włosach.

– Ale lubię, kiedy ty to robisz – rzekł, patrząc na mnie z uśmiechem triumfującego posiadacza.

– Chciałbym, żeby usłyszała pani tę historię z pierwszej ręki – odezwałem się. – Dlatego muszę się dowiedzieć, dokąd idziemy na piknik.

Podniosła się z westchnieniem, po czym opisała mi odcinek brzegu Tamizy w Port Meadow. Następnie wskazała telefon u stóp schodów. Zaczekałem, aż wraz z Leo wyjdzie do ogrodu, nakręciłem numer uniwersytetu i poprosiłem profesora logiki eulerowskiej.

Na łąkę można było dojść w pięć minut spacerkiem. Leo, zazdrosny o nową przyjaciółkę siostry, uwiesił się wolnego ramienia Clarissy i śpiewał kawałki wszystkich piosenek Beatlesów, jakie tylko przyszły mu do głowy – cokolwiek, byleby zagłuszyć rozmowę. Rachael po prostu mówiła głośniej. Jean Logan i ja szliśmy parę kroków za hałaśliwym trio.

– Ma do nich dobre podejście. Oboje potraficie znaleźć z nimi wspólny język.

Opowiedziałem jej o różnych dzieciach w naszym życiu i pokoju, który specjalnie dla nich urządziliśmy. W sypialni Clarissy, a teraz nawet i to nie.

Gdy przechodziliśmy przez most kolejowy, nagle ukazała się przed nami łąka i ogromne pole jaskrów.

– Wiem, że sama chciałam to usłyszeć, ale nie jestem pewna, czy dam radę przebrnąć przez tę opowieść, zwłaszcza że są tu Rachael i Leo.

– Da pani radę – odparłem. – A zresztą teraz nie ma pani wyjścia.

Wraz ze stadkiem ciekawskich jałówek, które kroczyło w ślad za nami, szliśmy wśród jaskrów, a potem kilkaset metrów w górę rzeki. W miejscu, gdzie przychodzące do wodopoju bydło rozmyło brzeg, zmieniając go w małą plażę, zatrzymaliśmy się i rozbiliśmy obóz. Jean rozpostarła na ziemi brezentową płachtę z demobilu, a gdy wykładałem jedzenie, uświadomiłem sobie, że musiała należeć do Johna Logana; pewnie zabierał ją na te wszystkie wyprawy, o których nigdy się nie dowiemy. Nalałem paniom wina. Leo i Rachael brodzili w wodzie, wołając do mnie, pytając, czy odważę się do nich dołączyć. Zdjąłem buty, skarpetki, podwinąłem spodnie i poszedłem do dzieciaków. Wieki minęły od czasu, gdy tak stałem w wodzie, czując muł między palcami i wdychając bogaty, ziemno-wodny zapach rzeki. Podczas gdy Clarissa i Jean rozmawiały, myśmy karmili ptaki, puszczaliśmy „kaczki” po wodzie i budowaliśmy otoczony fosą pagórek z błota. Gdy na chwilę zapadła cisza, Rachael przysunęła się do mnie i rzekła:

– Pamiętam, jak przyjechałeś pierwszy raz i rozmawialiśmy.

– Ja też to pamiętam.

– Więc porozmawiajmy jeszcze raz.

– Dobrze – odparłem. – O czym?

– Ty zaczynasz.

Zastanawiałem się przez moment, a potem pokazałem na rzekę.

– Wyobraź sobie najmniejszą drobinę wody, jaka może istnieć. Tak tyciutką, że nie da się jej zobaczyć.

Mrużyła oczy jak wtedy na trawniku.

– Kropeczka jak łebek szpilki – rzekła.

– O wiele mniejsza. Nawet mikroskop ci nie pomoże. To prawie nic. Dwa atomy wodoru, jeden tlenu, związane tajemniczą, potężną siłą.

– Widzę ją! – krzyknęła. – Jest ze szkła.

– A teraz – rzekłem – pomyśl o miliardach, bilionach kropelek, ułożonych jedna na drugiej we wszystkich kierunkach, rozciągających się niemal w nieskończoność. I pomyśl o łożysku rzeki jako o długiej, płytkej ślizgawce albo o krętej, błotnistej zjeżdżalni, która setki kilometrów ciągnie się do morza...

Nie doszliśmy dalej. Leo bawił się na brzegu, lecz teraz spostrzegł, że coś się dzieje bez jego udziału. Przypędził do nas, gotów wepchnąć mnie do wody, jeśli nie włączę go do zabawy.

– Nienawidzę cię! – krzyknęła Rachael. – Wynoś się! Wówczas zawołano nas na posiłek, lecz nim doszliśmy do brzegu, Rachael uszczypnęła mnie w ramię na znak, że jeszcze nie skończyliśmy.

Potrawy sprowokowały rozmowę o Włoszech i wakacjach. Dzieci wtrąciły niejasne wspomnienia brzegu, na którym mieszkały papugi, sosen rosnących wokół wulkanu, Rachael zaś zapamiętała łódkę o szklanym dnie. Leo podał w wątpliwość, czy coś takiego w ogóle istnieje. Ponieważ łódkę wynajęto na jeden dzień, a na szczyt wulkanu dzieci dotarły po sześciogodzinnej wędrówce, przy czym Leo niesiono przez większość drogi, domyśliliśmy się energicznej obecności Johna Logana, choć nawet chłopiec nie mówił o nim wprost.

Gdy skończyliśmy się posilać, wino i słońce sprawiły, że dorośli poczuli się rozleniwieni. Znudzone nami dzieci wzięły kawałki jabłek, by nakarmić kucyki. Jean zaczęła tłumaczyć, jak Rachael brakuje ojca, lecz nie chciała o tym rozmawiać.

– Widziałam, jak gawędziła z panem w rzece. Lgnie do każdego mężczyzny, który pojawia się w domu. Wyraźnie czuje, że może otrzymać od nich coś, czego ja nie mogę jej dać. Jest taka ufna. Ciekawe, czego szuka. Może chodzi o sam dźwięk męskiego głosu.

Gdy mówiła, przyglądaliśmy się dzieciom. Szły dalej w górę rzeki. W pewnej odległości od matki Leo się odwrócił, po czym wsunął rękę w dłoń siostry. Jean zaczęła nam opowiadać, jak świetnie dzieci się sobą opiekują, gdy nagle urwała.

– O Boże! – jęknęła. – Jest. To musi być ona. Usiedliśmy i odwróciliśmy się, podążając za jej wzrokiem.

Wstałem.

– Wiem, że sama pana o to prosiłam – powiedziała szybko Jean. – Ale nie mogę się z nią spotkać. To dla mnie za wcześnie. I przywiozła kogoś ze sobą. Ojca. A może prawnika. Nie chcę z nią rozmawiać. Myślałam, że dam radę...

Clarissa położyła rękę na ramieniu Jean.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała.

Para przystanęła kilkanaście metrów dalej, czekając na mnie. Dziewczyna odwróciła wzrok, gdy się zbliżałem. Wiedziałem, że jest studentką. Wyglądała na mniej więcej dwadzieścia lat i była prześliczna – wcielenie najgorszych obaw Jean Logan. Mężczyzną był James Reid, wykładowca logiki eulerowskiej na uczelni dla dziewcząt. Uścisnęliśmy sobie dłonie i przedstawiliśmy się. Profesor był niewiele starszy ode mnie, pewnie około pięćdziesiątki, dość pulchny. Przedstawił studentkę: Bonnie Deedes, i gdy ująłem jej rękę, zrozumiałem, dlaczego starszy mężczyzna ryzykuje dla niej wszystko. Gdyby ktoś mi ją opisał, uznałbym ten typ urody za banalny – błękitne oczy, brzoskwiniowa cera – pięknotka przywodząca na myśl Marilyn Monroe. Ubrana była w obcięte dzinsy i poszarpaną różową koszulę. Profesor natomiast miał na sobie lniany garnitur i krawat.

– No dobrze – rzekł z westchnieniem. – Załatwmy to raz na zawsze. – Popatrzył na dziewczynę, która wbiła wzrok w swoje stopy obute w sandały (paznokcie miała pomalowane na czerwono) i z ponurą miną skinęła głową.

Poprowadziłem ich przez polanę do miejsca, w którym urządziliśmy piknik, i przedstawiliśmy się sobie wzajemnie. Jean nie chciała patrzeć na Bonnie, ta zaś z kolei nie spuszczała oczu z profesora. Zaprosiłem ich, by usiedli. Bonnie dyplomatycznie usiadła po turecku na trawie, tuż przy skraju brezentowej płachty. Reid przyklęknął na jedno kolano, usiłując pogodzić poczucie godności z uprzejmością. Popatrzył na mnie, a ja skinąłem głową.

Złożył ręce na kolanie i przez chwilę wpatrywał się w ziemię, usiłując skupić myśli, jak zwykł to czynić w ciągu wielu lat wykładów.

– Przyjechaliśmy – odezwał się wreszcie – by wszystko wyjaśnić i przeprosić. – Kierował te słowa do Jean, która jednak wbiła wzrok w barwne resztki pizzy. – Przeżyła pani tragedię, straszną stratę i Bóg wie, że ostatnią rzeczą, jakiej pani potrzeba, jest dodatkowy ból. Apaszka, która została w samochodzie pani męża, należy do Bonnie. Co do tego nie ma wątpliwości.

Jean mu przerwała. Jej wściekłe spojrzenie spoczęło nagle na dziewczynie.

– W takim razie może powinnam usłyszeć to z jej ust.

Ale pod żarem wzroku starszej kobiety z Bonnie uszły wszystkie siły. Nie była w stanie się odezwać, nie odważyła się podnieść oczu.

– Była tam – ciągnął Reid. – Ale razem z nią byłem i ja. Pojechaliśmy razem. – Spojrzał na Jean i odczekał, aż jego słowa do niej dotrą. – Postaram się to ująć jak najprościej – ciągnął. – Bonnie i ja kochamy się. Różnica wieku między nami wynosi trzydzieści lat, to bardzo głupie, ale tak już jest, kochamy się.

Trzymamy to w sekrecie i wiemy, że niebawem będziemy musieli stawić czoło komplikacjom i straszemu zamętowi. Nie przyszło nam do głowy, że nasze niezdarne próby zachowania wszystkiego w tajemnicy spowodują tyle rozpaczy, i mam nadzieję, że skoro wyjaśniłem, co zaszło, zdoła nam pani przebaczyć.

Słyszeliśmy, jak hen, na brzegu rzeki, dzieci wołają do siebie. Jean siedziała spokojnie. Lewą rękę przyłożyła do ust, jakby chciała powstrzymać chęć mówienia.

– Stanowiska na wydziale i na uniwersytecie nie da się utrzymać. Rezygnacja sprawi mi prawdziwą ulgę. Ale to już pani nie dotyczy.

Popatrzył na dziewczynę, usiłując podchwycić jej spojrzenie, lecz ona sprawiała wrażenie niezbyt tym wszystkim zainteresowanej.

– Aż do niedawna Bonnie i ja z zasady nie pokazywaliśmy się razem w Oksfordzie. Teraz machamy na to ręką. W dniu, gdy to się wydarzyło, planowaliśmy piknik w Chilterns. Zmieniłem plan zajęć i zabrałem Bonnie z przystanku autobusowego na skraju miasta. Ujechaliśmy zaledwie kilkaset metrów, gdy mój samochód nawalił. Zepchnęliśmy go na pobocze i wtedy ona mnie przekonała, że nie powinniśmy dawać za wygraną. Samochodem zajmiemy się później. Może ktoś nas podwiezie. I tak skuliłem się za Bonnie, potwornie onieśmielony, zastanawiając się, czy przypadkiem jakiś znajomy mnie nie rozpozna. Po paru minutach zatrzymał się kierowca – pani mąż, udający się do Londynu. Był bardzo uprzejmy i sympatyczny. Nawet jeśli domyślał się, co nas łączy, nie okazał cienia dezaprobaty. Wręcz przeciwnie, zaproponował, że zjedzie z autostrady, by dowieźć nas na Christmas Common. Byliśmy już prawie na miejscu, gdy zobaczyliśmy, że chłopiec i mężczyzna walczą z balonem przy silnym wietrze. Nie w pełni zorientowałem się w sytuacji. Rozumiecie, siedziałem z tyłu. Pani mąż ostro zahamował i bez słowa pobiegł na pomoc. My wysiedliśmy, by się przyjrzeć. Fizycznie nie jestem bardzo aktywny, a ponieważ ruszyło tam jeszcze parę osób, uznaliśmy, że przynajmniej na razie

najrozsądniej będzie zostać na miejscu. I tak nie na wiele bym się przydał. Potem cała ta upiorna historia zaczęła wymykać się z rąk, a my uświadomiliśmy sobie, że powinniśmy tam pospieszyć i pomóc utrzymać balon, toteż zaczęliśmy biec. Ale było już za późno, balon wzbił się w powietrze, a resztę pani zna.

Reid nie był pewien, jakich użyć słów. Tak zniżył głos, że musiałem się pochylić, by go usłyszeć.

– Gdy upadł, poczuliśmy się strasznie. W istocie ogarnęła nas panika. Zeszliśmy ścieżką, usiłując się opanować i pomyśleć, co mamy począć. Zostawiliśmy za sobą samochód, zapominając, że jest w nim jedzenie na piknik, a także apaszka Bonnie. Wędrowaliśmy godzinami. Wstyd przyznać, ale martwiłem się między innymi o to, że jeśli powołają nas na świadków, będę musiał wyjaśnić, skąd się wzięłem wśród pól zjedna z moich studentek. Po prostu nie mieliśmy pojęcia, co robić. Parę godzin później zorientowaliśmy się, że idziemy do Watlington. Weszliśmy do piwiarni, by zapoznać się z kursami autobusów i taksówek. Przy barze stał jakiś człowiek, opowiadając barmanowi i stałym gościom, co się wydarzyło dzisiejszego popołudnia. Był to bez wątpienia jeden z mężczyzn przytrzymujących liny. Chcąc nie chcąc, daliśmy mu do zrozumienia, że również tam byliśmy. Takie rzeczy łączą ludzi i czuje się potrzebę rozmowy. Tych, których tam nie było, uważaliśmy za intruzów z zewnątrz. W końcu poszliśmy do domu z tym facetem, Josephem Laceyem, by jeszcze z nim pogadać, i wtedy właśnie opowiedziałem mu o swoim kłopotcie. Później odwiózł nas do Oksfordu i po drodze dał radę. Uważał, że było dość świadków wypadku. Nie musimy dodawać jeszcze naszych zeznań. Ale powiedział też, że gdyby wyszły jakieś niezgodności czy sprzeczne wersje, skontaktuje się ze mną, a ja będę mógł przemyśleć sprawę jeszcze raz. No i tak to było. Nigdy się nie ujawniliśmy. Wiem, że przysporzyło to pani wiele zmartwienia, za co jestem winien bardzo głębokie przeprosiny...

Gdy mówił te słowa, znowu dojrzałem piękno łąki, złociste pokosy jaskrów, stado koni i kucyków na przeciwległym krańcu, galopujących ku wiosce w oddali, usłyszałem warkot samochodów

na odległym objeździe i łodzi wyścigowej, nieugięcie pracy naprzód po rzece. Dzieci podchodziły do nas z wolna, zatopione w rozmowie. Clarissa dyskretnie pakowała resztki pikniku.

– O Boże! – westchnęła Jean.

– Był niesłychanie dzielny człowiekiem – oświadczył profesor. – O takiej odwadze możemy tylko marzyć. Lecz czy kiedykolwiek wybaczy nam pani nasz egoizm i niedbalstwo?

– Oczywiście – odparła gniewnie. W oczach miała łzy. – Ale kto mnie przebaczy? Jedyne osoby, które mogłyby to zrobić, nie żyje.

Reid, pochylając się nad nią, powiedział, że nie powinna tak myśleć. Jean znowu podniosła głos, czyniąc sobie wyrzuty. Zapewnienia profesora mieszały się z jej słowami. Ta zażarta walka o przebaczenie wydała mi się niemal obłądana, brakowało tylko Szalonego Kapelusznika tu, nad brzegiem rzeki, gdzie Lewis Carroll, dziekan Christ Church, niegdyś się zabawiał przedmiotami własnych obsesji. Podchwyciłem wzrok Clarissy i wymieniliśmy półuśmieszki, jak gdybyśmy składali własne prośby o wzajemne wybaczenie, a przynajmniej tolerancję, towarzysząc żarliwemu kontrapunktowi Jean i Reida. Wzruszyłem ramionami, dając do zrozumienia, że tak jak ona w liście – po prostu nie wiem.

Nareszcie wszyscy wstaliśmy. Ślady po pikniku zostały uprzątnięte, brezentową płachtę złożono, Bonnie, która nadal się nie odzywała, odeszła parę kroków i niespokojnymi gestami dawała do zrozumienia, że chce już iść. Albo była niemądra – prawdziwa głupia blondynka – albo gardziła nami wszystkimi. Reid krążył bezradnie, pragnąc spełnić jej życzenie, lecz wrodzona uprzejmość nie pozwalała mu odejść bez złożenia stosownych wyrazów uszanowania. Przerzuciłem plecak przez ramię i już miałem się pożegnać i wybawić go z kłopotu, gdy Rachael i Leo pojawili się po obu moich bokach.

Nigdy nie wyrosłem z poczucia lekkiej dumy, zrodzonej z wrażenia, że jestem akceptowany, gdy dzieci biorą mnie za rękę.



Pobiegłem z nimi ku małej błotnistej plaży i stanęliśmy nad leniwą, brązową, szeroko rozlaną wodą.

– A teraz – odezwała się Rachael – powiedz też Leo. Jeszcze raz, powoli, powtórz to, co mówiłeś o rzece.

# **UZUPEŁNIENIA**

# I

Przedruk z „British Review of Psychiatry”

Robert Wenn, chirurg, członek Królewskiego Kolegium Psychiatrów, i Antonio Camia, absolwent Królewskiego Kolegium Położników i Ginekologów, członek Królewskiego Kolegium Psychiatrów.

## **Obsesja homoerotyczna z akcentami religijnymi – kliniczny wariant syndromu de Clerambaulta**

Przypadek czystej (pierwotnej) formy syndromu de Clerambaulta został opisany na przykładzie człowieka, którego przekonania religijne odgrywają kluczową rolę w jego rojeniach. Jest on niebezpieczny i wykazuje też skłonności samobójcze. Przypadek ten stanowi kolejną pozycję najnowszej literatury, popierającą pogląd, że syndrom ten jest jednostką chorobową.

### **Wstęp**

„Erotyczne urojenia”, „erotomania” oraz pokrewne patologie miłości przyczyniły się do powstania bogatej i zróżnicowanej literatury, opisującej z jednej strony niezwykle zachowania czy możliwe do przyjęcia wydarzenia bez śladów psychopatologii, z drugiej zaś dziwaczne warianty obejmujące psychozę schizofreniczną. Najwcześniejsze odniesienia znajdujemy u Plutarcha, Galena i Cyserona, a jak wykazuje przegląd literatury dokonany przez Enocha i Trethowana (1979), termin „erotomania” od samego początku był nieodpowiednio traktowany w literaturze z powodu braku wyraźnej definicji.

W 1942 roku de Clerambault dokładnie opisał paradygmat, od tej pory nazwany jego nazwiskiem, syndrom, który określił jako *les psychoses passionelles*, czyli „czysta erotomania”, w odróżnieniu od powszechniej przyjętych erotycznych stanów paranoidalnych. Pacjent, czyli „podmiot”, zazwyczaj kobieta, żywi silne urojeniowe przekonanie, że mężczyzna, „obiekt”, często o wyższej pozycji społecznej, jest w niej zakochany. Pacjentka może

mieć bardzo nikły kontakt z obiektem swego urojenia albo w ogóle nie znać go osobiście. Fakt, że obiekt jest już żonaty, najczęściej uznaje za rzecz pozbawioną jakiegokolwiek znaczenia. Jego zapewnienia o obojętności czy wręcz nienawiści traktuje jako paradoksalne czy zaprzeczające samym sobie; przekonanie, że on „naprawdę” ją kocha, pozostaje niewzruszone. Inne pokrewne tematy to przeświadczenie, że bez niej obiekt nigdy nie zazna prawdziwego szczęścia, a także, iż związek ten jest powszechnie uznany i akceptowany. De Clerambault podkreśla, że w czystej postaci początek tej choroby jest wyraźny i nagły, nawet gwałtowny, co stanowi ważny czynnik wyróżniający tę dolegliwość; sądził on, prawdopodobnie błędnie (Enoch i Trethowan), że erotyczne stany paranoidalne narastają stopniowo.

Kluczowym terminem paradygmatu de Clerambaulta jest – jak to określił – „fundamentalny postulat” pacjentki, „żywiącej przekonanie, że jest w miłosnej komunikacji z osobnikiem ze znacznie wyższej sfery, który najpierw się w niej zakochał i uczynił pierwszy krok”. Taka komunikacja może przybrać formę tajemnych sygnałów, bezpośredniego kontaktu oraz wykorzystania „niezwykłych środków”, by zaspokoić potrzeby pacjentki. Uważa ona, że czuwa nad obiektem swego urojenia i chroni go.

W jednym z najwcześniejszych i najbardziej znanych przypadków de Clerambault opisuje pięćdziesięcioletnią Francuzkę, która była przekonana, że kocha się w niej król Jerzy V. Od roku 1918 stale podążała jego śladem, kilkakrotnie odwiedzając Anglię.

„Często czekała na niego przed pałacem Buckingham. Raz ujrzała w jednym z pałacowych okien poruszającą się firankę i uznała to za sygnał od króla. Twierdziła, że wszyscy londyńczycy wiedzą o jego miłości do niej, lecz utrzymywała, że to on nie dopuścił, by znalazła nocleg w Londynie, on doprowadził do tego, że nie zarezerwowano dla niej pokoju w hotelu i zgubiono jej bagaż, zawierający pieniądze i podobizny króla... Z uczuciem podsumowała swą namiętność: «Król może mnie nienawidzić, ale

nigdy nie zdoła zapomnieć. Ja nigdy nie stanę się dla niego obojętna ani on dla mnie... Na próżno mnie rani... Pociąga mnie z głębi mego serca...»”

Przez lata, w miarę jak przybywało opisywanych przypadków, pojawiła się tendencja zarówno do rozszerzenia, jak i uściślenia kryteriów definicji: nie tylko kobiety trapi ta dolegliwość, pociąg nie musi być natury heteroseksualnej. Przynajmniej jeden z pacjentów de Clerambaulta był mężczyzną, a od tego czasu ustalono więcej przypadków cierpiących mężczyzn. W przeglądzie przypadłości głównie pacjentów płci męskiej Mullen i Pathe stwierdzili, że mężczyźni są bardziej niebezpieczni i natrętni. Przypadki homoseksualne opisują Mullen i Pathe (1994), Lovett Doust i Christie (1978), Enoch z zespołem, Raskin i Sullivan (1974) oraz Wenn i Camia (1990).

A przeto kryteria diagnostyczne pierwotnego syndromu (tj. syndromu de Clerambaulta), zaproponowane przez Enocha i Trethowana, powinny spotkać się z powszechnym uznaniem tych specjalistów, którzy uznają następującą jednostkę chorobową: „Urojone przekonanie, że jest się w miłosnej komunikacji z inną osobą, stojącą znacznie wyżej w hierarchii społecznej, która to osoba pierwsza się zakochała i zrobiła pierwszy krok. Początek jest nagły, obiekt miłosnego urojenia nie zmienia się, pacjent znajduje wytłumaczenie dla paradoksalnego zachowania obiektu, choroba ma charakter chroniczny, nie występują halucynacje ani wady percepcji”.

Mullen i Pathe cytują Pereza (1993), który zauważa, że coraz większa świadomość zagrożenia, jaką stanowią cierpiący na syndrom de Clerambaulta, spowodowała „wybuch” przepisów prawnych, mających chronić ich ofiary. Mullen i Pathe zwracają uwagę na tragedię, którą przeżywają zarówno pacjenci, jak i obiekty ich uczuć – dla pacjentów miłość staje się „samotnym i autystycznym sposobem bycia, w którym nie ma szans na połączenie się z drugim człowiekiem. Tragedia tych, którym poświęcają niechcianą uwagę, polega na tym, że w najlepszym

razie są nękami i czują zażenowanie, dochodzi do rozpadów nawet najściślejszych ich związków, w najgorszym zaś padają ofiarą niechęci, wyrażonej w gwałtownej formie, bądź zazdrości lub pożądania seksualnego\*.

### **Opis historii choroby**

Dwudziestośmioletni kawaler, R, został skierowany przez sąd na badania w wyniku oskarżenia o próbę morderstwa.

R był drugim dzieckiem starszego już ojca, który zmarł, gdy P. miał osiem lat. Jego niezaradna matka ponownie wyszła za mąż, gdy chłopiec skończył trzynaście lat. Wedle własnych słów P. był on dzieckiem wrażliwym i samotnym, chętnie snującym marzenia na jawie. Niełatwo zawierał przyjaźnie. Gdy matka wyszła za mąż po raz drugi, wysłano go do szkoły z internatem, gdzie górował intelektualnie nad swymi kolegami, lecz nie w jakimś wybitnym stopniu. Podczas jego pobytu w internacie starsza siostra wyjechała za granicę i od tej pory już jej nie widział. Nie przypomina sobie, by ktoś mu dokuczał czy go terroryzował, lecz nie nawiązał bliskich więzi i uważał, że inni chłopcy patrzyli nań z góry, gdyż „nie miał ojca, którym mógłby się chwalić, tak jak inni uczniowie”. Dostał się na uniwersytet, gdzie dalej pędził samotniczy żywot. P. uważał, że studenci byli frywolni. Wstąpił do Studenckiego Ruchu Chrześcijańskiego i choć niedługo był jego członkiem, mniej więcej w tym okresie zaczął czerpać otuchę z wiary. Skończył uniwersytet z marnym stopniem z historii i przez następne cztery lata wykonywał nisko kwalifikowane prace. Praktycznie nie utrzymywał już wówczas kontaktu z matką, która rozwiodła się z drugim mężem i odziedziczyła po siostrze duży dom w północnym Londynie oraz sporą sumę pieniędzy.

P. ukończył kursy uprawniające go do nauczania cudzoziemców angielskiego i w pierwszym roku jego pierwszej pracy zmarła mu matka. P. został jedynym spadkobiercą jej majątku, ponieważ siostry nie można było odnaleźć. Porzucił pracę i przeniósł się do odziedziczonego domu, gdzie zarówno jego samotnictwo, jak i przekonania religijne zyskały na sile. Przez

długie okresy czasu medytował nad „chwałą bożą” i odbywał spacery za miastem. W tym czasie zyskał przekonanie, że Bóg sposobi go do wyzwania, któremu musi stawić czoło.

Podczas jednej z owych wędrówek P. znalazł się na miejscu wypadku balonu napełnionego helem. Wymienił spojrzenie z R., innym wycieczkowiczem, który także służył pomocą. P. wydawało się, że R. w tym momencie się w nim zakochał. Tejże nocy, w późnych godzinach, P. wykonał pierwszy z wielu telefonów do R., w których powiadał go, że ta miłość jest wzajemna. P. uświadomił sobie, że Bóg mu zlecił, by odwzajemnił miłość R. i „przywrócił go Bogu”. Ta pewność umocniła się w nim, gdy się dowiedział, że R. jest znanym autorem tekstów popularnonaukowych, pisanych z ateistycznego punktu widzenia. P. pojmował wolę Boga na różnorakie sposoby, nie doznając przy tym żadnych halucynacji.

Zaczął teraz zasypywać swą ofiarę listami, zatrzymywał ją na progu domu i czuwał w pobliżu, co tak często opisywano w literaturze na temat tej smutnej choroby. Ciekawym echem słynnego przypadku, który odnotował de Clerambault, jest sposób przesyłania sygnałów. P. rzekomo otrzymywał je w efekcie poruszeń zasłony w mieszkaniu R. P. dostrzegał też informacje w liściach ligustrowego żywopłotu, którego – jak mu się wydawało – w wymowny sposób dotykał R., oraz w artykułach R., opublikowanych na długo przed spotkaniem P. i R. R. żył szczęśliwie ze swą prawnie poślubioną małżonką M, lecz z powodu naporu P. w związku tym w ciągu paru dni pojawiły się napięcia. Później doszło do separacji małżonków. P. zazwyczaj był w stanie euforii, pewien, że mimo otwartej wrogości R. zaakceptuje wyrok losu i zamieszka z P. w dużym domu. Uważał, że R. „igra z nim” i poddaje próbie jego uczucie.

Niebawem euforia przerodziła się w niechęć. Dość wcześnie P. udało się ukraść z pracy notatnik M., w którym zapisywała umówione spotkania. Wykorzystując informację, że R. ma się pojawić w pewnej restauracji, P. wynajął płatnych morderców, by zastrzelili R. Próba skończyła się tym, że gość siedzący przy

sąsiednim stoliku został postrzelony w ramię. P., dřejczony wyrzutami sumienia, postanowił pchnąć się nożem w obecności R. Ten plan również zawiódł, P. został aresztowany i oskarżony nie tylko o strzelaninę w restauracji, ale też o grożenie M. nożem. Sąd zarządził pełne badanie psychiatryczne.

Podczas rozmowy pacjent zaprezentował się dobrze, wykazując normalne zdenerwowanie z powodu zatrzymania go w przepelnionym więzieniu. Ponieważ badanie wstępne, którego zażądał jego adwokat, wykazało schizofrenię, przeprowadzono testy poznawcze, fizyczne i laboratoryjne, których wyniki nie odbiegały od normy, podobnie jak EEG. Nie stwierdzono zaburzeń formy myśli ani halucynacji. Nie znaleziono innych typowych objawów schizofrenii, na które wskazywał Schneider (1959). R wykazywał ponadprzeciętne zdolności wzrokowo-przestrzenne, a także umiejętność abstrakcyjnego myślenia i skupienia uwagi. Wyniki jego badań według skali inteligencji dla dorosłych Wechslera wyglądają następująco: słowne – 130, czynnościowe – 110, cała skala – 120. Według testu Bentona nie wykazuje upośledzenia poznawczego. W skali pamięciowej Wechslera pamięć krótko- i długoterminowa były nienaruszone zarówno dla prostego, jak i złożonego materiału.

P. stwierdził, iż wie, że R. nadal go kocha, co udowodnił, zapobiegając jego samobójczej śmierci. Również w czasie proceduralnego przesłuchania w sądzie P. otrzymał „miłosne przesłanie” od R. P. żałował zamachu na życie R. i czuł, że cokolwiek czeka go w przyszłości, będzie to próba zarówno jego wiary w Boga, jak i miłości do R. Stwierdzenia te pacjent wygłaszał w sposób zrozumiały i spójny. Robiło to wrażenie skoncentrowanego systemu urojeniowego. Zalecono chemioterapię (5 mg pimozidu dziennie) oraz łagodnie prowokacyjną psychoterapię, lecz po sześciu miesiącach nie zaobserwowano żadnych zmian. W końcu sąd zarządził bezterminowy pobyt w szpitalu dla umyślowo chorych przestępców. P. badano sześć miesięcy po przyjęciu do szpitala i mimo zmiany chemioterapii rojenia nie ustąpiły. P. utrzymywał, z równą pewnością siebie co poprzednio, że R. kocha go nadal nie



mniejszą miłością i że on, P., poprzez swe cierpienie pewnego dnia doprowadzi R. do Boga. P. codziennie pisze do R. ze szpitala. Jego listy zbiera personel, lecz ich nie wysyła, by ochronić R. przed kolejnymi niepokojami. W tej sytuacji pacjent nadal będzie pozostawał pod obserwacją.

### **Omówienie**

Ellis i Mellsop (1985) stwierdzili, że syndrom de Clerambaulta to zaburzenie etiologiczne o charakterze heterogenicznym. Teorie etiologiczne obejmują alkoholizm, aborcję, depresję po przyjmowaniu amfetaminy, epilepsję, uraz głowy oraz zaburzenia neurologiczne. Żadna z tych przyczyn nie występuje w tym wypadku. Robiąc przegląd różnych opisów osobowości przed zapadnięciem na tę chorobę w czystej formie, Mullen i Pathe w podsumowaniu przywołują „jednostkę nieprzystosowaną społecznie, oddzieloną od innych, albo z powodu wrażliwości, podejrzliwości, albo ze względu na poczucie wyższości. Ludzi tych określa się jako pędzących życie społecznie puste... Chęć nawiązania związku równoważy lęk przed odrzuceniem lub strach przed zbliżeniem, zarówno fizycznym, jak i emocjonalnym”.

Ważną zmianą w życiu omawianego pacjenta było odziedziczenie domu po matce. R, który przez całe życie nie potrafił nawiązać bliskiej więzi, uwolniony od konieczności zarabiania na życie, zerwał wszelkie stosunki, które utrzymywał jeszcze z kolegami ze szkoły językowej oraz ze swą gospodynią, i poniechał kontaktów z ludźmi. W owym okresie zwiększonej samotności uświadomił sobie, że przechodzi próbę. Podczas spaceru po wiejskiej okolicy został wprowadzony w prowizoryczną społeczność przypadkowych ratowników, usiłujących utrzymać balon, który dostał się w wir silnych wiatrów. Takie przejście, z „pustego społecznie” życia w intensywną pracę zespołową, mogło być głównym czynnikiem powodującym pojawienie się syndromu, dopiero bowiem gdy dramat się skończył, P. „zdał sobie sprawę” z miłości R.; zapoczątkowanie urojonego związku dawało pewność, że P. nie grozi poprzednia samotność. Arieti i Meth (1959)

sugerują, że erotomania może stanowić obronę przed depresją i samotnością, tworząc pełny, wewnętrzpsychiczny świat.

Z charakterystyką Mullen i Pathe'a zgadza się też obawa pacjenta przed zbliżeniem seksualnym. R., zapytany podczas badania o zamiary seksualne względem R., unikał odpowiedzi, a nawet poczuł się urażony. Choć wielu pacjentów miało określone, natrętne plany seksualne względem swych podmiotów, inni, a także wiele pacjentek, kierując się chęcią obrony własnej, miało niejasne pojęcie, czego naprawdę pragną od przedmiotów swej miłości. Enoch i Trethowan cytują Esquirola (1772-1840), który zaobserwował, że „podmioty erotomanii nigdy nie przekraczają granic przyzwoitości, pozostają cnotliwe”. Również Bucknell i Tuke, piszący w połowie dziewiętnastego wieku, łączyli „erotomanię właściwą” z „formą sentymentalną”.

Przypadek ten potwierdza doniesienia niektórych komentatorów (Trethowan 1967; Seeman 1978; Mullen i Pathe) na temat istotnego znaczenia nieobecności bądź braku ojca. Na tym etapie można tylko snuć przypuszczenia, czy R., lat 47, symbolizował w oczach P. postać ojca, czy też jako człowiek, który odniósł sukces i dobrze funkcjonował w społeczeństwie, stanowił ideał, który P. pragnął osiągnąć.

Dostrzeżono, zwłaszcza w ostatnich pracach, silne powiązania między męską erotomanią i niebezpiecznym zachowaniem (Gagne i Desparois 1995; Harmon, Rosner i Owens 1995; Menzies, Fedoroff, Green i Isaacson 1995). Hospitalizacja może okazać się konieczna dla ochrony obiektu miłości przed pacjentem (Enoch i Trethowan; Mullen i Pathe). W tym przypadku, gdy zostały wysunięte oskarżenia kryminalne, kwestia niebezpiecznego zachowania, zwłaszcza przy uwzględnieniu ostatecznego wyniku, była kluczowa. P. usadowił się w restauracji, by obserwować opłacone zabójstwo R. Kiedy omyłkowo postrzelono kogoś innego, próbował interweniować. Później okazywał wyrzuty sumienia i skierował przemoc przeciw sobie w obecności R. i M. Póki urojenie P. się nie cofnie, nadal

może być niebezpieczny, dlatego skierowanie go do strzeżonego szpitala było działaniem właściwym.

Lovett Doust i Christie w przeglądzie ośmiu przypadków sugerują, że „u członków Kościoła może zaistnieć bliski związek między jakimiś patologicznymi aspektami miłości a dogmatami wiary”. Dość zasadne wydaje się założenie, że w niektórych patologiach mogą kryć się zahamowania przejawów seksualizmu, nakazane przez pewne sekty. Co więcej, księża, których obowiązuje celibat, ponieważ są niedostępni, mogą być szczególnie pożądanymi przez ofiary syndromu de Clerambaulta. Inni kapłani, wykonujący obowiązki duszpasterskie, byli podmiotami urojeń erotycznych z powodu pozycji, jaką zajmowali w obrębie swego zgromadzenia. Jednakże P. nie należał do żadnego Kościoła czy sekty, obiekt jego urojeń zaś był ateistą. Religijne przekonania P. pochodzą sprzed okresu jego psychopatologii, lecz nasiliły się, gdy przeniósł się do domu matki, gdzie żył w całkowitym osamotnieniu. Do Boga żywił osobisty stosunek, który miał zastąpić inne bliskie związki. Misja, by „przywieść R. do Boga”, może być postrzegana jako próba osiągnięcia w pełni zintegrowanego wewnątrzpsychicznego świata, w którym zinternalizowane uczucia religijne i urojona miłość stają się jednością. Podczas rozmowy P. utrzymywał, że nigdy nie słyszał głosu Boga ani nie widział przejawów Jego obecności. „Uświadomił sobie” bożą wolę czy cel w uogólniony sposób, podobnie jak wielu ludzi mocno wierzących. Poszukiwania w literaturze nie wykazały żadnego innego przypadku czystej erotomanii, w której w podobny sposób kryłoby się uczucie religijne bądź miłość Boga.

### **Wnioski**

Stan P. spełnia wszystkie, prócz jednego, sugerowane powyżej diagnostyczne kryteria pierwotnej formy syndromu de Clerambaulta, do których odnoszą się Enoch i Trethowan: P. przeżywa urojone przekonanie, że jest w miłosnej komunikacji z inną osobą, R., która pierwsza się w nim zakochała i uczyniła pierwszy krok. Wybuch choroby był nagły. Obiekt urojeń P.

pozostaje niezmienny. P. jest w stanie racjonalizować paradoksalne zachowanie R. i wydaje się, że jego stan jest chroniczny. P. nie ulega halucynacjom, nie cierpi też na wady poznawcze. (Jednakże, choć można powiedzieć, że R. zajmuje „wyższą pozycję społeczną”, P. nie mógł o tym wiedzieć podczas ich pierwszego spotkania). Ten stopień diagnostycznej zbieżności oraz fakt, że P. dzieli z innymi pacjentami szereg cech poprzedzających tę dolegliwość, uprawomocnia pogląd, że jest to jednostka chorobowa.

W odniesieniu do wyniku kuracji większość komentatorów skłania się ku pesymizmowi. De Clerambault opisał przypadki czystej erotomanii, które bez znaczącej zmiany trwały od siedmiu do trzydziestu siedmiu lat. Dokonany od tego czasu przegląd literatury wskazuje, że jest to najdłużej trwająca forma miłości, która często kończy się dopiero wraz ze śmiercią pacjenta.

Ofiary pacjentów de Clerambaulta mogą być narażone na napastowanie, stres, molestowanie fizyczne i seksualne, a nawet śmierć. Choć w tym przypadku R. i M. pogodzili się, a później z powodzeniem adoptowali dziecko, inne ofiary musiały przeprowadzić rozwód lub emigrować, jeszcze inne zaś wymagały leczenia psychiatrycznego z powodu niepokojów, jakich przysporzyli im pacjenci. Zatem ważne jest, by nadal precyzować kryteria diagnostyczne i powszechnie zapoznawać z nimi zawodowych terapeutów. Pacjenci z zaburzeniami urojeniowymi nie szukają pomocy lekarskiej, gdyż nie uważają się za chorych. Znajomi i rodzina również niechętnie zaliczają ich do tej kategorii, gdyż – jak zauważyli Mullen i Pathe – „patologiczne granice miłości nie tylko stykają się z normalnym doświadczeniem, ale i na nie zachodzą; niełatwo jest przyznać, że jedno z naszych najcenniejszych przeżyć może przejść w psychopatologię”.

### **Bibliografia**

ARIETI, S., METH, M. (red.), *American Handbook of Psychiatry*, t.1, Basic Books, New York 1959, s. 525, 551.  
BUCKNELL, J.C., TUKE, D.H., *A Manual of Psychological*

*Medicine*, wyd. 2, Churchill, London 1882. DE CLERAMBAULT, C.G., *Les Psychoses passionelles*, w:

*Oeuvres Psychiatriques*, Presses Universitaires, Paris 1942, s. 315-322. EL-AS SRA, A., *Erotomania in a Saudi Woman*, „British Journal of Psychiatry” nr 153, 1989, s. 830-833. ELLIS, R, MELLISOP, G., „British Journal of Psychiatry” nr 146, 1985, s. 90.

ENOCH, M.D., TRETOWAN, W.H., *Uncommon Psychiatric Syndroms*, John Wright, Bristol 1979.

ESQUIROL. J.E.D., *Mental Maladies: A Treatise on Insanity* [1845] (tłum. R. de Saussure), Hafner, New York 1965.

GAGNE, R, DESPAROIS, L., *U erotomanie male: un type de harcèlement sexuel dangereux*, „Revue Canadienne de Psychiatrie” nr 40, 1995, s. 136-141.

HARMON, R.B., ROSNER, R., OWENS, H., *Obsessional harassment in a criminal court population*, „Journal of Forensic Sciences” nr 42, 1995, s. 188-196.

HOLLANDER, M.H., CALLAHAN, A.S., „Archives of General Psychiatry” nr 32, 1975, s. 1574.

LOVETT DOUST, J.W., CHRISTIE, H., *The Pathology of Love: some clinical variants of de Clerambaults syndrome*, „Social Science and Medicine” nr 12, 1978, s. 99-106.

MENZIES, R.R, FEDOROFF, J.P., GREEN, CM., ISAACSON, K., *Prediction of dangerous behaviour in male erotomania*, „British Journal of Psychiatry” nr 166, 1995, s. 529-636.

MULLEN, P.E., PATHE, M., *The Pathological Extensions of Love*, „British Journal of Psychiatry” nr 165, 1994, s. 614-623.

PEREZ, C, *Stalking: when does obsession become a crime?*, „American Journal of Criminal Law” nr 20, 1993, s. 263-280.

RASKIN, D., SULLIVAN, K.E., *Erotomania*, „American Journal of Psychiatry” nr 131, 1974, s. 1033-1035.

SCHNEIDER, K., *Clinical Psychopathology* (tłum. M.W. Hamilton), Grune & Stratton, New York 1959.

SEEMAN, M.V, *Delusional Loving*, „Archives of General Psychiatry” nr 35, 1978, s. 1265-1267.

SIGNER, J.G., CUMMINGS, J.L., *De Clerambaults Syndrome in Organic Affective Disorder*, „British Journal of Psychiatry” nr 151, 1987, s. 404-407.

TRETHOWAN, W.H., *Erotomania – an Old Disorder Reconsidered*, „Alta” nr 2, 1967, s. 79-86.

WENN, R., CAMIA, A., *Homosexual erotomania* „Acta Psychiatrica Scandinavica” nr 85, 1990, s. 78-82.

## II

List przejęty od pana J. Parry'ego, napisany pod koniec trzeciego roku jego pobytu w szpitalu. Oryginał wypełniony notatkami pacjenta. Fotokopię przekazano doktorowi R. Wennowi na jego prośbę.

Wtorek

Drogi Joe! Obudziłem się o świcie. Wyślizgnąłem się z łóżka, włożyłem szlafrok i nie budząc nocnego personelu, stanąłem przy oknie od wschodu. Widzisz, jak cię słucham, gdy jesteś dla mnie dobry! Masz rację, kiedy słońce wstaje za drzewami, wydają się czarne. Gałązki na samym szczycie są splątane na tle nieba niczym odrutowane wewnątrz jakiejś maszyny. Ale nie myślałem o tym, gdyż dzień był bezchmurny, a to, co wzniosło się nad wierzchołkami drzew dziesięć minut później, było ni mniej, ni więcej, tylko oślepiającym blaskiem bożej chwały i miłości. Naszej miłości! Najpierw zalała mnie potokami światła, potem ogrzała przez szybę. Stałem tam, ściągawszy ramiona, ręce zwisały mi luźno po bokach, oddychałem głęboko. – Stare łzy ciekły mi strumieniem. Ale jakaż to radość! Tysiączny dzień, mój tysiączny list, a ty powiadasz mi, że to, co robię, jest słuszne! Początkowo nie widziałeś w tym sensu i przeklinałeś nasze rozłączenie. Teraz widzisz, że każdy dzień, który tu spędzam, przybliża nas o kroczek do owego wspaniałego światła, Jego miłości. Powód, dla którego poznałeś ją teraz, a nie wcześniej, jest taki, że znalazłeś się dość blisko Niego, by zwrócić się bezradnie i radośnie ku Jego ciepłu. Nie cofniesz się już teraz, Joe! Skoro należysz do Niego, należysz też i do mnie. Czuję się niemal zakłopotany takim szczęściem. Zasadniczo jestem więźniem. W oknach są kraty, w nocy oddział zamyka się na klucz, dnie i noce spędzam w towarzystwie szurających nogami, mamroczących, śliniących się idiotów, a ci, którzy nie powłóczą nogami, muszą być krępowani. Pielęgniarze, jak się domyślasz: mężczyźni, są brutalami, którzy powinni być pacjentami tego zakładu, ale jakoś udało im się przecisnąć na drugą stronę. Dym papierosowy, okna, których nie można

otworzyć, uryna, reklamy telewizyjne. Opisywałem ci ten świat tysiące razy. Powinienem tu zginąć. Tymczasem czuję, że moje życie ma większy sens niż kiedykolwiek przedtem. Nigdy nie byłem tak wolny. Szybuję w powietrzu. Jestem tak szczęśliwy, Joe! Gdyby wiedzieli, jak będę tu szczęśliwy, wypuściliby mnie. Przestałem na chwilę pisać, by się uściskać. Co dzień zyskuję nieco szczęścia i nie martwię się, jeśli zajmie mi to całe życie. Tysiąc dni – to mój urodzinowy list dla ciebie. Wiesz już o tym, lecz muszę powiedzieć ci raz jeszcze, że cię uwielbiam. Żyję dla ciebie. Kocham cię. Dzięki, że i ty mnie kochasz, dziękuję, że akceptujesz mnie, dzięki, że uznajesz to, co robię dla naszej miłości. Prześlij mi niebawem nowy list i pamiętaj: wiara jest radością.

Jed



## **Podziękowania**

Nade wszystko pragnę złożyć wyrazy wdzięczności Rayowi Dolanowi, przyjacielowi i towarzyszowi wycieczek, za lata pobudzających intelektualnie dyskusji. Chciałbym też podziękować Galenowi Strawsonowi, Craigowi Raine'owi, Timowi Gartonowi Ashowi i głównemu inspektorowi Amonowi McAfeemu. Żywię dług wdzięczności wobec następujących autorów i książek: E.O. Wilsona *On Human Nature*, *The Diversity of Life*, *Biophilia*, Stevena Weinberga *Dreams of a Final Theory*, Stevena Pinkera *The Language Instinct*, Antonia Damasio *Descartes' Error*, Roberta Wrighta *The Moral Animal*, Waltera Bodmera i Roberta McKie *The Book of Man*, Roberta Gittingsa *John Keats*, Stephena Gilla *William Wordsworth, A Life*.